





KOBIETY

MICKIEWICZA, SŁOWACKIEGO I KRASIŃSKIEGO.

KOBIETY  
MICKIEWICZA, SŁOWACKIEGO  
i  
KRASIŃSKIEGO.

Zarys Literacki

Piotra Chmielowskiego.

*H. A. Zoscher*

Wydanie drugie pomnożone.

Biblioteka Publiczna  
Warszawa - Wola

0

101



3011--000101-00

1881.

884(09)

Bibl. Publ. m. st. w-wy.

Nab. 164



Fm 101

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 9 Июля 1880 года.

Czyt. Naukowa

Nr

III

Nr inw. C. N.

101

Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat, Nr. 59.

KONRADOWI CHMIELEWSKIEMU

doktorowi medycyny

*pracę tę*

*w dowód wdzięczności i szacunku*

*ofiaruje*

AUTOR.

Puszczając w świat drugie wydanie studyjum mojego nad postaciami niewieściami w utworach trzech największych mistrzów poezji naszej, winienem czytelnikom słówko objaśnienia.

Kiedy praca moja po raz pierwszy szła do druku (r. 1872/73), agitowała się wówczas bardzo gorąco sprawa tak zwanéj emancypacji kobiet; możnaby nawet powiedzieć, że doszła była wówczas kulminacyjnego swego punktu — w teorii; później bowiem zajęto się nie tyle prawami kobiety, ile praktycznemi zagadnieniami, dotyczącemi jéj wykształcenia i zarobkowania. Stąd studyjum moje musiało oczywiście odbić w sobie nastrój chwili; stąd taki w niém nacisk na dodatnie charaktery i na ich znaczenie w życiu społeczném. Obok téj barwy wszakże publicystycznej starałem się już i wówczas nadać memu dziełku koloryt psychologiczno-estetyczny nie w znaczeniu rozpraw i roztrząsań, ale w uchwyceniu jak najwierniejszém rysów, któremi poeci kreślili swe postaci, i w ich skupioném odtworzeniu.

Z takiego charakteru pracy wynikło, że w drugim wydaniu niektóre myśli i zdania, z rozprawami chwili ściśle związane, musiałem opuścić, ale całości t. j. układu i sposobu przedstawienia rzeczy zmieniać

nie potrzebowałem, gdyż nie znalazłem tu i obecnie po latach siedmiu niezgodności z samymi pomysłami poetów, których komentowałem. Natomiast okazała się potrzeba dopełnień mianowicie w dziale charakterystyki uczuć wieszczów naszych. Ogłoszono w tym czasie nowe i ciekawe dokumenta, które nie zmieniają wprawdzie z gruntu dawniejszych moich na naturę uczuciowości u poetów naszych poglądu, ale go pod wielu względami rozszerzają i niekiedy modyfikują.

Co do wybranych do rozbioru postaci, to jakkolwiek wiem dobrze, iż możnaby znacznie ich liczbę powiększyć, gdyby się drobiazgowo nad kreacjami poetyckimi zastanawiało; nie chciałem jednak wchodzić w zbyt wielkie szczegóły i dodałem do poprzednio już zarysowanych jedną tylko postać, postać *Widowy* z *Balladyny* Słowackiego. Zwrócił na nią uwagę pan Adam Belcikowski w swoim studjum nad *Balladyną*, ślicznie ją scharakteryzował i przemówił do mego przekonania, że panteon postaci kobiecych Słowackiego wzbogacić należy jedną z najudatniejszych jego kreacji.

To są najważniejsze zmiany, jakie czytelnicy znajdą w obecnym wydaniu; pomniejsze miały na celu usunięcie omyłek faktycznych albo nieścisłości wyrażen.

*Piotr Chmielowski.*

Warszawa, 5 lipca 1880 r.

## Kobieta w rzeczywistości i w poezji.

Po raz-to trzeci w XIX wieku kobiety nasze i same głos podniosły w sprawie współdziałania swego w życiu społecznym i stały się przedmiotem bardzo licznych, bardzo ożywionych a niekiedy i bardzo namiętnych dyskusyj. Każde z tych wystąpień miało swoje charakterystyczne oznaki i każde starało się posunąć choćby o krok tylko naprzód, zarówno kwestyjną usposobienia i uzdolnienia kobiecego jak i kwestyjną praktycznego ich zastosowania w dziedzinie robot i prac ogółu.

Z początku, w chwili najżywszej i najrozleglejszej działalności Klementyny Tańskiej, kobiety nie chciały się bynajmniej wychylać poza obręb domowego ogniska starały się jedynie pozyskać możność i prawo systematycznego kształcenia się wedle skali jak najskromniejszej, byleby tylko umiały i zdołały kierować rozumnie pierwszymi krokami dzieci, których były naturalnymi wychowawczyniami.

Potem w chwili rozbudzenia się namiętniejszych i szerszych pragnień, w chwili, gdy Entuzjastki z Narcyzą Żmichowską na czele rozumować i pisać zaczęły, żądały one naprzód podniesienia skali swego kształ-

cenia, by mogły narówni z silniejszą a brzydszą połową rodu ludzkiego pojmwować wszechświat, odczuwać jego piękności, rozkoszować się tém, co praca duchowa ludziom zapewnić może;—a powtórę domagały się pewnych swobód towarzyskich jako panny, pewnej opieki społecznej jako żony.

Nareszcie, gdy w najnowszych już czasach podniesiono napowrót sprawę kobiecą, okazała się potrzeba dopełnienia żądań powyższych jednym z najważniejszych postulatów—postulatem rozszerzenia zakresu pracy kobiecej. Po roku zwłaszcza 1864 nie tylko spostrzeżono (bo spostrzeżenie takie łatwem było do zrobienia i dawniej), ale—co ważniejsza—odczuto konieczność, konieczność nieodbitą, żeby kobieta mogła samoistnie na utrzymanie swe zapracować, nie potrzebując się oglądać na pomoc ramienia męskiego. Teraz więc połączyły się razem wszystkie wymagania dawniejszych rzeczniczek emancypacji czy równouprawnienia; i w głosach tak kobiecych jak męskich (Anastazyja Dzieduszycka, Józefa Dobieszewska, Eliza Orzeszkowa, Edward Prądzyński, Aleksander Świętochowski) wymowny wyraz znalazły. A ponieważ teraz postawiono kwestyją prawdziwie na sztychu, mówiąc o samoistności kobiet, trzeba było wejść głęboko w rozsnucie i rozwikłanie wielu następczących się zagadnień, które natury umysłu kobiet, ich charakteru i uzdolnienia do takich czy innych rodzajów pracy dotyczą. Pod tym względem siły miejscowe nie mogły wystarczyć w zupełności; trzeba się było zwrócić do narodów praktycznych po radę w przedmiocie pracy kobiecej, a do „narodu myślicieli” po radę w przedmiocie psychicznego stanu niewiast: przekładano więc

dzieła Wirginii Penny, Jana Stuarta Milla, Leroy-Beaulieu, Edwarda Reicha, pisano dużo artykułów celem objaśnienia i roztrząśnienia pytań psychologicznych, z przedmiotem dyskusyi związanych, spierano się o duszę kobiety i polemizowano nieraz bardzo ostro.

Ani myślę twierdzić, jakoby już przedmiot sporu został dokładnie zbadany; sądę nawet, że dopiero wraz z istotnem wejściem kobiet na pole pracy produkcyjnej i samoistnej nastęrczy się możność spostrzeżeń pouczających, doświadczeń mniej—więcej ścisłych, które sprawę umysłowości kobiecej rozwikłają i rozjaśniają. Zdaje mi się jednak, że dla osiągnięcia celu, który sobie w tym wstępny rozdziale zamierzyłem, nie potrzeba się zapuszczać w subtelne kwestyje fizyologiczno-psychologiczne, że nie potrzeba wyczekiwać przyszłych ściślejszych badań, które mogą niejedną szczegółową uwagę sprostować, ale rysów ogólnych, jakimi dzisiejsza nauka kreśli obraz kobiety rzeczywistej, zmienić już nie potrafią. A o takie właśnie rysy najogólniejsze chodzić nam może w zestawieniu natury kobiety, jaką jest w rzeczywistości i jaką ją przedstawiła poezycja nowa, zwłaszcza romantyczna. W zarysie kobiety zarówno rzeczywistej jak i poetyckiej mam oczywiście na uwadze nie tyle różnice i odcienie uwydatniające się w jednostkach, a tak ważne i wpływowe w sądach ogółu o naturze niewieściej, ile raczej te podobieństwa rodzajowe, jakie wśród najróżnorodniejszych nawet temperamentów, uzdolnień i charakterów zawsze jeszcze dostrzegać się dają.

Kobieta jako człowiek ma lub mieć może te same myśli, te same uczucia, te same popędy, co i mężczyzna—jeżeli oczywiście w tych samych rozwija się



warunkach. Od poważnej i świętej matrony, co okiem pełnym spokoju wodzi po dorastającym pokoleniu; do bezwstydnej ulicznicy, co klamanym uśmiechem wabi do siebie przechodniów—idzie skala wznieścień i upadków moralnych, uczuć szlachetnych i niekzemnych, pomysłów wielkich i drobnych kapryśków; skala odpowiadająca w zupełności umysłowemu i moralnemu szczeblowaniu u mężczyzn. Jeżeli wielu już powiedziało, że kobieta jest sfinksem, zagadką, tajemnicą; to zdanie podobne należy postawić na równi z tém, które mówi, że serce ludzkie jest niezgłębioną przepaścią. Przyczyna ich powstania jedna: dotąd więcej się zachwycono lub przeklinano, a mniej zastanawiano; więcej powtarzano na wiarę cudzą;—mniej ufano własnej samodzielnosci.

Zachwyt czy przekleństwo nie jest rzeczą złą; rozbudza duszę, podnosi ją na wyżyny; ale—przeszkadza jasno myśleć, ściśle rozumować. Kobieta nie jest czémś fenomenalnym, co by się spotykało raz na wieków dziesiątki. Przypatrujemy się jej codzien, co godzina, rozmawiamy z nią, kochamy ją, nienawidzimy lub jesteśmy względem niej obojętni. Czasami (inni twierdzą, że po większej części) nie rozumiemy jej; w znacznej liczbie wypadków dlatego, że sami siebie dobrze nie znamy; w niektórych dlatego, że nas miłość własna zaślepia; w innych wreszcie dlatego, że nas zwodzi forma objawów jej duszy. Dwie pierwsze przyczyny pomijamy; są one zbyt rozległe i zbyt powszechne, ażeby w krótkich słowach naturę ich dokładnie określić można; trzecia natomiast wiąże się ściśle z przedmiotem obecnego studjum—musimy się więc w niej rozejrzeć.

W zwykłym trybie życia niepodobna nam inaczej zbadać głębi duchowej człowieka, jak obserwując zewnętrzne jego objawy w giestach i w mowie. Nie możemy jego serca i głowy jak rękawiczki na obie strony wyrzucić. Forma objawów warunkuje się wychowaniem. Inaczej wyraża się dziki, inaczej wykształcony. Dotąd różnica w wychowaniu mężczyzny i kobiety była przepaścią; nie więc dziwnego, że forma objawiania ich uczuć i myśli jest bardzo różna. Co więcej utrzymuje, że cała różnica (nie mówiąc nateraz o względach fizjologicznych) wewnętrznej ich istoty na tej właśnie różnicy formy polega. Złudzeni pozorem, bierzemy kształty zewnętrzne za treść najistotniejszą. Pomaga w tém sama natura rzeczy. Forma raz przybrana, zamieniona w przyzwyczajenie, w nałóg, wpływa na samę treść objawów, zaprowadzając w niej modyfikacje, których źródła szukać wypada nie w głębi duszy ale pozewnątrz niej. Tworzy się w ten sposób siatka nader misternie spleciona, w której nasz umysł się gubi, nie mogąc pojedynczych oczek rozwikłać. Rozwikłać jednakże można, trzeba się tylko zastanawiać. Dla wyjaśnienia rzeczy weźmy najprostsz, codzienny przykład. Miłość uczuwa zarówno mężczyzna jak i kobieta. Odmienne atoli wychowanie przyzwyczaiło ich do odmiennego jej objawiania. Mężczyzna mówi o swém uczuciu śmiało, wyznaje je pierwszy, rozrządza niejako i panuje nad sercem ukochanej; objawy u niego nie są dwuznaczne. Przeciwnie kobieta. Jeżeli kocha, nie może naturalnie stłumić słodkiego porywu do tego stopnia, ażeby żadnym nie zdradzić się znakiem. To też musi wybierać takie, któreby można sobie rozmaicie tłóma-

czyć. Rumieniec i błądność—jakby u rośliny—oto podwójne okna, przez które dusza kobiety wygląda. Rumieniec przecież zmęczeniem, błądność przestrachem da się nader wygodnie wyjaśnić, nie potrzebując się kompromitować wyznaniem miłości. Moznaby stąd zawnioskować, że kobieta wstydy się własnego swego serca, kiedy do jego popędów przynąć się otwarcie nie pragnie. Znane są nieporozumienia kochanków z powodu tej dwulicowości w zewnętrznej ucznie formie. Wiadomo, że to fałsz. Brak śmiałości, brak inicjatywy jest skutkiem cieplarnianego wychowania kobiety a nie—jój wewnętrznej natury. Wmawiając w nią od dzieciństwa, że jest istotą słabą, niezdolną samoistnie ruszyć krokiem, potrzebującą nieustannej opieki i nadzoru, łatwo wreszcie przemienić ją w piękną—*roślinę*.

Takich fałszów psychicznych jest mnóstwo. One są powodem, że kobietę uważają za kobietę tylko, a nie za człowieka. Stąd to pochodzą owe zawzięte krzyki, chcące powstrzymać rozwój równouprawnienia. Jeżeli zaś przyjmijemy za prawdę to, co powyżej o naturze kobiecej powiedziałem, możemy być pewni, że ze zmianą wychowania, zniknie ta przepaść, która odgranicza jedną połowę rodu ludzkiego od drugiej z tém tylko zastrzeżeniem, że wtedy fizjologiczne różnice muszą otrzymać głos przeważny w sprawie zajęć kobiety, a ściśle z temi różnicami złączone usposobienia duchowe wyznaczają jój właściwy obręb i stopień wykształcenia. W ich zakresie ona do wszystkiego jest zdolna i wszystkiém być może. Wiele przykładów z dzisiejszego i historycznego życia potwierdza

ten pogląd. W każdym zaś razie, mamy prawo uważania kobiety za istotę wszechstronną...

Poezja przedstawia ją ułamkowo. Dla niej kobieta jest sercem tylko. Namiętność ożywiająca poetę, przenosi się na przedmioty jego obrazowania. Oświetlona wybuchem wulkanu, niekiedy zasypana jego lawą, kobieta olbrzymieje: jest anielicą albo jędzą, Dyjaną albo Eumenidą.

Wyrazistość jest koniecznym warunkiem powodzenia poezji. Zdanie to zamieniło się w pewnik estetyczny. Słowo mniej przyjazne staje się tu ukąszeniem żmii, uśmiech zwykły, pospolity — promieniem słońca, roznoszącym światło po całym wszechświecie.... Mówić obojętnie niepodobna; trzeba grzmieć piorunami albo szeptać ciszej od szmeru lilii, gdy głowę swą ku ziemi skłania. Chcąc zrozumieć poetę, musimy odrychać całą pierśią, kochać jego miłością chociażby najszaleńszą, krwawić się jego bólami, rozpaczać całą słabością swęj duszy; dobywać z serca zarówno skarby ucznie najszlachetniejszych jak i najbardziej wstrętnych, byle tylko dorównać tój skali natężenia umysłowego, jakiej się od nas piewca domaga...

Kobieta jest punktem środkowym poezji nowożytnej. Bez kobiety poezja stałaby się błądą jak suchotnica; niktby się o nią nie troszczył. Odgrywając tak ważną rolę, musi się kobieta przedewszystkiém dostroić do kamertonu wymagań poetycznych. Przez lży rozpatrywana jest Ofeliją ze zwiedłemi kwiaty na głowie; przez różowy przyzmat miłości—Julijettą żegnającą kochanka przy śpiewie słowika; przez powiększające szkło ambicyj—lady Macbeth z ręką skrwa-

wioną, na której czerwona plama wiecznie pozostanie... Czy w sercu kobiety drgają spólcześnie rozmaite struny uczuć, czy w głowie jej są inne kombinacje myśli oprócz tych, które się do przedmiotu jedynego wyłącznego ukochania odnoszą—nie pytajmy;—dlanięj wszystkiem jest świat, zakreślony wzrokiem ukochanego; w nim żyje, w nim kocha, w nim nienawidzi.

Poezja bierze kobietę nie w zwyczajnych warunkach życia, lecz albo w chwili roślinnie niewinnego rozkwitu, albo też w chwili namiętnego szału. Odrazu stawia ją na wierzchołkowych punktach: kończącej się wegietaacy lub rozwiniętego życia. Przejścia są tu rzeczą małoważną. Kobieta jest wielką, kiedy rozkoszuje się pączkiem pierwszego żywioł rozbudzonego w niej uczucia—bo wtedy kłębek życia się rozsunwa; i kiedy zawiedziona przeklina i siebie i świat i ukochanego—bo wtedy jest najwymowniejszą, wtedy nabiera głosu *człowieka*. Powabny jest również smutek dumający pod drzew cieniami przy blasku księżyca:—ale nie przejmuj nas zachwytem: jesteśmy melancholijni, szyderscy lub obojętni. Kobieta wówczas jest echem tylko słów i myśli ukochanego—o samoistności mówić niepodobna.

Dusza w tym kierunku rozbudzona nie może stawić odmiennych idealów. W poezyi są sny złote przejmujące rozkoszą; ale—niepochwytnie. Gonimy je okiem, sięgamy dłonią, przywołujemy sercem—napróżno! Marzymy więc dalej.

Kobieta jest służebnicą, żebraczką miłości, jak ktoś powiedział. Gdy kto jej uczucia podepce, — kamienieje. Odtąd świat przestaje istnieć dla niej: albo myśli swe w szalonym śmiechu zamyka, albo grób so-

bie kopie za życia. Dopóki jeszcze nie utraci zupełnie nadziei, może się stać nikczemną—ale tylko w miłości. Nie ją nie obchodzi godność własna, gadanina ludzi obojętnych, napomnienia spowiednika, lzy matki, rady przyjaciółek. Heloiza idzie do klasztoru, kiedy jej Abelard rozkaże. Wszystko przebaczy, nawet swoje upodlenie; o wszystkiem zapomni — oprócz o swoim uczuciu. Ono nigdy nie maleje; znika tylko wraz z jej życiem. We wszystkiem, co mówi, jest natchnienie, we wszystkiem, co czuje, jest potęga. Czyny tylko nie od niej zależą. Ona jest cieniem ukochanego; jako cień, nie może mieć ruchów dowolnych... Razem z nim skacze w przepaść lub wznosi się na wyżyny; szanuje lub pogardza, zawisa na chmurach idealizmu lub tonie w kałuży zmysłowości. Wola jej pozostaje zawsze w stanie zarodkowym. Kieruje nią ten, komu się odda. Sama dla siebie sławy nie pragnie, o zaszczyty się nie ubiega—chce być królową tylko jednego małego krainku — serca. Ubiega się natomiast o kochanka, który jakimkolwiek sposobem stał się znakomitym: kocha oczywiście—trudno nawet czego innego wymagać—natury poetyczne; rozkoszuje się w wierszach, dla niej pisanych...

Albo—inny obraz. Kobieta cierpi. Cierpienie, męczeństwo jest jej heroizmem. Jedyną jej bronią są lzy. Niekiedy nawet nie płacze. Smutna, zrezygnowana, staje się ofiarą—bez jęku, bez narzekania. Posągowo biała przesuwa się po ziemi jak zjawisko pozaświatowe. Oczy jej mgłą zasłonięte; w duszy—spokój grobowy. Kobieta umie się poświęcić. Walki, jakie z sobą stacza, po większej części są dla nas niewidzialne: kryją się w sanktuarjum jej serca; na jaw wy-

chodzi już fakt spełniony. Przedstawia się to w sposób bardzo tajemniczy, stokrotnie potęgający wrażenie. Kobieta chwytą się za serce i pada martwa. Jakż nas boleś przejmują na widok tragedii bez słów!...

Jeszcze inny obraz. Kobieta została znieważoną w najświętszych uczuciach swoich. Rzuci się wtedy jak pantera (wyrażenie zwykle w takich razach) chcąc rozszarpać nikczemnika. Sztyłem ze stali lub, co częściej, sztyłem słowa mści się zniewagi; piorunowym spojrzaniem przybija do ziemi... Nie jej wtedy nie powstrzyma—przemieniła się w zemstę. Nieublagana, nieulekła, z rozwianym włosem, targa pęta zwykłej nieśmiałości, trucizną zaprawia swoje wyrazy, uśmiechem pogardy krzywi swe usta, dokąd wszystkie uczucia się zbiegły. — jest wymowniejszą od najślawniejszych oratorów, wzmiankowanych przez dzieje... Ani jeden odcień namiętności, ani jedno drgnienie serca nie przejdzie napróżno: kobieta je pochwyci i wypowie. Dopóki milczała, łatwo było mniemać, że przebaczy; kiedy myśl swą a raczej uczucie zaczęła objawiać, trzeba się nawet ze sprawiedliwością pożegnać...

Możnaby przytoczyć jeszcze kilkanaście lub kilkadziesiąt podobnych przykładów, podobnych mianowicie w tém, że główną ich cechą byłaby najzupełniejsza przewaga namiętności we wszystkich słowach, poglądach i sposobach postępowania.

Rzecz naturalna, że poezja, cała przejęta uczuciem, musi bardzo silnie oddziaływać na natury uczuciowe, a zatem i głównie na kobiety. Przenikając do głębi ich duszy, potrafi poruszać struny najczulsze, wzbudzać w nich pewne wyobrażenia i pragnienia, któreby choć w części odpowiadały idealnym wizerun-

kom, odmalowanym przez poetów. W pewnych zwłaszcza epokach rozbudzonego życia, do którego wprowadzono nowe żywioły, wpływ ten objawia się w sposób bardzo wyraźny. Nastaje naśladownictwo ideałów poetycznych, posunięte do drobiazgow, nawet do śmieszności. Taką epokę stanowi romantyzm nie tylko u nas ale i w całej Europie. Wówczas młodzież chciała przemienić rzeczywistość na poezję; zaczynała reformę od siebie; nastrajała się do tonu opiewanych bohaterów i bohaterek, ubierała się fantastycznie, gorzała niewygasłą miłością do urojonych kochanek i t. p. <sup>1)</sup> Potém znów fakta, zebrane z życia rzeczywistego, stawały się tematem poetycznych utworów, nadając barwę prawdy — marzeniom... To wzajemne oddziaływanie życia na poezję i poezji na życie wytwarza naturalnie pewien stan umysłowy, w którym uwydatniają się dążenia danej chwili. Niepodobna więc lekceważyć owych ideałów poetyckich; owszem należy sumiennie je analizować i wskazywać zarówno dobre strony, które powinny się stać pobudką do odpowiedniego odtwarzania ich w życiu, jak i ujemne, ażeby przed nimi społeczeństwo ochronić. W ten jedynie sposób może się rozwijać zdrowo każdy organizm społeczny, jeżeli nie chcemy, ażeby się rozrósł nad miarę w jednym kierunku a wykoszławił w innych.

Zbierając w jedną całość to, cośmy powiedzieli o stanowisku, jakie kobieta zajmuje lub może zająć w rzeczywistości, a jakie naznacza jej powszechnie poezja, przychodzimy do następujących rezultatów:

<sup>1)</sup> Szczegóły zob. u Biepońskiego: „Bigos hultański” tom IV— u L. Siemińskiego: „Religijność i mistyka w życiu i poezjach Adama Mickiewicza”, str. 16.

Ogólne wrażenie, jakiego doznajemy przy odczytywaniu utworów poezji, zwłaszcza romantycznej, jest takie: treść kobiety sprowadza się do serca: ono jest jedynym motorem, pobudzającym ją do życia umysłowo-moralnego, jedynym sądem, wydającym ostateczne i niecofnione wyroki we wszelkich sprawach życiowych, jedynym przymiotem, który o chwale lub hańbie kobiety stanowi. Po-za sferą serca, kobieta staje się łupem prostaczęj prozy...

Czy na tém poezja poprzestać może, czy poprzestać powinna? Jeżeli poezja ma być artystycznym odbiciem rzeczywistości; jeżeli ma wchodzić w skład czynników życia społecznego — o czém zapewne nikt nie wątpi—to musi oczywiście dawać obraz *całkowitej* działalności kobiety, wszystkich dążeń, wszystkich usiłowań, jakie ona przedsięwzięje w celu zrównania się z mężczyzną... Uczucie samo, jakkolwiekbyśmy wielki wpływ mu przyznali, nie jest przecież w rzeczywistości całością natury niewieściej — nie powinno nią być i w poezji. Szerszy i wspanialszy obejmując zakres, poezja stanie się wszechstronniejszą i żywotniejszą: bo przyczyni się do wyrobienia odpowiednich postawionym ideałom charakterów w rzeczywistości i spełni tym sposobem najwznioślejsze swoje posłannictwo, które od samego początku zawsze jęj przyswiecało.

Jakie stanowisko zajmują trzy największe nasi poeci wobec kwestyj dopiero co poruszonych; jakie ideały kobiece sercem ich władały, zmuszając do wysławiania ich w czarodziejskim słowie; o ile ideały te *dzisiaj* nam wystarczają:—oto pytania, które w obecnym komentarzu do znanych i czytanych poematów starałem się jeżeli nie rozwiązać, to przynajmniej — bliżej określić.

## Strona uczuciowa Mickiewicza.

Każdy umysł wielki nie zniża, lecz podnosi ku sobie wszystko, co ukocha. Poeta, w którym wulkany uczuć rozpalają wyobraźnię, z tém większą łatwością może gorętszemi barwami obrzucić wszystkie szczegóły swego życia, te zwłaszcza, w których dwoje serc zgodnie uderzyło. Kobieta wówczas ubiera się w szaty jego ducha i jak królowa wrózek tęczowemi jaśnieje kolory. Po większej części dzieje się to bezwiednie, wypływając z konieczności organizmu umysłowego: stąd też gdy nadzieje sięgające w niebo zostaną zawiedzione; gdy marzenia rozproszą się jak mgła poranna: poeci zawodzą namiętne skargi i jeszcze namiętniejsze przekleństwa z piersi swych wyrzucają. Serce się krwawi, własne oplakując złudzenia....

Mickiewicz, którego duch rozjaśniony był całą potęgą świadomości, chociaż w twórczości swojej ulegał *bezwiednym* nieraz bodźcom wewnętrznym, znał tę prawdę i jasno ją określał. Zanurzony w marzeniach, których pierwszą przyczyną (jak sam wyznaje) były książki, „młodości niebo i tortury,” roznamiętniony pierwszym budzącem się uczuciem, szukał owę „boskiej kochanki” —

F III - 101

101

Któręj na podłonecznym nie bywało świecie,  
Którą tylko na *fałach wgojraźnej pianki*  
Wydęło teńnienie zapalu,  
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie....

Lećz choćby kto nie wiem jak był przekonany, że na ziemi nie znajdzie ucieleśnionego ideału, szukać go przecież nie przestanie. Potrzeba miłości jest tak potrzebna, że drwi sobie z przestroż zdrowego rozsądku, biegnąc w pogoń na oślep. Zapominamy o wszystkim, pragniemy tylko zadowolnić własne swe serce, choćby świat nawet zburzyć przyszło; łudzimy się długo; mara znika — rozpaczamy....

Przeważającym pierwiastkiem w duszy naszego wieszczą było *uczucie*. Uczucie to okoliczności zewnętrzne w rozmaite kierowały strony. Epoka jego młodości przypada na czas reakcyi religijnej i przeważnego panowania poezyi romantycznej. Po wieku encyklopedystów i rewolucyi francuskiej, kiedy starano się wszelkimi sposobami wygubić przesady, napadając na zepsucie kościoła i duchowieństwa, nastąpiło oddziaływanie w przeciwnym kierunku. Potępiano i wyklínano Woltera, Diderot'a, Volney'a, wolnomularzów, obrzucając ich błotem, nazywając ich — wysłańcami szatana. O ile gwałtownie wyrażała się poprzednio przewaga rozumu, o tyle teraz, działając na serca, roznamiętniano uczucia.

Na szczyt, pobożnej Litwie, w zaściankowych zwłaszczą dworkach, niewiele zapewne słyszano o Wolterze i Encyklopedyi. W szkołach atoli ks. Dominikanów musiał Mickiewicz posłyszeć pierwsze pioruny na materjalizm i wolnomyślność. Duch staręj pobożności wyniesiony z domu, wsparty ogólnym prądem

ówczesnego nastroju umysłowego, działał silnie na wrażliwe jego serce. Wprawdzie na wsi „na wzgórkcu” czytał „*Russa*” razem z ukochaną Marylą; ale mowa tu zapewne o „*Nowej Heloizie*”, której głównym tematem jest obrona silnego, szalonego uczucia; — przeciwnego wierze nic tam się nie znajduje. W dzieciństwie ściśle przestrzegał *postów*, a gdy po raz pierwszy przyjechał do Wilna, ażeby zapisać się na studenta uniwersytetu, „zaszedł naprzód” (jak sam opowiadał p. Odyńcowi) „do Ostrój Bramy, a wspominając o matce i modląc się z *placzem*, we łzach tych właśnie znalazł pociechę i jakby poczucie wewnętrzne, że go Najświętsza Matka przyjęła w opiekę.”

Niepodobna, ażeby w uniwersytecie wiara ta nie ostygła. Życie rozrzucone młodzieży, wpływ różnorodnie usposobionych kolegów, kierunek studyjów naukowych, wszystko to oddziaływa, wszystko to rozwiewa, zubożętnia uczucia wykwitłe jak kwiaty w cieniu domowego zakątka. To téż ówczesne towarzystwa literacko-naukowe dosyć obojętnie względem religii się zachowywały, dbając tylko o podniesienie moralności i rozszerzenie światła. Na poparcie tego twierdzenia mamy świadectwo w scenie studenckiej w III-iej części „*Dziadów*” — jak również w liście p. Odyńca do Lucyjana Siemińskiego. W każdym jednak razie wiara, jako skierowanie myśli ku Istocie najwyższej, tajemniczej, głęboko się wyrzyła w umyśle poety, tómbardziej, że z drugiej strony uczuciowość wogóle podbudzona została panującą wówczas poezyją romantyczną.

Romantyzm pomiatał rozumem a zwłaszczą zdrowym rozsądkiem, który uważał za pachółka ludzi płaskich, niewiedzących, co to polot duszy. Serce było je-

go kościołem, trybunałem, ostateczną we wszystkim wyrocznią. Kto popędem jego bezwarunkowo się nie poddawał, był „szkieletem człowieka, kamieniem“. Nauki obrywały skrzydła fantazyi, nie dozwalały rozwijać się przyrodzonemu gieniuszowi — zostawiano je mółom. Romantyzm łączył się chętnie z katolicyzmem, o ile ten nie tamował fantastycznego rozwoju myśli i o ile obrzędami swemi dając karm wyobraźni, mógł służyć za wyborne malownicze tło dla obrazów poetycznych.

Mickiewicz miał z początku zamiar uczyć się na wydział matematyczny; lecz po roku uczul się nie w swoim żywiole wśród znaków algiebraicznych; — przeniósł się więc na wydział literacki. Nie od razu się tu zapoznał z literaturą romantyczną; pierwotnie musiał się łamać z suchemi regulami rutyny klasycznej. Nie odpowiadały one oczywiście naturalnemu pociągowi poety, nie zadawałnialy jego strony uczuciowej; to też z całym zapalem człowieka, który długo szukał jakiejś prawdy żywotnej, oddał się balladowaniu: uwierzył w duchy i upiory, w niezależność i bezwarunkowość wymagań serca, w zbyt szczupłe granice naukowego badania. Przecistawiając się kierunkowi fizyczno-matematycznemu, który Jan Śniadecki naówczas w uniwersytecie przeprowadzić się starał, wystąpił wprost z oświadczeniem odmienném. Nie eksperyment, nie mikroskop, nie retorta; ale zespolenie się z przyrodą, z ludźmi, może odkryć wielkie prawdy:

*Czucie i wiara silniej mówi do mnie  
Niż mędra szkiełka i oko...*

Niezadowolnienie z prawd suchych, martwych, matematycznie wykreślonych, wypowiada poeta z siłą,

z przesadą nawet, unosząc się w świat fantastyczny. „Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz *cuda*“<sup>1)</sup> — woła z zapalem do badacza, robiąc alluzją do Śniadeckiego („Widzisz świat w *proszku*, w *każdej gwiazd iskierce...*“). Jedyną zasadą, jedynym przewodnikiem po ciemnych zaułkach życia ma być uczucie: „Miej serce i *patrzaj w serce!*“<sup>2)</sup>. W zapale robi porównania nie śmiałe, choć może niezupełnie sprawiedliwe: „*Jak wilk*—powiada, zwracając się do ludzi zwykłych, prozaicznych—lub jak *astronom* patrzają na niebo...”

Uczuciowość pod wpływem romantyzmu przemienia się w sentymentalność; sentymentalność, którą Mickiewicz ironicznie przedstawił później w *Panu Tadeuszu* (postać hrabiego i Telimeny). Stąd w początkowych utworach tyle płaczliwości i sielanki, że Mickiewicz w jednym szeregu zestawia trzy osobistości: *pasterza, kochankę, poety*; a opisując swój romans z Marylką, opowiada z całą prostotą, ale i z całą nawinością młodzieniaszka, że z lasów przynosił jej *kwiatołeczki, jagody*; a ona ze źródeł, stojąc przy nim, „wywabiała wędką srebrno-piórego karpia, pstrąga z krasną cętką...”

Uczuciowość pod wpływem romantyzmu i wiary przemienia się w mistycyzm i zabobon. „Jednakowa nam *gwiazda* świeciła w powiciu” powiada poeta w IV-jej części *Dziadów*. Mickiewicz miewał liczne

<sup>1)</sup> Porównaj słowa Goethego w *Fauście*: *Das Wunder ist des Glaubens liebster Kind.*

<sup>2)</sup> Por. słowa Goethego w *Fauście*:  
Doch werdet ihr nie Herz zu Herzen schaffen,  
Wenn es euch nicht von Herzen geht.

widzenia, silnie wierzył w przeczucia i przepowiednie, marzył o mistycznym dusz połączeniu:

Dwa serca palające na dwu krańcach ziemi  
Rozmawiają jak gwiazdy promieniami drzącymi....

Niepodobna więc nawet po mistyku wymagać. Tak było z samego początku — i tak się też przy końcu życia przedstawił Mickiewicz. Pośredni atoli okres, w którym najznakomitszy powstał utwór (*Prin Teusz*), jest harmonijnym połączeniem wiedzy i uczucia, rozumu i serca. Nie rozwijamy myśli tej bliżej — gdyż jest ona kwestyją odrębną. Wracamy do dalszego określenia jego strony uczuciowej.

Odciawszy młodzieńcze wybujałości, które nigdy u Mickiewicza *treści* <sup>1)</sup> *większych utworów* nie stawią, znajdziem w naszym poecie serce czułe ale nie chorobliwe, więc zamknięte w sobie aniżeli gadatliwe, raczej dumne jak rozpaczające. Nie konwencyjonalna blaga, nie latanie po obłokach, ale szczerłość i prawda uczucia — oto najgłówniejsza charakterystyka umysłu Mickiewicza. Przychodził do ludzi z sercem otwartym; mówił, co myślał; — to też srogo się nieraz zawodził. Ukochanej swojej egzotycznych kwiatów do skroni nie przypinał; wieńce jego proste i zwykłe — jak przyroda kraju naszego. Fałszu nie znosił; naciąganiem i przesadą się brzydził. Jeżeli kiedy zadaleko się zapuszczał, to polot ten w dobrej rozpoczynał wie-rze; serce gorące a spragnione piękna i prawdy nasu-

<sup>1)</sup> Kładę nacisk na *treść*, gdyż pod względem *formy* całe *Dziady* są obrazem wpływu romantyzmu i wiary.

wało mu myśli wielkie, szlachetne zawsze, niekiedy tylko dziwaczne.

Nie lubił umieszczać uczuć swoich w dobrze zakorkowanych słoikach, jak lekarstwo w aptece; jeżeli kochał, kochał całą potęgą uczucia; jeżeli nienawidził — przeklinał lawą słów pięknych jak rozpalone żelazo. Poddawał się uczuciu całkowicie, bez podziału; nie rozumiał i nie chciał rozumieć strategii kobiecej, nakazującej względy dla wszystkich, byle tylko miły spokój zachować. Nie znał półsłówek; nie zatruiwał niemi życia ani sobie ani innym. Potężny w miłości, potężnym był w rozpacz — duch jego przebiegał całą skalę uczucia.

Uczucie jego jest czysto-ludzkie: nie błądzi po zaczarowanych krańcach mrocznego *idealizmu*, który zapomina zupełnie o ziemi; ale też nie pozwala swym myślom tarzać się w kale cynizmu i brudów. Wie o tym, że organizm cielesny jest podstawą naszego bytu; nie gardzi więc szczegółowym opisem nie tylko jego samego, lecz nawet pokrywającego go ubrania. Wzmianki te atoli idealizując, podnosi do sfer wyższych czy to pojedynczym przymiotnikiem czy całą treścią utworu. Stąd wynikają takie zestawienia, jak: „twarz boska,” „piersi jak jabłuszka mleczne,” „śnieżne piersi,” „lice bielsze od mleka, z czarną rzęsą powieka,” „piersi twarde jak gruszki a tak małe ich nóżki, że za trzewik dziewczynie swawolnej, często służy kwiat pewny, zwany trepkim królowy, kwiat nie większy od lilii polnej” — i t. p.

W rozwinięciu szczegółów i przebiegu miłości, obok rozkoszy czysto-duchowych: rozmowy, wspomnienia, nie zapomina również o prawach, któremi nas zie-



mia do siebie przykuwa. Lubi wystawiać kochanków „zawsze samotnych, zawsze z sobą w parze,” wie, że można „z ustek różnanych i z liców rumianych słodczye wysysać”

„Dobranoc! obróć jeszcze raz na mnie oczęta,  
Pozwól lica. — Dobranoc! Cheesz na sługi klasnąć?  
Daj mi pierś ucałować! — Dobranoc! — zapięta...” —

woła do kochanki na pożegnanie. Wybornie scharakteryzowana ludzka natura i ludzkie uczucie! Nie jesteście aniołami; anielskiego też idealizmu zachować nam niepodobna.

Uczucie zazdrości o lubą silnie w nim przemawia. Chce sam napawać się obecnością kochanki; nie cierpi wizyt, które przerywają chwile upojenia; pragnąłby się ich pozbyć na wszelki sposób:

Gdybym mógł, progi wileż otoczyłbym jamą,  
Stawiłbym lisie pastki, kolezate okowy,  
A jeśli niedość bronią, niecechym gotowy  
Na tamten świat, — stygową zasłonię się tamą.

Zazdrość jego wchodzi w najdrobniejsze szczegóły; bo „drogo każda kupiona pieścizna, na wagę duszy, pokojem żywota.”

Idealizm, ów idealizm opiewany przez Petrarke, nie dbający o to, że jego ukochana jest już podżyłą kobietą, ma męża i cieszy się liczną konsolacją, pragnący jedynie harmonii dusz, zgodności serc, wspomnień raz na rok lub na lat kilka; idealizm słowem chorobliwy, choć naturalny, powstaje na ówczas, kiedy nie ma już żadnej nadziei zostania szczęśliwym z kochanką, kiedy zgodzić się musimy na wszystko, co siła nieubłaga-

nych okoliczności w ręce nam podaje. Jest to chwila, w której lejący w przepaść chwytą się za krzak cierni, nie bacząc, że dłoń sobie rozkrwawi, byle tylko unieść życie. Brak punktu wyjścia przystać nam każe nawet na najuciążliwsze warunki, chociaż w głębi serca zachowamy żal głęboki i to przekonanie, że miłość nasza dostała się w ręce skąpca. Wtedy nazywamy ciało „podłóm,” przyznajemy, że nam nic nie obiecywano, nie nie przyrzekano, że sami sobie musimy winę przypisać; prosimy już tylko o wyznanie, że „Bóg posłał nam duszę” kochanki; — ale pomimo to wszystko pomimo wyrazów zewnętrznie zupełnie zadowolnionych, dusza nasza oburza się i woła:

Wierzaj, są oświadczenia nawet bez wyznania,  
Są obowiązki, nawet bez obowiązania...

Idealizm więc ów u natur silnych, zdrowych, jest fazą tylko przejściową; nigdy on nie opanowuje duszy całkowicie, nie pochłania jej działalności. Po przejściu tej fazy albo tępijemy zupełnie, albo wracamy do warunków normalnych, albo też stajemy się bajronistami. Mickiewicz po napisaniu IV-jej części „Dziadów”, w której ów idealizm dochodzi swego apogeum, skierował swą czynność ku rzeczom realniejszym, mającym za przedmiot nie jednostkowe ale ogólne znaczenie (Konrad Wallenrod, III część Dziadów, Pan Tadeusz.)

Tu występuje nanowo owo czysto-ludzkie uczucie w połączeniu i w pokrzyżowaniu z ogólnemi sprawami kraju <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Po bliższe szczegóły odsyłam do następnego rozbioru pojedynczych postaci.

Jeżeli więc weźmiemy na uwagę wpływ czynników takich jak religija i romantyczność, które na czas pewien zmieniły i nieco chorobliwą uczyniły naturę uczuć Mickiewicza; jeżeli uwzględnimy idealizm, najzupełniej zgodny z przyrodzonym rozwojem naszych namiętności, w takim duchu, w jakim go powyżej przedstawiłem, — to zgodzić się musimy, że największy wieszcz nasz był *realistą* i to realistą prawdziwym w przedstawianiu tych poruszeń, jakie sercem ludzkiem miotają. Uzasadniając moje twierdzenie, przytoczyłem dowody i w dalszym ciągu pracy niejednemu jeszcze się wykaże. A co się tyczy przekonania, czy mroczny, niewiedzący o sobie idealizm, lepszym jest od zdrowego, naturalnego realizmu, który traktuje wszystkich nie jak aniołów ani jak szatanów, ale jako ludzi:—odzywam się do tych, którzy miłują ludzkość taką, jaką jest, a pragnąc polepszenia, szukają środków zaradczych jedynie na ziemi — i zapytuję ich o wielkość poety, którego kochają i rozumieją...

Przypatrzmy się teraz tym postaciom kobiecym, które poeta przed oczyma naszymi przesuwa; zapytajmy o zagadkę ich ducha; zobaczymy, jak kochają, smucą się i rozpaczają; a aureola przeszłości, otaczająca promienne ich głowy, niech nam będzie miłą, najdroższą choćby pamiątką, którą przez życie całe zachowujemy; niech nam atoli nie przeszkadza w sprawiedliwej ocenie tego, co wieszce podają. Czujmy i szanujmy; ale nie bądźmy bałwochwałcami...

I.

## M a r y l a.

Lepsza w kwietniu jedna chwilka,  
Niż w jesieni całe grudnie....

Wielcy ludzie mają ten przywilej czy też tę niekorzyść, że każdy uważa się za uprawnionego do badania gruntu ich głowy i serca; że każdy radby wiedzieć, jakie pierwiastki złożyły się na utworzenie tego gienijusza, który podziwiamy. Mówimy tu o miłości. O zagranicznych pisarzach mamy pod tym względem całe folioly, o największym naszym poecie—ledwie kilka kartek.

Jak wszyscy nasi i nie-nasi poeci, Mickiewicz był bardzo wrażliwy na urok piękna niewieściego; znamy kilka postaci, ku którym serce jego zabiło przyspieszonym tętnem, ale najpierwszą i na twórczość poetycką najbardziej wpływową była niewątpliwie ta, co natchnęła poetę przepyszniemi obrazami zawiedzionej, cierpiącej miłości w *Dziadach*.

Było to podobno latem roku 1818. Jeden z uniwersyteckich kolegów Mickiewicza, Tomasz Zan, wielki wielbiciel płci pięknej, ku czci której „promionki” swego ducha w najróżnorodniejsze rymy zestrzeliwał, bawił poprzednich wakacyj u przyjaciela swego Michała Wereszczaki w Płużynach. Jest to wieś w powiecie Nowogrodzkim, na południe od Nowogrodka, z jeziorem Świtez i dworem Tuhanowicze. Zan zachwycał się bezwątpienia i pięknnością jeziora, ale więcej jeszcze pięknnością siostry swego przyjaciela Maryi, którą przezwiał, swoim zwyczajem zdrabniania imion,

Marylą. Pisał on mnóstwo wierszy do niej i o nią jako o istocie arcy-poetyckiej i opowiadał cuda o tej Świteziance. Otóż jadąc do Pułzyna na wakacje w r. 1818 namówił i Mickiewicza, ażeby także odwiedził spólnego przyjaciela Michała Wereszczakę. Nasz Adam nie był w owej porze tak posępny i melancholiczny, jak go sobie czytelnicy *Dziadów* zwykli wyobrażać; owszem lubił być wesołym, kiedy się znajdował ze swojemi, mianowicie z Zanem, Czeczotem, Małewskim, i „dziwnie przyjemnym“ był natenczas. Jego piękna twarz, koralowe usta, namiętne oczy, gęsty hebanowy włos, miły dźwięk mowy, pewność siebie i niepospolita bystrość czyniły z tego 20—letniego młodzieńca niezwykle zjawisko wogóle a témbardziej na wsi. Do Pułzyna przyjechali Zani i Mickiewicz nad wieczorem w sobotę, a więc w dzień Maryi. Gospodarzy w domu nie było; wyszli bowiem na przechadzkę w pole. Zan chciał tymczasem pokazać koledze dom i swój dawny pokój, w którym mieszkał za pierwszą bytnością. Tu ich zajął widok, którego się nie spodziewali. Na poręczach dwu krzeseł, ustawionych w środku pokoju, leżała deska do prasowania; na niej stos kołnierzyków, chusteczek kobiecych i szeroka różowa szarfa; wyprasowana zaś już i wyświeżona na niedzielę biała sukienka wisiała u drzwi na zawiasie. W pokoiku nie było nikogo, gdyż prasująca dziewczyna poszła była właśnie po nową duszę do żelazka... Zan utrzymywał nie na żarty, że Adam, nim obaczył Marylę, którą wracającą z przechadzki na pół drogi wkrótce spotkali, już się naprzód w jej sukience zakochał... Jak silne wrażenie wywarł na 20—letnim studencie ten prosty i tak zwyczajny widok, wiedzą czytelnicy *Pana*

*Tudencza* zaraz z początku księgi pierwszej tego arcydzieła.

Maryla, będąca rówieśnicą Adama, była już wtedy zaręczona z Wawrzyńcem Puttkamerem, zamożnym obywatelem z Lidzkiego. Nie należy go sobie wyobrażać wedle niektórych ustępów w *Dziadach* jako starego bogacza, jako jaśnie-pana, który najslodsze uczucia kochanków goryczą i rozpaczą zatruwał. Jak świadczą znający go zbliska, *Lorens* (tak go w poufałym gronie nazywano) nie tylko z powierzchownej urody i wewnętrznego nastroju ducha, ale nawet z całego przebiegu i okoliczności życia, był „najpoetyczniejszym typem naszego szlacheckiego młodzieńca, co przecież w niczem, pod względem moralnym, tak w rodzinnych jak w społecznych stosunkach, nie ubliżało dojrzałszemu typowi obywatela—męża.“

Nie tylko zatem ze względu na „dobrą partyję“ ale także zapewne i z przywiązania, jeżeli nie z miłości, Maryja Wereszczakówna powierzała swe losy Puttkamerowi. Ale wiadomo, jak u nas narzeczone lubią korzystać z czasu, który im do zamążpójścia zostaje, jak lubią rozmarzyć się trochę, zanim przejdą do prozy życiowej. Maryla żyła w chwili, gdy nawet i do skromnych dworków szlacheckich zachodziły odgłosy usposobienia sentymentalnego, które wśród wyższych klas towarzyskich panowało. Mając serce miękkie i wrażliwe, czytaniem sielankowych wierszy roztkliwione, rada była zapewne spożytkować czas swojej wolności dziewczęcej na zamianę spojrzeń i słów z poetycznym studentem, ani myśląc oczywiście, żeby to mogło ją do czegokolwiek obowiązywać. Pozostałe dwa urywki listów Maryli do Adama świadczą, że by-

ła-to kobieta wychowana w okresie sentymentalności, przywykła używać wyrazów cudzoziemskich i wyrażen francuskich, ceniąca w utworach poetów czułość-kowość przedewszystkiém. Oto jeden urywek, który wybornie pod tym względem jój usposobienie maluje: „Ponieważ pan przedsięwzięt łómaczyć nanowo Wertera, chciejże poprawić w tém dziele *wady* Getego, który zepsuł złém zakończeniem najpiękniejszy romans. Nadaj *więcej sentymentalności* Werterowi, aby ten zakładał swe szczęście w *uczuciach serca* i był najszczęśliwszym z ludzi, chociaż nie zdawał się nim być w oczach świata. Ja zgadzam się z panem, iż nieszczęścia niektóre są szczęściem lecz nie dla wszystkich, bo niekaždy jest tego sposobu myślenia, co my.“

Szczegółów dokładniejszych i perypetyj miłosnych nie znamy; nie podano nawet roku, w którym Maryja Wereszczakówna zamieniła nazwisko na Puttkamerową. Wiemy tylko, że ulubioną piosnkę białoruską, którą śpiewywali razem, a zaczynającą się od wierszy:

Da czeres moj dwor, da czeres moj dwor  
Da cieciera laciela...

później wygrywała Maryla na fortepianie, sama dorobiwszy nuty, a mąż jój pięknym swym głosem dalsze słowa piosenki wygłaszał:

Nie dau mnie Boh, nie dau mnie Boh,  
Kaho ja chaciela!...

Sama kompozytorka nie brała bynajmniej bardzo naseryjotój całej melancholii i zawsze z tkliwością wielką była dla swego męża, który stał się jednym

z najgorliwszych wielbicieli talentu Adama, apostolując wobec Śniadeckich zarówno w Wilnie jak w Jaszunach, dopóki wszystkich przyjaciół i znajomych na wiarę swoją nie nawrócił. Poeta wprawdzie, jak twierdzi Jan Prusinowski, chciał z początku wyzwać Puttkamera na pojedynek i z pistoletami do jego domu w Bolciennikach zjechał, ale rozbrojony spojrzeniem swojej „pieszczoty“ musiał się zgodzić na wyrok wrogich dla siebie okoliczności.

Cierpienia jednak poety nie umniejszyły się przez to. Lat parę był w stanie nienormalnym; zdrowie mu nie służyło; próbował się rozerwać. W listach do przyjaciół odzywał się nieraz żartobliwie, ale były-to próżne usiłowania; serce jego i cały standuszy podobny był (wedle wyrażenia Zana) do lasu, w którym pożoga przeszła. I Maryja również odczuła chwilowo silne skutki tego potężnego uczucia. Zan, który był pośrednikiem pomiędzy obojgiem i korespondencyją im ułatwiał, pisze do przyjaciół na początku r. 1823: „Adam cierpko do mnie piszący niegdys za myśl w rozdziałku wywiedzioną o niestateczności uczuć człowieka, już zaprzestał korespondencyi ze mną, ma tylko z Janem (Czeczotem) drukarską... Maryja czasem pisuje, spuszcza się na moje rady i niektóre usiłuje dopełniać; pocieszam ją i rozrywam rozumnicjszemi rozdziałami. Byliśmy z Janem u niego w Bolciennikach całą dobę; jój stan *umiesienia* i uczuć bardzo go zajął; ja surowego przed nią udaję a pobleżenie (*sic*) nieobacznością pokrywam. Nie widzieli się z sobą od listopada i to na dobro; głuche uspokojenie może do harmonii władze przywiedzie.“ W maju zaś tegoż roku donosił: „Usiłowałem i usiłuję uczuciom Adama i Maryi nadać po-

godniejsze dążenie, nie jestem pewny skutku zupełnego, zdaje mi się atoli, że ich cierpienia złagodzone. I z nim i z nią w tym widoku koresponduję; ona mię drogim i dobrodziejem nazywa... Czytales *Upióra*, przeczytasz *Dziady*; nie wielebym co miał pisać o Adamie; sądzę, że może niewczesne wyjawienie się ze swojemi miłosnemi uczuciami niezbyt pochlebne i przyjemne czyni na wielu wrażenie. W czasie świąt oni byli w Wilnie przez dwa prawie tygodnie; usiłowania moje na uspokojenie poszły w niwecz; nie wiem co dalej, tak to wszystko daleko i meszczęśliwie zaszło tak, że, niegdyś obrońca miłości, ledwobym otwartej przeciwno nię nie wypowiedział wojny.“

Jakimi urokami umiała Maryla podbić serce poety—nie wiemy. Więcej posiadamy danych o *brzoźie*, zasadzonej ręką Mickiewicza przy owęj sławnej altanie, która była „kolebką igrobem jego szczęścia“—aniżeli o duszy kochanej przez niego kobiety. A przecież, cokolwiekbądź przypuścimy o ubieraniu kochanek poetów w szaty własnego ich ducha; cokolwiek zechcemy powiedzieć o niewybredności niedoświadczonego, świeżego i niewinnego serca w 20 roku życia; głębokie i długotrwałe uczucie, jakim Mickiewicz przejęty był dla Maryi, musiało mieć źródło choć nie w przymiotach jęj umysłu, to najniezawodniej—serca. Jeżeli zdaniem tych, którzy „zimnym cyrklem chcą mierzyć piękności zalety,“ była-to sobie zwyczajna szlachcianka („at sobie kobieta...“), wychowana starodawnym obyczajem w zaciszu wiejskiego dworku; jeżeli oprócz *Nowej Heloizy* i kilku innych sentymentalnych romansów, będących wówczas w modzie jak np. *Walerya* baronowej Krüdener, nie zdolała podążyć

nawet okiem za orlim lotem poety:—to musiało tam być coś w charakterze kobiety, co braki owe wynagradzało.

W parę lat po smutnej rozłące na wiosnę 1823, kiedy go odwiedził p. Odyniec, poeta deklamował tłumaczenie z Byrona: „Pożegnanie Child-Harolda.“ Słowa: „Czegóż mam płakać, za kim i po kim, kiedy nikt po mnie nie płacze“ — przypomniały mu dzieje jego serca; wzruszony, zbłądł jak chusta i upadł na ziemię w omdleniu. Kiedy wydawał drugi tomik swoich poezyj tegoż 1823 r. <sup>1)</sup>, zwrócił się do swęj Maryi, nazywając ją „siostrą swoją“; przypomniał, że oni pobratani „nie krewnym łańcuchem, ale umysłem i duchem;“ prosił ją „by inném okiem spojrziała w przeminnione lata i pamiątki kochanka przyjęła z rąk brata.“ Postać Maryi długo, bardzo długo jeszcze przesuwiała się przed oczyma duszy poety: w snach i widzeniach zjawiała się jak niebianka — („więcej boska, bo więcej piękną być nie zdoła“); ścięgała go wszędzie, czy był w gronie przyjaciół, czy na stepach akermanńskich, czy wśród arystokratycznego towarzystwa w Petersburgu, czy wreszcie na szczytach gór Alpejskich... Napróżno starał się rozzerwać, napróżno się pocieszał, że, gdy podniesie bardon, „namiętność w zapomnienia pograży się toni;“ napróżno przyznawał sam sobie, że ten najniezszczęśliwszy, „kto nie kocha—że kochał, zapomnieć nie zdoła...“ Jeszcze 25-go września 1829 r. (w jedenastej lat po prawdopodobnem poznaniu się z Maryją), wstąpiwszy na szczyt

<sup>1)</sup> W spisie prenumeratorów można było czytać nazwisko: Maryja Puttkamer.

Spügen (w Alpach), zamarzył o szczęściu, jakiegoby mógł doznawać, będąc tu razem z ukochaną, i nietylcie może z goryczą, ile ze smutkiem wołał:

Nigdy więc, nigdy z tobą zostać się nie mogę!  
Morzem płyniesz i łodem idziesz za mną w drogę.  
Na lodowiskach widzę błyszczące twe ślady  
I głos twój słyszę w szumie alpejskiej kaskady;  
I włosy mi się jeżą, kiedy się ogładam  
I postać twoję widzieć lękam się i żądam.

Całkiem pospolita kobieta tak silnego uczucia wzbudzićby nie zdołała. Postarajmy się w braku innych świadectw, zmożajkować postać Maryli z dosyć licznych urywków, jakie napotykaemy w pojedynczych poezjach, balladach, sonetach i w *Dziadach*. Zastrzegam tylko, że obraz będzie niedokładny, ulamkowy.

Co do postaci zewnętrznej dwa jedynie szczegóły wymienić tu mogę: Maryla miała oczy niebieskie i „złote włosów pierścienie jak zwiędła cyprysu gałązka”. Była piękna, bogata (ojciec „pierwszy urzędnik w powiecie”), „tłumem gardziła bez braku,“ „choć jej kto *kocham* mówił po sto razy, nie rzekła nawet i *lubię*.” Jest to rys nadzwyczaj ważny: nie była płochą, zalotną, wyróżniała się od wielkiego ogółu swoich rówieśniczek: pozwalała przypuszczać, że za wyższym goni ideałem. Była tak czuła „jako na trawce wiosenne puchy, które lada zefiru zwiewają podmuchy i lada rosa obrywa:” a od cienia smutku ukochanego jej wesołość gaśnie. Nie składała atoli żadnych przysięg, nie dawała obietnic; kochanek nawet „przez sen nie miał nadziei.” Wprawdzie Gustaw w przystępie obłąkania nazywa ją „wyrodkiem niewiasty;” wyrzuca jej zaślepienie złotem i „honorów świecąca bańka

wewnątrz pustą;” przeklina ją, że „sercem oziębłym, obojętną twarzą, wyrzekła słowo jego zguby;” — ale w chwilach przytomności musi wyznać, że ona była niewinna. Zgrzeszyła może brakiem woli, energii, nie chcąc się sprzeciwiać rozkazowi rodziców; a może też fatalność tylko należałoby obwinąć, że ona kochała go jak brata jedynie, jak przyjaciela... Może kochanek ulegał złudzeniu i oburzał się potem na lubą, że go „chce wciągnąć w rozmowy potoczne, wczorajsze, zawczorajsze i zaprzeszloroczne...”

Przyszedł ktoś, co, nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabrzączał” — a ona mu „wszystko” sprzedała na wieki.” „Dość było wyrazu, ażeby postać *godna równać się z niebiany*, zamieniła się w *posąg z lodu uciosany!*” Są to słowa strony pokrzywdzonej; przyjmujemy je więc z pewną nieufnością. Chcielibyśmy posłuchać także i Maryli. Niepodobieństwo! — musimy się domyślać. Jesteśmy w ogrodzie. Altana: miejsce pamiętne w dziejach miłości. W oknach pałacu czy dworku światło jarzące. Przemknęło się coś w bieli. To Maryla w sukni ślubnej. A tam dalej oparty o drzewo stoi kochanek błądy, zrozpaczony. Ona zrywa gałązkę cyprysu, podaje smutnemu. „To wszystko, co nam tu na ziemi zostaje” — mówi. Ale to niedosyć. Potrzeba pocieszyć kochanka, wskazać mu jakiś cel wyższy. „Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy” — powiada. Pomyśl o kraju, o ludziach, twoich spółbraciach, pracuj dla nich; zapomnij o swoim zmartwieniu; zważ na to, że w życiu masz spełnić wielkie zadanie. „Ta myśl wielka *pomniejsze zapłaty* przystudzi...” Gdy wymawiała te słowa, które jej miłość sprowadzały do znaczenia dro-

bnostki, może lzy zalewały jej gardło, może przeczuwała, że stanie się głazem. Narazie słowa te odzywały się gorzką ironią w sercu kochanka, bo jej „tchnienie rozwiła już owe kształty olbrzymie,” został się „cienik, mara blada:”

Zrobiwszy mię komarem — mówi — chce zmienić w Atlasa, Dźwigającego nieba kamiennym ramieniem!...”

Słowa Maryli wydawały mu się szyderstwem, spłowiłami ogólnikami, które się wypowiada w braku słów serdecznych, gorących. Przebaczymy mu; „tak prędko przebiegł gościniec tak długi;” zaledwie uśmiechnęło się szczęście, już je musiał oplakiwać; ze szczytu spadł w głębię. Gdy miną pierwsze paroksyzmy bólu, uzna prawdę słów Maryli i stanie się bohaterem narodu — nie Gustawem już, ale Konradem. Wówczas nie będzie „cieniem lub jej postaci;” nie zjawi się w noc *Dziadów* na wezwanie guslarza, na prośbę kochanki, która przyjdzie po latach i pytać się oń będzie. Raz tylko rzuci okiem na błonia wspomnień i ukaże wielką ranę na czole... Kobieta pozna wówczas cały ogrom tego, co straciła; zapłacze strasznie i modlić się będzie do Boga, ażeby jej ukochanego po drogach życia prowadził... Przeklinać jej niepodobna; żałować — można. Jaka będzie w przyszłości — nie wiemy; nie radzibyśmy podzielać gorączkowych przypuszczeń Gustawa:

Niewinna, nieznająca, niewiedząca, głucha,  
Jaką będzie? — Wstyd mówić, choć mię nikt nie słucha.

Na wywrócenie atoli pomyślniejszej przepowiedni nie mamy żadnych danych. Za nic ręczyć nie mo-

zna. W tej dobie życia, w której ją poznajemy, jest ona majowym uśmiechem młodości, który zmroził nagle śnieg spadły niespodziewanie. Przed nią lato całe i jesień życia. W głębi jej ducha odkryliśmy pewne przymioty, które nie pozwalają na hurtowne zaliczenie jej do gawiedzi bezmyślniej, pustej. Nie chcąc się wkładać w tajemnicę domowego ogniska, które poeta w rozdrażnieniu „niecnem” nazwał, wolimy widzieć na skroni Maryli (zmarłej w r. 1864) ów wieńiec z polnych kwiatów, który kochanek z pieni nieśmiertelnych uwił, a przy jej sercu ów listek cyprysu, który w wieczorze rozstania wzajem sobie dali, zaprzysięgając wieczne milczenie... Jakkolwiek smutno pomyśleć, że drogi ich rozeszły się w strony przeciwne; toć przecie wspomnienie potomnych połączy te dwa imiona, i być może, z większym mówić o nich będzie społeczcium i szacunkiem, niż o obojętnie dumnej Laurze i napuszenie czułym Petrarce, niż o poddańczo-uległej Heloizie i wstrętnie-despotycznym Abelardzie...

## II.

### G r a ż y n a.

Północ. Ciemno; księżyc tylko opromienia ziemię. Ruch jakiś w ponurym zameczysku, które stanowi dla nas przedmiot sennych rozmyślań jak średnio-wieczna legenda. Było-to przed wieki, wśród pogańskości Litwy. „Na lewem skrzydle zamkowej budo-

wy" — ukazuje się oblana nie promieniami księżyca, lecz cieniem przez wieżycę rzuconym „córa możnego na Litwie dziedzica, z cór nadniemeńskich pierwsza krasawica." Rysów jój dokładnie odróżnić nie podobna; wyniosła tylko postać silnie się odznacza. Musimy się całkiem powierzyć jasnowiedzeniu poety. Schodziła ona „pod lat niewieściich *południe*." łącząc na swęj twarzy wdzięki dziewicy i matrony: zadziwia powagą, a nęci świeżością.

Kwiat młodego nie stracił rumieńca  
A razem owoc wnet pełni dorobnie...

Wzrost jój dorównywa wzrostowi małzonka (Litwora) — przymiot niezmiernie ważny w czasach przewagi siły brutalnej: nadawał on znaczenie i poważanie tym, którzy go posiadali; prawie był nieodłączny od pojęcia władzy książęcej, czy królewskiej:

Książęca para, kiedy ją okoli  
Służebne grono — jak w poziomym lesie  
Sąsiednia para dorodnych topoli  
*Nad wszystkich głowę wystrzeloną niesie.*

Zgodnie z temi warunkami fizycznymi przedstawia się jój usposobienie moralne. Iglą, wrzcionem „niewieściemi" wogóle „zabawami" gardziła, a siłą dłoń chwytała za oręż i harcowała na koniu:

Często — myśliwa — na żmudzkim rumaku  
W szorstkim ze skóry niedźwiedziej *kirysie*,  
Spiąwszy na czole białe szpony *rysie*,  
Pośród strzelezego hasała orszaku.

Ciało silne, zdrowe, znosiło niewygody i nie lękało się dotknięcia twardej zbroi ówczesnej; a duch

niepodległy i wielki zwalczał wszystkie trudności. Dla niej nie było nieprzystępnego przedmiotu: wraz z mężem dzieliła naprawdę rządy nad ludem. Nie się bez jój rady obyć nie mogło — owszem słowo jój było przeważne zarówno w sprawach pokoju jak i wojny. Nie szukała atoli stąd chluby żadnej; nie przechwalała się, torem innych niewiast, przewagą, jaką nad umyślem męża posiadała, gdyż wiedziała, że ubliżałoby to książęcej jego godności. Rozsądna, trzeźwa w swoich poglądach, zna świat doskanale; rozumie, że niekiedy „lot młodych ludzi" podnosi ich chęci ponad „słuszność lub możność," i że wtedy potrzeba czekać, aż „czas i cicha *uwaga*" rozjaśni myśli, przystudzi zapaly... „*Pierzełliwe słowa* niepamięć zagrzebie" — powiada do starego rycerza, niepokój jego hamując. Umie panować nad sobą; spokoju w głosie i twarzy nie traci nigdy — możnaby nawet powiedzieć, że jest zbyt zimna, zbyt marmurowa. Nie byłoby to jednak zgodne z prawdą.

Pomimo owych przymiotów męskości, o których mówiłem, jest w niej usposobienie czysto-kobiece, najłepiej wykazujące się w chwili działania. Kiedy przyszło do zatargów pomiędzy synami jednej ziemi, spokrewnionemi ze sobą; gdy krew o kawał gruntu przewlewać się miała; gdy mąż wezwał na pomoc nienawistnych krzyżaków: — ona, zgodnie ze swym charakterem, energicznie przeciw tak smutnemu objawowi powstaje; ale w motywach jój postępowania gra po części próżność:

Nie chcę, *ażebym po Litwie gadano*,  
 Że brat na brata następował zdrowie,  
 Wziął gardło lub dał za *Grażyny wiano*. —



powiada na wieść o mających nastąpić układach z Zakonem, który chrzcil i łupił Litwę... Nie chce, by jej wiano, by ona sama stała się przyczyną krwi rozlewu, ale dlaczego? — ażeby o tém nie mówiono w kraju... Myśl szlachetna — podszyta skrawkiem obrażonej próżności... Rzucając to spostrzeżenie, nie chcemy ubliżyć Grażynie: bliżej ją tylko charakteryzujemy. Grażyna nie jest niebianką, ale — kobietą.

Toż samo i w dalszém pstepowaniu. Rachuje ona wiele na swoje wdzięki, na prośbę, na uśmiech — ale rachuje także na zwłokę: jedna chwila nie u niej nie rozstrzyga. Gdy przyjdzie niebezpieczeństwo stanowcze, nie znajdzie jej przygotowaną. Wydała np. rozkaz, ażeby oddalono posłów krzyżackich — pomimo, że mąż na to nie zezwolił; a gdy rozjątrzeni Niemcy byli już blisko miasta, które chcieli zdobyć szturmem, pyta się giermka: „Kędyż są posłowie?” — a na przypomnienie danego rozkazu, przyznaje mu słusność i robi uwagę: „jakże to wszystko z głowy mi wypadło...” Są to rysy natury kobiecej, wybornie pochwycone. W normalnych warunkach życia była ona „panią swojej postaci;” w dziwnie splątanych okolicznościach, grozących burzą straszną, „pomieszanie, widne w jej osobie, do ust wyrazy nieporządne kładło.” Wprawdzie trwało to chwilę tylko; ale zawsze istniało. Poeta, nie zważający na rzeczywiste fakta życiowe, byłby pominął te chwilowe nawet słabostki, ażeby bohaterkę swoją utrzymać ciągle w bengalskim ogniu wielkości; Mickiewicz — realista postąpić tak nie mógł: trzymał się natury.

Czas naglił. Trzeba się było decydować. Grażyna przebiera się w zbroję męża i choć „nierównym

stąpa krokiem;” choć „drżąc z rąk giermka bierze łuk i kołczany;” choć „miecz nawet” wieszka „ponad prawnym bokiem;” — staje na czele szyków i idzie na wroga. Walczy mężnie, ale bezskutecznie: „bezwładna szabla po pancerzach dzwoni, albo się zwija, odbita żelazem;” nie umie wydawać rozkazów: „wojsko bez sprawy ładajako puszcza.” Kula ze strzelby kontuza trafia ją w piersi. Mąż zapóźno przybiega; pomścił tylko jej śmierć na konturze.

„Przebac mężu! pierwsza i ostatnia zdrada!” — takimi słowy żegna świat i ukochanych. „Niewiasta z wdzięków — a bohater z ducha!” — oto pochwała, jaką uczcił mąż płonąca na stosie, starożytnym Litwinów obyczajem. Słowa te atoli za zbyt słabe uważał: nie wypowiedziały one wszystkiego; stracił w niej życie swoje — nanie mu się już ono nie zdało.

....bieży na stos, upada na zwłokach;  
Ginie w płomieniach i dymu obłokach.

My bezstronniejszemi być musimy. Poeta ukazał nam Grażynę na chwilę tylko: nie wyśpiewał całej jej duszy: jeden jej czyn opromienił gwiazdami natchnienia... Podziwiając siłę woli i to niezważanie na przeszkody piętrzące się jak alpejskie lodowiska; ceniąc męskosć postanowienia, widzimy w niej przecież zbyt wielkie w sobie zaufanie, zbyt może kapryśny targ z losem ludzi, od niej zależnych. Nie lekceważenie życia, nie mogiła rozpaczliwych usiłowań jest ideałem naszych dążeń; lecz rozumne chociaż serdeczne rozrządzenie temi środkami, jakich nam przyroda i społeczeństwo do ciągłego rozwoju dostarcza...

## III.

## Aldona.

Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,  
Wszystko rozerwie nienawisć narodów:  
Wszystko rozerwie... lecz serca kochanków  
Złączą się znouu w pieśniach wajdeloty...

Kto czytał życiorys naszego poety, nie może nie wiedzieć o cudnej dolinie *Kowieńskiej*, przezwaną już teraz *doliną Mickiewicza*... Ona była najmiłszem miejscem jego samotnych wieczornych przechadzek, na niej pragnął wdziękami cichej i spokojnej przyrody ukolysać to burzliwe serce, co mu gwałtownie pierś rozrywało, pragnąc być zgodnie z sercem ukochanej Maryli, która była daleko... Trzy lata, całe trzy okropne, rozpaczliwe lata, przepędził Mickiewicz w Kownie, wołając głosem złamanym, który miał być stanowczym: „precz z moich oczu!.. precz z mego serca!.. precz z méj pamięci!..“—a zawsze bolejąc i marząc, bo „tego rozkazu moja i twoja pamięć nie posłucha,“ gdyż wszędzie poeta „cząstkę swój duszy zostawił.“ To też choć „kłał swą duszę, że w niej są jeszcze ostatki uczucia“—pamięć przecież „jak lampa z kryształu“

Ubrana pędzlem w malowne obrazy,  
Chociaż ją zaćmił pył i liemie skazy;—  
Jeżeli świecznik postawią w jej serce,  
*Jeszcze świeżością barwy znieci oczy,*  
*Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy*  
*Kraśne, acz nieco przyjemione kobierce...*“

W pięć lat potem postawił świecznik w serce owej lampy—i oddalony od miejsca, w którym prze-

bywał, odmalował świetnemi barwami dzieje swych wspomnień, uwieczniając w potomne pokolenia swą ukochaną dolinę. Tam dni całe przesiadywała „młoda i piękna jak bóstwo“ córka Kiejstuta—Aldona. „Gdzie poszła?—w dolinę. Skąd powraca?—z doliny. Cóż w tej dolinie?—Młodzieniec ogród dla niej zasadził.“ Tam nawet w zimie oczy swe zwraca, by ukochanego zobaczyć: „Szyby obrócone ku Niemnu w zimie lodu nie znają, bo tamtędy Walter przechodzi...“ Było tam siedzenie z darni „gdzie po letnim znoju lubiła spocząć między jaworami;“ źródło, skąd Walter czerpał dla niej napój ożywczy; chłodnik suchemi ogrodzony wierzbnami, które wyrosły potem na piękne drzewa, puchami młodych kwiatków obsypane, i kamień wyniosły „który przechadzek był celem.“ Czar wspomnień owionął tę dolinę; nikt już nie wydrze jej z naszej pamięci... a dusze kochanków, pieśnią wajdeloty złączone, unosić się nad nią będą—jak duchy świątne...

„Serce i potok ostrzegają daremnie!“ — „Pukiel włosa bursztynowy i połysk drobnej, śnieżnej ręki“ niezatarte zostawiły ślady w umyśle Waltera, a opowiadania o krajach niemieckich, o przypadkach niezszczęśliwej młodości, o cudach wiary chrześcijańskiej zabiły w Aldonie dawną wesołość i upodobanie w dziecinnych rozrywkach. Gdy towarzyszki, jej rówieśnice czas na zabawie spędzają, ona siedzi samotna albo z Walterem rozmawia; z rąk igła wypada, nici płatają się w krośnach; kwiatek róży wyszywa zielono a listki—czerwonym jedwabiem. Inaczej też być nie mogło: jej oczy i myśli tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają. Od dzieciństwa już zresztą za czémś nie-

oznaczoném tęskniła i wdychała skrycie. Uciekała z „poziomój łąki“ i, stanawszy na najwyższym pagórku, prosiła skowronków, by ze swych skrzydeł dały jej po piórku a ona poleciałaby z niemi daleko i wysoko gdzieś za chmury; pragnęłaby tylko wziąć z owego wzgórza *kwiatek niezabudki*, by jej ciągle strony rodzinne przypominał—i *zniknąć*. Walter zastąpił jej skowronków i skrzydłami orlemi wznosił do siebie... Były-to już zadatki późniejszej sentymentalności, która bujnie się rozrosła na gruncie nieszczęść i smutku. Bo dopóki miłość nadzieją się cieszy, małe chmurki niepokojących marzeń znikają szybko—w duszy robi się jasno i przezroczo... Aldona była szczęśliwą w miłości—mogła z Walterem wszystkie podzielać chwile; została jego żoną.

Chwilę to trwało—rok jeden. Napady krzyków ponawiały się ciągle: w duszy Waltera powstał groźnie niepokój i zatrwożył Aldonę. Ona go nie odczuwała; nie знаła swego męża, nie zmierzyła się z siłą jego ducha. Myśl wściekła, szalona, choć wielka, opanowała umysł Waltera: „wielkie serca są jak ule zbyt wielkie:—powiada on do lubój—*miód* ich zapełnić nie może — *stają się gniazdem jaszczurek*.“ Gdzież biednej uczuciowej Aldonie zrozumieć te wulkaniczne wybuchy!... Gruchać umie miłośnicie; lecz krzyk orła dreszczem ją przejmując. Grobu chciałaby uniknąć, wieniec z róż kładąc na głowie; łzami zagasić pożar miast i wiosek... Konieczności zrozumieć nie może; sądzi, że Walter mocen świat cały zwyciężyć, że wrogów zresztą nie ma, bo „ojczyzna jak świat jest długa, szeroka bez końca.“ Stąd obawy męża stara się uspokoić słowy łatwemi: „straże pilnują okopów“—więc

Waltera nikt zabić nie zdoła. „A jeśli nędznej starości dożyję?“—pyta Walter—„Bóg nam zdarzy pociechę z dziełek.“—A jeśli Niemcy napadną, żonę zabiją, dzieci uwiozą daleko i nauczą wypuszczać strzały na ojca własnego?—I na to Aldona miała prędką odpowiedź: pojedziemy dalej w Litwę, skryjemy się w lasy i góry... A jeśli nas Niemiec w górach wysledzi? „Znowu dalej ujedziem“—mówi niezmiészana małżonka. Dopiero gdy jej Walter objaśnił, że dalej w moc dziczy się dostaną; *ręce zalamuje*, płacze i pyta: co począć?... W odpowiedzi słyszy słowa Waltera dzikie, okropne, które serce jej w kawałki, krwią ociekłe, szarpały:

Biada niewiastom, jeśli kochają szaleńców,  
Których oko wybiegać lubi za wioski graniec;  
Których myśl, jak dymy, wiecznie nad dach ulatują;  
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć...

Walter patrzył dziko: w tém wejrzeniu Aldona nie znajdowała już dawnej pociechy. Pamiątki, przeszłość, wszystko spletało się tłumnie w jej duszy: o nich już nie myślała; ale „sercem odgadła, że *niepodobna zapomnieć*.“ Jedno tylko słowo: *jedziesz* — brzmiało w jej uchu; wymawiała je, drżąc cała, nieprzytomna. Jak na twarzy nagle zabitego człowieka pozostaje odcisk ostatnich wrażeń, tak w sercu i na ustach Aldony, jeden, jedyny dźwięk się odzywał.

Zobaczyła klasztor za Niemnem... W białe szaty, jak do ślubu ubrana, tam „znalazła grobowiec za życia.“

Ledwie stanęła za święconym progiem,  
Na próg zwałono cegły i kamienie —  
Została sama z myślami i Bogiem.

Przez okratowane okienko lud dawał jój żywienie. Sama nigdy nie wyglądała, by się przypatrzyć pogodnemu niebu i poić się świeżym oddechem wiatru. Czasami tylko, gdy z *pruskich* wiosek dzieci igrały „u bliskiej dąbrowy,” stawała u kraty, by się wspomnieniami dzieciństwa i rodzinnego kraju ukolysać. Dziesięć lat takiego grobowego życia zabiły w niej ciało; rozdmuchały lampę wspomnień; rozzarzyły idealne uczucia... Kiedy Walter (Konrad) powraca i, chcąc zaniechać swego zamiaru, namawia ją do ucieczki, ona nie pragnie go już nawet *zobaczyć*; dla niej dosyć szczęścia, gdy go znajduje żywym; gdy miły głos jego co wieczora słyszy; a kiedy księżyc żywszém światłem w okno wieży zajrzy, ona kryje się za ściany, by Konrada nie zobaczyć zbliska. Drży o uludę wspomnień: „Ty może dzisiaj już nie jesteś taki, jakim bywałeś przed laty” — mówi do kochanka; a i sama lęka się o siebie: „Gdy—powiada—z uniesieniem padnę w twe ramiona” — może ty odwrócisz oczy, nie poznasz i zapytasz z trwogą: ten *straszny upiór* jest-że to Aldona?—Z załamanemi rękoma, wyrzeka się rzeczywistości, byle tylko złudzeń nie stracić. Dla niej są one droższe od skarbów najwyższego szczęścia, jeżeli to jest niepewne. Nie pragnie być na stypie miłości; pragnie tylko *odświeżać wspomnienia*... Chce, żeby Konrad urządził chłodnik koło wieży jak niegdyś w Kownie, żeby wierzy kochane sprowadził — i kwiaty — nawet ów kamień, który obmył łzami... Grobowej podobna kolumnie, na której wieńce nieśmiertelników wieszają... ma życzenia czysto-idealnej natury, łzami lat dziesięciu oblane, wykarmione oddechem chłodnej, murowanej wieży... Takie natężenie niezwykłe sił

ducha z podeptaniem przyrodzonych praw ciała wpłynęło zgnębnie na cały organizm. Pomyślcie sobie: przez długie lata, ciągle, o każdej dnia i nocy porze rozmyślać o jedném tylko: o dolinie kowieńskiej i o miłości Waltera!... To była cała jój rozrywka, cała przyjemność. A młodość złamana, wątek szczęścia urwany przy samym początku, niepokój o życie ukochanego, który po dalekich gdzieś krajach wywalał sobie prawa rycerstwa; porzucona rodzina, której blade wspomnienie w bawiących się dzieciach widziała... wreszcie samotność, okropna, zabójcza samotność—wszystko to jakby całunem żywą jeszcze istotę przykrywało. Widziadła jój—pozaświatowe, pragnienia—pozazmysłowe. Dawniej prosiła, by ją sny pocieszały obrazem Waltera, chociaż obraz był niemy; dziś szczęśliwą się czuje, gdy może *plakać* razem...

Jedna chwila bólu—a istnienie takie musiało się z konieczności przerwać. Chwila ta nadeszła. Sądy tajno skazały na śmierć Konrada — zginął. Wtedy o ściany wieży obił się krzyk nagły, przeciągły: — krzyk, z którym ustało życie Aldony. Dotrzymała przysięgi, którą złożyła przy wejściu na próg swego więzienia, że nie zstąpi z wieży, chyba do mogiły... Podanie mówi, że grób jój sływał cndami...

Aldona nie jest postacią historyczną; co więcej, zdaje się nawet, że wśród pogańskiej i barbarzyńskiej ławy byłaby zjawiskiem nader dziwaczném; prostota obyczajów i prostota uczuć nie pozwalały zapewne kobiecie roznasuwać tkanki sentymentalizmu, jaki właściwie dopiero z pojawieniem się poezji romantycznej w społeczeństwach europejskich widzieć się daje. Bo przedlowlowieczna nawet miłość, której obrazki wysta-

wiają nam przedewszystkiem prowansalscy poeci, była rzadziej połączeniem poetycznych draperij z wyszukaną zmysłowością, aniżeli platonicznym idealizmem. O pasterkach zaś i pasterstwie we frakach i perukach XVIII wieku nie potrzebuję zbyt szeroko się rozpisywać, ażeby dowieść, że to była jedynie hipokryzja wyuzdania i rozpusty. Romantyzm dopiero wypowiedział z całą siłą słowa i z całą otwartością przekonania te drzemiące w duszy ludzkiej pierwiastki, powołując do życia i do królowania w świecie takie poetyczne zachwyty, które obywają się bez spojrzenia i bez uścisku... Ale i u poetów *romantycznych* nie wszędzie oczywiście występuje taki pogląd na jaw; owszem w pewnych chwilach twórczości przemaga czysto-ludzkie uczucie, takie jak je w charakterystyce Mickiewicza skreśliliśmy; w innych zaś przewaga zmysłowości, rozkiełznania, rozpuszczenia wszystkich więzów krępujących moralność napotkać się daje i to nierzadko (np. dramata poety niemieckiego, romantyka, Ludwika Tieck'a albo powieść Lucynda Fryderyka Schlegla).

Aldona powstała w jednej z owych chwil wyidealizowanego uczucia, kiedy miłość dawna istniała już tylko we wspomnieniach oddalonych, a miłości nowój poeta jeszcze nie zaznał. Poeta kochał same wspomnienia; i to, co w kreśleniu uczucia dla Maryli było jednym ustępem tylko — teraz przemienił w kształt skończony. Aldona jest wierzchołkowym punktem *romantyzmu* Mickiewicza. Smutna, zadumana, marząca o nadpowietrznej wędrowce wraz z skowronkami, woli *jedną chwilę* uniesienia, szału, niż *ciche życie*, przepędzone w nudzie; pogardza ludźmi, co jako „konchy, tające się w bagnie, raz na rok wypchnięte z mętnej

wody, otwierają usta i westchnąwszy ku niebu, wracają napowrót do brudnego mułu;...” nie zna i nie lubi półśrodków; na dwie rozdzieloma połowy, życiem ascetycznym rozbudziwszy w sobie grę fantazyi, przeklina lub błaga, pod wpływem jednego namiętnego słowa. Myśli jej latają jak błyskawice, pędzone sprzecznych uczuć uraganem. W przeciągu może minuty mówi do Konrada:

Jeśli narzekasz, nie przychodź tu więcej

.....  
 I niech zaginie pamięć tej godziny,  
 W której nie miałeś litości nademną.

I zaraz dodaje, nie czując prawdopodobnie żadnej w znaczeniu słów różnicy:

.....Ty jesteś aniołem!..

Aldona atoli nie była samą jedynie odbiciem indywidualnych uczuć poety; charakteryzowała ona obok tego pewien prąd ogólniejszy, który, jeżeli nie rozpowszechniał się na kraj cały, jeżeli nie przenikał do wszystkich warstw społecznych; to w każdym razie wstrząsał tą ich częścią, która się w poezyi społecznej europejskiej lubowała. Uczucie nieszczęśliwie się kończy z nader licznych powodów; — a zawsze lubi się osłaniać jakąś tajemniczą zasłoną wstydu czy dumy. Kto nie chce doznać zawodu, niech je tak wysoko umieści, ażeby żadna ludzka ręka dosięgnąć go i rzucić w błoto nie mogła. Najprostszym ku temu środkiem jest idealizowanie... Nikt takiego zidealizowanego uczucia wydrzeć nie śmiał. Taką wydaje mi się *ogólna* społeczna podstawa, na której się wznosi posąg Aldony osłonięty kre-

pą... Może w ten sposób poeta choć na chwilę ją pojmował; chwila ta byłaby dostateczna do usprawiedliwienia mojego poglądu. Bądź co bądź, Aldona jest obrazem namiętnego serca, zatrutego zbyt wcześnie.

#### IV.

Zanim przyjrzymy się dalszym postaciom stworzonym przez poetę, musimy raz jeszcze zajrzeć w głąb jego serca i drgnienia jego, o ile uwydatniły się silniej, policzyć.

Jeżeli mamy zawiązać bijografom, którzy czasami zanadto wyzyskują przysłowiową wrażliwość dusz poetyckich, Mickiewicz niejednokrotnie czuł choć chwilowy tylko pociąg ku rozmaitym pięknym twarzyczkom zarówno w Wilnie jak w podróży krymskiej, zarówno w Moskwie jak w Petersburgu; przytaczają nawet imiona i nazwiska tych wyróżnionych przez poetę kobiet; szczegóły jednak podawane przez nich są tak nie liczne i tak mało znaczące, że niepodobna utworzyć z nich sobie dokładniejszego obrazu zarówno ich postaci jak i natury uczucia, jakie w sercu Mickiewicza wzbudzały. To ogólnikowe wspomnienie niech wystarczy na scharakteryzowanie tych chwilowych upodobań.

Inaczej rzecz się miała z uczuciem, którego doznał poeta nasz w Rzymie, a które było jesiennym jakoby kwiatem miłości; nie tak świeżem i głębokiem jak uczucie dla Maryli ale zawsze szczerem i prawdziwem. O niem mamy dosyć dokładne sprawozdania

zarówno w *Listach z podróży* Antoniego Edwarda Odyńca, jak i we wspomnieniach samej bohaterki spisanych przez Sewerynę Duchinińską. Prócz tego i „Korespondencyja” poety ogłoszona w 1871 i 1872 rzuciła dużo światła na wewnętrzną stronę życia, która na umysł i serce poetów większy pospolicie wpływ wywiera aniżeli zewnętrzne losy koleje. Promienie tego światła rozpraszają między innymi niektóre ciemne punkty z chwili życia Mickiewicza, rozpoczynającej się w końcu maja roku 1829 od wyjazdu jego z Petersburga, a kończącej się na wyjeździe z Rzymu w kwietniu 1831 roku.

Chwila ta jest nadzwyczaj ważna z kilku różnych powodów. Wówczas-to bowiem umysł naszego poety wzbogacił się naocznem oglądaniem wielu krain, znanych mu dotąd jedynie z książek i opowiadania podróżników; wówczas widział Mickiewicz zabytki rzeźby, architektury i malarstwa, nagromadzone w kościołach, muzeach i galerjach stolic europejskich; wówczas poznał owo włoskie niebo, do którego wzdychały i wzdychają dusze poetyckie; wówczas wszedł w świat salonowy różnorodniejszy i większy, aniżeli były salony Moskwy i Petersburga; wówczas wreszcie doznał stanowczego wpływu na swoje uczucia religijne, co go później do mistycyzmu doprowadziły. Zresztą chwila ta bogata była i skądinąd w przewroty zarówno zewnętrzne (np. rewolucja lipcowa paryska i inne) jak i wewnętrzne (np. rozwój klerikalizmu, liberalizmu, saint-simonizmu i mnóstwa odcieni różnorodnych przekonań); co wszystko nie mogło oczywiście przejść bez śladu w umyśle takiego człowieka, jak Mickiewicz.

Nim jednak wielkie wypadki dziejowe zaczęły

zajmować wybitniejsze miejsce w duchu poety, rozgrywały się tymczasem w sercu jego niehałaśliwe komedye i dramata, z całkowitym łańcuchem wypadków jego żywota drobnemi ale silnemi ogniwoami związane.

Przypatrzmy się bliżej tym ogniwom, które w języku przywiązania, przyjaźni i miłości mogą być ochrzczone nazwiskami trzech bobiet: księżnej Zenejdy Wołkońskiej, Anastazy Klustin (późniejszej hrabiny Circourt) i Henryjety Ewy hrabianki Ankwiczówny.

Pierwsza z nich, księżna Zenejda, była dawną znajomością poety jeszcze z Moskwy, gdzie bawił w roku 1826 i 1827. Zenejda znacznie przewyższała wiekiem Adama, kochała w poecie człowieka, uznawała jego rozum, podziwiała gieniusz. Dom swój i stosunki oddała na jego usługi, błagając go niemal, ażeby w jej pałacu zamieszkał, ze znajomości jej korzystał, w cierpieniach swoich do niej się uciekał. Dla niej-to poeta napisał wiersz: *Na pokój grecki*. Po opisie wspaniałym rzeźb i malowideł, zdobiących tę starożytną komnatę, po nawiasowem wspomnieniu gwiaździstego wzroku i najpiękniejszego czola „nimfy-przewodniczki”, poeta nie mógł zapomnieć o bożku miłości Amorze, co uciekwszy z Afrodyty łona drzemal ssąc rubinowe piersi winogrona, nie mógł o nim zapomnieć i zawołał:

Wielki grzech bez ofiary minąć bóstwo twoje!  
O piękna nimfo! bądźmy nabożni oboje.  
Niestety! przewodniczka chłodnym rzutem oka  
Jak laską Merkurego uderza z wysoka  
I duszę mą leącą w rozkoszy raj błogi  
Wypęda bez litości za nadziei progi.

Cóż opowiem wrócony do śmiertelnych kraju?  
Ach, opowiem, że byłem w pół drogi do raju,

Z duszą napoly tęskną, napoly radośną,  
Słyszałem już tę rajską rozmowę w pół głosną  
I widziałem te rajskie pół-światła, pół-cienia  
I doznałem, niestety, tylko pół zbawienia...

Wyrażenia wiersza i uczucia w nim wyśpiewane są z natury poezyi przesadne nieco i nie dają zapewne prawdziwego obrazu rzeczywistości.

Jaką zaś była rzeczywistość, moglibyśmy wnieść po części z listów wieszczka naszego do księżnej Zenejdy, gdyby drukiem były ogłoszone. Na nieszczęście, listów tych wcale nie posiadamy; a pełne czułości i troskliwego opiekowania się losem Mickiewicza wyrażenia księżnej mogą jedynie świadczyć o stanie własnego jej serca. Bezwątpienia, prawdopodobną jest rzeczą, że nasz poeta, ujęty jej przyjacielskiem postępowaniem, pierwszy raz wszedłszy w arystokratyczne sfery, olśniony był na chwilę nowemi dla niego przedmiotami; później atoli nie mógł odplacać swojej opiekunce uczuciami, któreby w stopniu natężenia nie pozostawały dłużnikami... Księżna zachodząc w lata stawała się wielce pobożną, i to w duchu katolickim. Jeden z przyjaciół poety Szewyrew nazywa Zenejdę jego *aniołem*, nie wiadomo, czy w przesadnej frazeologii uczuciowej, jaka wówczas była w modzie, czy też (co prawdopodobniejsza) używając wyrazu anioł w znaczeniu anioła-stróża, którym przez czas jakiś dla Mickiewicza księżna była rzeczywiscie. Poeta nasz przyjmował jej opiekę z uczuciem przyjaźni i umiał być za nią wdzięcznym; z listów jego dowiadujemy się, że jak dawniej w Moskwie tak i później w Rzymie bywał u niej częstym gościem i korzystał z jej uprzejmości nieraz.

Stosunek z Anastazyją Klustin był całkiem inny. Panna światowa, bogata, myśląca jedynie i wyłącznie o uprzyjemnieniu sobie życia, oczytana zresztą, korespondentka wielu znakomitości, wychowana w atmosferze pochlebstw i komplementów, dziesiątą muzą nazywana, nie wymagała zapewne ani czułego przywiązania, któreby się jęj wydawało zanadto sielankowem, a zatem co najmniej szmiesznem, ani tóż gorętszego afektu, któryby przełamał ten silny choć z niczego zbudowany mur, co się regułą konwenansu nazywa. Z nią potrzeba było być zawsze w dobrym humorze, żartować i dowcipkować, o rzeczach poważnych myśleć niewiele, a przynajmniej nie mówić, słowem być *un chevalier servant* w pełnem znaczeniu tego romantyczno-salonowego wyrażenia. Poeta nie potrzebował tu szafować uczuciem, szafował tylko dowcipem. Można przypuszczać z pewną dozą prawdopodobieństwa, że Mickiewicz korespondując z dowcipną panną, musiał się wprawiać w ten ton żartobliwo-złośliwy salonów. Zazwyczaj w pismach jego widnieje jasne, serdeczne uczucie, wyrażane słowami prostemi, znanemi z potocznej przyjacielskiej lub uczonęj rozmowy; w korespondencji z panną Klustin, próbował sprocentować zasoby dowcipu żartobliwego, lekkiego i lekkomyślnego, jaki nagromadził w czasie pobytu w Moskwie i Petersburgu. „Podpisany — powiada pisząc z Genewy — kupiec ubogi ale sumienny niesłychanie się trudził od jakiegoś czasu zapłacić monetą wartościową przesyłki materyjałów w spirytuożów, których pani dom bogaty raczył mu codziennie dostarczać. Z naturalnego więc wyniku rzeczy poruszył wszystkie swoje zdolności rzeczyste i domyślne

i przymusił je wyrabiać bez przestanku liczbę wystarczającą komplementów, podziękowań, dowcipów i innych walorów mających kurs u płci pięknej. Niestety, poznał wreszcie niedostateczność takich operacyj, ponieważ w handlu waszym macie obfity zapas dowcipów, żartów i trafnych odpowiedzi, a on je wyrabia z wielkim trudem i powolą; nie mówię już o improwizowanych konceptach, które kuje z większym jeszcze mozolem. Ostatni ładunek przesłany zastał go nieprzygotowanego; jest więc zmuszony zawiesić wypłaty; by zaś nie został oskarżony o upadłość zbrodniczą, wyznaje i oświadcza, że jest w posiadaniu znacznego zapasu wdzięczności, który należy się tylko pani bez podziału, lecz którego nie może inaczej wypłacić jak tylko monetą sentymentów i uczuć.”

Nie zawadzi tu przypomnieć, że już w tym czasie w duszy Mickiewicza przebywał obraz kobiety, która miała zostawić żywsze i głębsze ślady w jego życiu aniżeli salonowe przekomarzenia się z panną Klustin. W tym samym czasie pisał z Genewy do pani Ankwiczowej list pełen serdecznej troskliwości o losy i zdrowie całego domu i dodawał: „Opuszczam Genewę w daleko innym humorze, aniżeli do niej przybyłem; większa część przyjemności podróży mojej już zgóry stracona i raczej z nudy niż z ciekawości przedsiębiorę te nowe kursa.” Znajomość tedy i częste bielenki od panny Anastazyi były zdawkową monetą życia, o której się zapomina niemal w tej samej chwili, kiedy wyrazy wypowiedziano a widywanie się na czas jakis przerwane zostało. Mickiewicz był wówczas galantem fak rzadko: sypał komplementami, chciał opiewać rymem wdzięki panny Anastazyi, którą a d-



mirował Thorwaldsen, bawił się drobnostkami, jakby nigdy poważniejszej myśli nie zaznał.

Przy końcu roku 1830 panna Klustin wyszła za mąż za hr. Circourt, stosunków atoli z poetą nie zerwała; owszem utrzymywała je ciągle, jak świadczy kilka dochowanych listów poety do niej, z których ostatni nosi domyślną datę 1847 r. W listach tych spotykamy gdzie-niegdzie słabe przypomnienie poprzedniego okresu żartów i grzeczności, wogóle jednak więcej w nich mowy o sprawach literackich i artystycznych. Wielka zaiste szkoda, że listów panny Klustin nie posiadamy, gdyż z nich moglibyśmy poznać lepiej charakter i sposób myślenia kobiety, co przez czas pewien dość silny wywierała wpływ wprawdzie nie na serce ale na umysł naszego poety. Mickiewicz sławi jej gust i znanstwo w rzeczach artyzmu, nie wątpimy więc o jej wykształceniu; niepodobna jednak scharakteryzować go dokładniej. Czy po za tym życiem, które z listów Mickiewicza i Odyńca poznajemy, były jakie żywe i głębokie pragnienia, czy w umyśle dowiecipnej i artystycznie wykształconej korespondentki falowały prądy wyższego świata; są-to pytania, na które sumiennie odpowiedzieć nie można ani tak ani nie.

W galerii pamiątek, duchem poety opromienionej, wybitniejsze postać Henryjety Ewy Ankwiczojny, z którą Mickiewicz zapoznał się w Rzymie pod koniec 1829 roku. Zaproszony przez hrabiego-ojca był bardzo częstym gościem w jego domu. Zbierało się tu liczne towarzystwo Polaków, z którymi życie upływało bardzo przyjemnie a nawet pożytecznie. Z całego atoli towarzystwa najwięcej zajmowała poetę 18-letnia hrabianka Henryka, w której zamilowanie do rze-

czy swojskich wzbudziły po raz pierwszy poezyje wieszca z Litwy. Nie była ona właściwie piękną co do rysów, ale miała jakiś poetyczny powab; a co najważniejsza, we wrażeniu ogólnem całej fizyognomii przypominała Marylę. Dusza jej, o ile domysleć się można, czuła, serdeczna, ale hartu i energii nie posiadająca, zaczęła się napawać pięknościami oczystej twórczości i powoli przychodziła do przekonania, że nietylko zamorskie płody smakować mogą i powinny. Znała dawniej nietylko z pism ale i osobiście Lamartine'a, Chateaubrianda, obecnie poznała Mickiewicza. Nie potrzeba sobie zresztą wystawiać, że literatura pochłaniała wszystkie godziny jej życia. Bynajmniej. Wizyty, rozmowy w salonie, zabawy, przejażdżki wzdłuż i wszerz Włoch: do Pizy, Florencyi, Liwurna; zwiedzanie Elby i Korsyki wyplacały daninę należną arystokratycznemu tonowi i wielkoświatowemu regulaminowi życia. Przejażdżki te i rozmowy nie pozostały oczywiście bez wpływu na 18-letni umysł panienki, która była „przewodniczym dla poety aniołem przez rzymskie bramy, groby i świątynie.“ Miała błękitne oczy którymi „odgadywała przeszłość z jednego wyrazu.“

W początkach zapoznania się z Mickiewiczem była milczącą czyli (jak się wyraża poeta) „nie grzeszyła wielomówstwem;“ powoli jednakże rozgrzeszyła się i długie prowadziła z poetą rozmowy, nie zaniebując przytém fortepianu i gry w zielone. „Najniższy i najzieleniwszy sługa“—tak się tytułuje poeta z jednym z listów— przysięga na wszystko, co jest zielone, od mirtu aż do pokrzywy, że o każdej z dwudziestu czterech godzin panna Henryjeta znajdzie u niego kolor nadziei.

Rozmowy i zabawy połączone były z wycieczkami pieszemi i konnemi po Rzymie i bliskich okolicach. Panna Henryka, która już kilka lat w mieście tém przepędziła i tysiąca archeologicznych dysput się nasłuchiwała, mogła Mickiewiczowi wiele przedmiotów pokazać a nawet objaśnić. Tą okolicznością wywołany był wiersz naszego poety zatytułowany: *Do mego Cicerone w Rzymie*, napisany w r. 1830. Już w tym wierszu, tak miłym i potoczystym, przebija się głęboko ukrywane uczucie, które we wszystkiém miłój dla siebie przepowiedni doszukać się pragnęło:

Mój Cicerone! oto na pomniku  
 Jakieś niekształtne, niezajome imię  
 Wędrownik skreślił na znak, że był w Rzymie;  
 Ja chcę coś wiedzieć o tym wędrowniku.  
 Może go wkrótce przyjmie do gospody  
 Klótlwiwa fala: może piasek niemy  
 Zatai jego życie i przygody  
 I nigdy o nim nie się nie dowiemy.  
 Ja chcę odgadnąć, co on czuł i myślił,  
 Gdy w księdze twojej wśród włoskiej krainy  
 Za cały napis to imię nakreślił,  
 Na drodze życia ten swój ślad jedyny.  
 Czy drżącą ręką po długim dumaniu  
 Rył go powoli jak nagrobek w skale,  
 Czy go odchodząc uronił niedbale  
 Jako samotną łzę przy pożegnaniu.  
 Mój Cicerone! dziecinne masz lice,  
 Lecz mądrość stara nad twém świeci czołem.  
 Przez rzymskie bramy, groby i świątynie  
 Tyś przewodniczym był dla mnie aniołem.  
 Ty umiesz przejrzeć nawet serca z glazu,  
 Gdy błękitnemi raz rzucisz oczyma,  
 Odgadniesz przeszłość z jednego wyrazu,  
*Ach! ty wiesz może i przyszłość pielgrzyma.*

Napróżno jednak poeta dopytywał się o przyszłość swoje; ani on znać jej nie mógł ani téż jego cicerone. Cicerone poczuł w sercu silniejsze drgnienia, które oczy jego zwróciły do posągów bóstw starożytnych na żyjącego i genijuszem swoim w sfery boskości wzlatającego poetę... Poeta zaś cieszył się całym sercem ze świeżo rozkwitającego życia. Dwoje młodych ludzi miało się dowiedzieć o swój przyszłości z innego źródła, które dziwnym i niepodobnym do wytłumaczenia zbiegiem okoliczności zawierało prawdę, jeśli „zwierzeniem Ewuni“ mamy zaufać zupełnie. A było to tak:

Pierwszą wycieczkę po za miasto odbył Mickiewicz w towarzystwie, zaproszonem przez państwo Ankiewiczów, do ujścia Tybru w Fiumicino. Cudna ta droga ciągnie się przez Kampanią rzymską. Zwiedzali razem piękny kościół Ave Maria Stella zbudowany na skale ponad rzeką. Szczególna niespodzianka czekała ich na Isola Sacra. Oglądali grzyz świątyni Jawisza, owój świątyni, z której głosili niegdyś wieszczby starożytni augurów. Henryka wraz z swoją nieodstępną towarzyszką Marceliną Łempicką zrywała mirty rosnące na zwałiskach. Mickiewicz poruszony widokiem miejsca zaimprovizował <sup>1)</sup> wśród tych mirtów. Ledwie skończył, pojawia się dziwna postać. Słońce miało się już ku zachodowi; wtém z za ruin świątyni

<sup>1)</sup> Antoni Edward Odyniec powiada, że napastowano ze-względ Adama, aby co zaimprovizował; ale poeta zbywał żartami i nie chciał, chyba że się podoba nazwać improwizacją jakiegoś dziesiątek konceptowych dystychów, najwięcej stosowanych do Odynieca, a z których może kilka uszłoby na dewizę karmelkową.

Jowisza występuje nagle cyganka, wysoka, czarna, z włosami w nieładzie, w jakimś czerwonym łachmanie i wrzaskliwie dopomina się o jałmużnę, ofiarując się przytém przyszłość z ręki wywróżyć. Marcelina ani chce słuchać; ale Henryka porywa gwałtem jej rękę i zarazem swoją podaje; cyganka powiada jej, że będzie miała dwa mężów. Łatwo sobie wyobrazić zmieszanie i wstyd panienki... Przepowiednia ta sprawdziła się w zupełności... Lecz wówczas nikt w nią zapewne nie wierzył i rozwój uczuć poety dla Henryki pozostawał w cieniu, dając znaki życia w symbolach i komplementach.

Pamiętną też w tej sielance jest wycieczka do Albano. Poranek był przesłiczny. Na niebie różowo a przezroczyście, na ziemi zielono a świeżo; wiosna przedstawiłaby się w całej okazałości, gdyby choć jeden skowronek, choć jakikolwiek ptaszek w całej drodze przyspiewywał towarzystwu, ależ i drzew nigdzie nie było aż do Frascati. Zato po obu stronach gdzieś-gdzie ruiny i pyszne dwa wodociągi, stary i nowy, na wysokich arkadach, które wyglądały jak szereg wspinających przysionków: widok zakończony górami. Damy i hr. Ankwicz jechali na osiołkach, reszta zaś towarzystwa z młodzieży złożona trzymała za ugule te górskie rumaki lub same damy podtrzymywała na siedłach z poręczami nakształt krzesielek. W Tusculum czy też w Albano Odyniec chciał zapisać jakiś szczegół. Henryka podała mu notyskę, którą zawsze ze sobą nosiła; przyczém śrubka odpadła od ołówka; szukano jej napróżno; wtedy Odyniec zaczął pisać wierszyk na ton i miarę piosenki ludowej o pastusze gęsi, która włócząc się dzień cały po wsi z bębniem: „bębenek

zbiła, gąski zgubiła“, a potem łamiąc ręce lamentowała: „ach! ja nieszczęsna, com ja zrobiła!“... Z powrotem z Albano Mickiewicz, zachwycony przepyszny zachodem słońca, „prozą improwizował dytyramby;“ a wracał w powozie razem z paniami...

Podczas wycieczki do Subiaco w Abruzzach, gdzie droga prowadzi nad brzegami spadzistego Anio, szedł poeta znużony przy płochliwym mule Henryki; gdy panna zwracała jego uwagę na piękne okolice i szumiące kaskady, odpowiedział:

— Co mi tam kaskady, ja wolę patrzeć w błękitne oczy pani!

— Nie mów pan tego — odrzekła Henryka — a któż-to niedawno napisał: „kobieto, puchu żony!“

— Kto pani dał to czytać? — zawołał poeta żywo — za młoda jesteś na to; te rzeczy nie dla ciebie...

Do otwartego jednak ze stron obu wyznania ani teraz ani potem nie przyszło. Kochali się milcząc. Domyślać się można, że przyczyną milczenia ze strony poety była obawa rekuzy. Hrabia Ankwicz, któremu żona na stosunek obojga oczy stworzyła, nie zaniedbywał niczego, ażeby Mickiewicza od domu swego odstręczyć. Razu jednego opowiadano o pani Guiccioli, mieszkającej wówczas w Rzymie, jako o byłej kochance Byrona; hrabia się odezwał: „Piękna mi chwala, żeby kto kiedy wytykał palcem moję córkę, jak dziś wszyscy palcem wytykają panią Guiccioli.“ Zmieniał kilkakrotnie miejsce pobytu rodziny, nie mówiąc nic o tém nikomu obcemu; a gdy Mickiewicz, któremu hrabina sprzyjała, zawsze jakimś sposobem spotkanie do skutku doprowadzał, przyjmował go chłodno. Gdy raz odebrał z Galicyi list od któregoś z sąsiadów, któ-

ry pisał: „rozchodzi się wieść, że wydajesz córkę za sławnego wieszczą polskiego;“ rzucił go z gniewem i rzekł do żony: „a widzisz, nie powiedziałem, do czego to wszystko doprowadzi!... Ażeby odjąć Mickiewiczowi nadzieję otrzymania ręki Henryki, często powtarzał w jego obecności: „Muszę wracać do kraju, czas wydać za mąż córkę.“ Wkrótce też zapowiedział wyjazd do Galicyi.

Na pożegnalnym wieczorze, wyprawionym na cześć domu hrabstwa przez zwykłych jego gości, poeta i Henryka zrywali anemony nad jeziorem; on uwił dla niej wieniec, ona dała mu bukiet róż i laurów, na co odpowiedział: „jedne zapóźno, drugie za wczesnie.“ Poeta darował nazajutrz Henryce dwa tomy swoich utworów wydania petersburskiego; na okładce napisał: „Ewie A. w dzień odjazdu z Rzymu“, na pierwszej zaś kartce: „W bramie del Popolo: wyjeżdżamy z Rzymu, nie będziemy płakać ani w dzień ani w noc, będziemy w dobrém zdrowiu; do widzenia.“ Działo się to 4 maja 1830 roku. Równocześnie Mickiewicz z Odyńcem przygotowywali się do podróży na dalsze południe Włoch do Neapolu. Tu powstał śliczny a powszechnie znany wiersz:

Znasz-li ten kraj,  
Gdzie cytryna dojrzewa i t. d

Wiersz ten naśladowały z pieśni Mignony, pomieszczonej w romansie Goethego: *Wilhelm Meister*, zastosował Mickiewicz do siebie. W pieśni Goethego Mignona mówi o sobie, tęskniąc za kochankiem, u Mickiewicza sam poeta za ulubioną swoją westchnienia posyła: w pierwszych dwu zwrotkach kreśli szczęście

sólnego pobytu, w ostatniej mówi o tęsknocie, jaka go po rozstaniu z lubą opanowała.

Nie widzieli się parę miesięcy; nie rozstawali się jednak nazawsze. Z powodu śmierci ojca hrabiny, plan podróży uległ zmianie: Ankwiczowie udali się do Paryża. Wkrótce po ich przybyciu wybuchła tam rewolucja (lipcowa). Mickiewicz, który o tej podróży był uwiadomiony przez hrabinę, mocno się zaniepokoił i napisał do niej list następujący (z Genewy):

„Od dwóch tygodni co rano wracamy od okna poczty z uczuciem, jakiego nie życzę nieprzyjaciołom moim. Jak tłumaczyć milczenie Pani? Mogłaś pani się nie domyśleć, że my tu czytamy gazety, i nie odgadnąć, co się dzieje w mojem sercu przy tém szukaniu? Gdybym przynajmniej wiedział, na której ulicy mieszkaliście państwo, mógłbym, porównawszy z historją tych bitew, być spokojniejszy. Mimo całe przekonanie, że cudzoziemcom w podobnych politycznych ruchach nic złego przytrafić się nie może, bo ich obie partyje zwykle szanują, nie mogłem pozbyć się obawy o zdrowie państwa. Po tylu smutkach trzebaż jeszcze było wpaść na podobną scenę! Piszesz pani, że panna Henryjeta była cierpiącą; kiedyż dowiem się znowu o jej zdrowiu? Jutro opuszczam Genewę i wracam za parę tygodni. W liście do pani Klustin obiecywaliście państwo opuścić Paryż pierwszych dni augusta; od pierwszego już droga była wolna i bezpieczna; gdybyście państwo i później wyruszyli, już dawno byłibyście w Genewie. Obchodziłem codziennie procesyją hotelu daremnie. Uciekam znowu w góry, bo już nie mam cierpliwością czekać, czekać i czekać. Uproszę u pani odpis? Dalem tu adres, i listy dojdą mnie pewnie. Czy

odebrałaś pani mój z Florencyi pisany? O odpis na kolanach błagam”.

Odpowiadając na list ten, hrabina doniosła, że z Paryża obróćą drogę na Szwajcaryją i że jesień w Genewie przepędzą. Jakoż w istocie zjechali do Genewy jeszcze w końcu sierpnia, podczas gdy Mickiewicz wraz z Odyncem zwiedzali właśnie Most djabli, górę Rigi i inne okolice. Wkrótce jednak, bo w początkach września, przybyli i oni do Genewy i przez miesiąc przeszło bywali codziennymi w domu hrabstwa gośćmi, gdzie wtedy bywał także młody Zygmunt Krasieński ze swym mentorem Jakubowskim. Wieczorki na *rue de la Corraterie* były weselsze od rzymskich. Polityczne wypadki paryskie rozruszały niezmiernie samego Ankwicza, a „że je Adam — jak mówi Odyniec — przepowiedział prawie dosłownie”, podniósł w nim wyraźnie respekt i uprzejmość dla wieszczki. Ten miesiąc był może najszczęśliwszym w całej tej sielance miłosnej. Dwoje zakochanych, którym gwar salonowy uniej teraz niż poprzednio przeszkadzał, zbliżyło się do siebie serdecznie, zamieniając wyrazy, spojrzenia a może i westchnienia. Choć chmurne czoło ojca panny zasepiało niekiedy pogodne niebo cichęj miłości i drażniło dumę czującego wartość swoją poety; to łagodny uśmiech ukochanej rozpraszał niepokoje a dumę zmuszał do milczenia.

I powierzchownie nawet poeta nasz więcej niż poprzednio na konkurenta wyglądał. Sprawił sobie nowe ubranie, podług spólczesnej mody skrojone, na zegarku kazał wyrycić, za radą panny Anastazyi Klustin, wtedy już narzeczonej hr. Circourt, mitrę książęcą i herb swój Poraj, który mógł już jako rywal Hab-

danka (herb państwa Ankwiczów) uchodzić. Czy zmiany te w garderobie miały swe źródło w chęci przypodobania się arystokratycznej pannie (jak twierdzi Duchieński) czy też były czysto przypadkowe (jak utrzymuje Odyniec), trudno oczywiście rozstrzygnąć. Nie ubliżałoby to zapewne pamięci poety, gdyby swęj ulubionej chciał okazać nawet powierzchownie chęć podobania się; ale i drugie przypuszczenie, wykreślające z rachuby myśl opannie Henryce, zgadza się z charakterem i zwyczajami wielkich ludzi, którzy mało na swoje zewnętrzność uwagi zwracają.

Więcej szczegółów z tego czasu nie posiadamy. Z początkiem października Ankwiczowie wyjechali do Medyolanu; za nimi pośpieszył Mickiewicz, zostawszy się z Odyncem. W Medyolanie, wśród ciszy domowego ogniska miała się odbyć gwałtowna scena, którą nam opowiada sama Henryka. Hrabia robił żonie przykre wyrzuty, że pobłażaniem naraziła córkę na niebezpieczeństwo, i żądał, aby wyraźnie oświadczyła Mickiewiczowi, że wszelkie jego starania są daremne. Hrabina oparła się temu i powiedziała, że w połączeniu z poetą widzi zapewnienie szczęścia córki. Mąż miał na to odpowiedzieć: „Wolałbym ją widzieć na marach! niechby ją raczej trupem wyniesiono z mego domu!”

Mimo to stosunki naszego poety z domem Ankwiczów nie zerwały się bynajmniej. Zimą z roku 1830 na 1831 przepędził Mickiewicz, tak samo jak Ankwiczowie, znowu w odwiecznym mieście. Wtedy to dokonała się w duszy poety zmiana, przygotowana już poprzednio wrażeniami w Rzymie odebranymi. Mickiewicz, jakkolwiek w głębi religijny zawsze,

ochłódł przecież w uniwersytecie i późniejszym salonowym życiu względem praktyk pobożnych. Widok szczerzej pobożności Henryki, a zwłaszcza jej towarzyski Marceliny Łempickiej, którą poeta nasz nazywał „świętą,” oddziaływał nań powoli. Sam wyraz twarzy Marceliny i postać — jak powiada Odyniec — były tego rodzaju, że dodać tylko aureolę i palmę, a móżnaby ją było żywcem przenieść na obrazek; jak tysiące innych siłą się okazać, tak ona właśnie starała się ukryć przed ludźmi zarówno pobożność jako też wysokie wykształcenie, które posiadała. O niej-to napisał Mickiewicz z okoliczności przyjęcia przez nią komunii w Genezzano:

Święta i skromna!.. Grzesznicy nieczuli,  
Gdy my w spoczynku skroń ospałą złożym,  
Tobie klęczącej przed Barankiem Bożym  
Jutrzeńka usta modlące się stali.

Wtedy zlatuje anioł twój obrońca,  
Jasny i eichy jak światło miesiąca:  
Zasłonę marzeń powoli rozdziela,  
A troskliwości pełen i wesela  
Z takim nad tobą schyla się objęciem.  
Jak matka nad swém senném niemowlęciem.

I odmalowawszy błogie marzenia tak ukochanęj i tak strzeżonej duszy dodaje:

Jabym dni wszystkich rozkosz za nie ważył,  
Gdybym noc jedną tak jak ty przemarzył.

Obcowanie i rozmowy z Henrykiem Rzewuskim, Stanisławem księdzem Choloniewskim, hrabią Montalemberten, bawiącemi wówczas w Rzymie ugruntowały, dały niejako teoretyczną podstawę temu religijnemu usposobieniu i rozmarzeniu. Zapragnął poe-

ta i sam doznawać tych mistycznych rozkoszy, jakie w wierszu do Marceliny odmalował. Po długoletniem niebywaniu postanowił pójść do spowiedzi. Nie mówiąc o tém nikomu, w najgłębszej trzymając krok ten tajemnicy, udał się do małego kościółka Fuori delle mure i zamówił sobie nieznanego kapłana starszka na oznaczoną godzinę. Powróciwszy do domu przebył część nocy na czytaniu książki „O naśladowaniu Chrystusa,” gotując się do uroczystego aktu. Nazajutrz wypowiedawszy się, wprost z kościoła wstąpił jak zwykłe do Ankwiczów. Ledwie wszedł, pani domu powitała go słowy:

— Czy pan wiesz, jaki Ewunia miała dzisiaj nocy sen o panu?

Ewunia słysząc to porwała się z pośpiechem, chcąc zapobiedz dalszemu opowiadaniu matki; ale gdy matka zaczęła obstawać przy swoim, Henryka zarumieniona i zalana łzami opowiadała pocie ten swój sen: „Okolo północy śniło mi się, żeśmy tu wszyscy zebrani byli tak jak teraz. Nagle przyszedł pan niosąc ślicznego baranka bieluchnego jak mleko, na różowej wstążce.” Toż widzenie ponowiło się tej saméj nocy nad ranem, poczem już Henryka nie spała, ale modliła się, a następnie poszła na pierwszą mszę do pobliskiego kościoła.

Mickiewicz wysłuchawszy tego opowiadania, zdrzał, pobałł i głosem zmienionym rzekł:

— To sen proroczy!

— Jakto proroczy? Cóż on miał znaczyć? pytała Henryka.

— To — odrzekł poeta — że właśnie dziś rano przystępowałem do Stołu Pańskiego.

Dla ludzi zwykłych zdarzenie takie byłoby zapewne drobnostką, która w ich pamięci przeżyłaby może dzień albo tydzień jeden; ale dla człowieka skłonnego do marzeń, uczuciowego i wrażliwego, jakim był Mickiewicz zawsze a szczególnie w tym czasie właśnie, stało się ono jedną z bardzo ważnych pobudek do duchowej przemiany. W kilka lat później, kiedy o tym śnie Odyńcowi opowiadał, drżał i był błądliwy: „Gdyby piorun spadł u nóg moich—mówił—nie przeraziłby mnie tyle...”

Sen ten w rozwoju uczucia dla Henryki miał oczywiście wielkie znaczenie. W trzy dni potem zdarzyło się, co następuje: Dzień 2 lutego, kiedy Henryka miała owo sennie widzenie, w historii Rzymu upamiętnił się tym, że w nim ogłoszono wybór nowego papieża Grzegorza XVI. W trzy dni po obiorze papież wedle zwyczaju zasiadł na ołtarzu w bazylice św. Piotra, na grobie apostoła, i udzielał błogosławieństwa, obracając się ku czterem stronom świata. Na tej uroczystości był też Adam wraz z rodziną Ankwiczów. Znajdowali się na wschodkach pod kopułą przy figurze św. Longina. W chwili gdy papież, błogosławiąc obecnych, obrócił się ku temu miejscu, Mickiewicz, który stał poniżej, wszedł żywo na wschodki, pochwyił rękę Henryki i trzymał ją, dopóki papież nie odwrócił się w inną stronę; potem szepnął do niej półgłosem:

— Najwyższy pasterz kościoła razem nas pobłogosławił, patrzył się na nas, a więc połączeni jesteśmy.

Henryka przeraziła się mocno; odtąd uważała się podobno jakby duchowo zaręczoną z Adamem.

Duchowe te atoli zaręczyny nie przemieniły się na trwały związek. Trudno dziś powiedzieć napewno, jakie były właściwie przeszkody do urzeczywist-

nienia najgorętszych życzeń obu stron. Pospolicie twierdzą, że hrabiowska duma Ankwicza nie pozwalała na oddanie ręki córki poecie, chociaż poeta był sławny. Tak też kazałaby wnosić opowiedziana powyżej niechęć hrabiego względem Adama, któremu czasami nawet ręki nie podawał, podczas gdy z innymi serdecznie się witał; a dalej dwukrotne kategoryczne oświadczenie, że związku córki z poetą bynajmniej sobie nie życzy. A jednakże w parę lat po wyjeździe poety z wiecznego grodu, hrabia spotkawszy się w Dreźnie z Antonim Edwardem Odyńcem mówił mu, że gdyby tenże Odyńiec był naówczas w Rzymie, wszystko dałoby się ułatwić, dodając, że każdy ojciec ma przecież prawo, żeby mu się „o córkę kłaniano”. Do żony też i córki mawiał podobno:

— Czemużecie mi o tym nie mówiły? było ze mną szczerze wychodzić.

Zapewnia nas Henryka przez usta Duchinińskiej, że słowa te były szczerze, gdyż charakter hrabiego miał być samą prawością i prawdą. Ale jakże słowa te pogodzić z wyrzeczeniem, które nam też sama Henryka podaje, że hrabia wolalby widzieć córkę na marach aniżeli żoną Mickiewicza! Te dwa przeciwne zdania o tym samym stosunku zbyt kontrastują ze sobą, ażeby mogły być oba razem równie szczeremi i prawdziwemi, a przynajmniej nie *równocześnie*. Trzeba wiedzieć, że owe słowa zgody mówił hrabia dopiero po wyjściu *Pana Tadeusza*, w którym Mickiewicz przedstawił swój stosunek do domu Ankwiczów w historii Jacka Soplicy, kochającego Horeszkównę Ewę; hrabiego ubódł obraz starego Horeszki stolnika, który obłudnie względem Jacka postępował. Po fakcie do-

konanym, kiedy się Mickiewicz ożenił, nie nie szkodziło hrabiemu powiedzieć kilka popularnych frazesów...

Z drugiej strony powiadają, że i Mickiewicz był w tym razie „niepotrzebnie dumny”, że „względniejsze i miększe postępowanie” poety mogło być inaczej losem jego pokierować. I tu przecież nasunąć się nam może pewna wątpliwość. Nie wiemy wprawdzie, czy Mickiewicz podczas drugiej zimy w Rzymie spędzonej chciał zerwać z domem Ankwiczków i czy go kto od tego kroku odwoził (jak pierwszej zimy Odyniec); tyle jednakże pewna, że pozostał tam bardzo długo, bo aż do 20 kwietnia 1831, ciągle wstrzymany jakimis̄ przeszkodami, których rodzaju nie znamy; że w domu Ankwiczków bywał, choć mu hrabia niekiedy ręki nie podawał; że zatem winić poetę o brak „względnego i miękkiego postępowania” nie tylko trudno, ale prawie niepodobna.

Cokolwiekbyż druga zima w Rzymie nie była tak miłą dla poety jak pierwsza. Dawniejszą jego swobodę skrępowała myśl poważna o społecznych mu wypadkach, które się na szerokiej widowni rozgrywały i jego indywidualnym marzeniom nakładały, że tak powiem, cugle. Dawniejsza jego wesołość, w pewnej harmonii ducha źródło swe mająca, przemieniła się wtedy na nieokreślone wprawdzie ale smutne przecucia, które mu nic dobrego na przyszłość nie wróżyły. Sam Mickiewicz wyznaje, że zima ta 1831 roku przeszła mu daleko smutniej aniżeli pierwsza, dodając, iż „od trzydziestu lat się przekonywa, że tylko się na biedę urodził.” Wyznanie z ust poety, nie lubiącego się ze swemi cierpieniami wywnętrzać, jest wyraźnym świadectwem przykrych a nawet bolesnych uczuć, jakie wówczas serce jego zajmowały.

Muzea i wszystkie starożytności rzymskie, pośród których Henryka była mu tak miłym *ciceronem*, straciły teraz swój urok dawniejszy. „Mokry arkusz brudnej niemieckiej gazety” więcej—jak powiada—zachwycał go wówczas, „aniżeli wszyscy Vinci i Rafaele.” Rozmowy o kwiatach, snach i wróżbach nie mogły teraz być tak częste, bo się znalazł ważniejszy przedmiot do rozpraw w sprawach ogólnych, któremi Mickiewicz niewątpliwie całą duszą się zajmował.

Powoli rodacy bawiący w odwiecznym grodzie zaczęli się rozjeżdżać w strony rodzinne. Zostało tylko szczupłe gronko z dawniejszej „rzeczypospolitej mercedeńskiej”<sup>1)</sup>. Mickiewicz uczuł także potrzebę odetchnięcia powietrzem stron bliższych sercu. Czyto straciwszy wszelką nadzieję porozumienia się z hrabią, czy też nie chcąc go już dłużej obecnością swoją zmuszać niejako do niegrzeczności, postanowił wyjechać z Rzymu.

Wiliją wyjazd spędził w domu Ankwiczków. Miał ze sobą poezję Byrona. Wśród rozmowy zaczęto z kolei mówić o domysłach co do przyszłości. Mickiewicz miał wtedy zwyczaj wrózenia o jutrze nieznaném albo z biblii otwieranej trafem albo też z innej jakiej książki, którą lubił lub szacował. I teraz wzięwszy Byrona do ręki, rzekł:

— Niech mi on wywróży przyszłość; zobaczymy, co powie.

Otworzył książkę i znalazł następujące słowa:

— I utracisz je obie.

<sup>1)</sup> Ankwiczkowie mieszkali w pięknym domu przy *Via Mercede*.



Był-to frazes z dramatu *Sardanapal*. Mickiewicz umilkł, Henryka zadrżała jak listek.

Poeta podarował tę księgę proroczą na pamiątkę hrabiance.

Odchodząc, uściśnął jój rękę i szepnął: -

— Niech cię Bóg błogosławi.

Nazajutrz 20 kwietnia 1831 Mickiewicz odjechał.

Uczuć, jakie w sercach obojga wówczas gościły, opisywać nie będę. Kto ich nie doznał w życiu, na nic mu się opis, choćby najszczegółowszy, nie przyda....

Henryka przyszedłszy do swego pokoju, otworzyła Byrona. Było tu dużo ustępów popodkreślanych; najmocniej zaś podznaczony był wiersz p. n. *Bądź zdrowa*, który tu przytoczę w przekładzie Seweryny Duchinińskiej:

Jeśli ku niebu w rozstania godzinie  
Leci modlitwa za drugich zasłana;  
Ach moja pewno w powietrzu nie zginie,  
Lecz imię twoje zanieś do Pana!  
Poco mi płakać i wdychać mi poco?  
Nad lzy, nad skargi ja krwawsze znam słowa,  
Szaloną bólu wydobyte moją  
Z tajników duszy: bądź zdrowa, bądź zdrowa!  
Me usta nieme i suche me oko!  
Lecz boleś w mózgu ład myśli roztraca,  
Zgryzota w sercu utkwiała głęboko  
I sen mi z powiek zgania myśl trująca.  
Choć żal mną miota i rozpacz wre we mnie,  
Z ust próżnej skargi nie wybiegną słowa;  
Ach! to wiem tylko, żem kochał daremnie,  
I tylko szepcę: bądź zdrowa, bądź zdrowa!

Odtąd nigdy się już ze sobą nie widzieli. Historia ich uczuć na tém zakończyć się musi. Nie zapom-

nieli jednak o sobie. Poeta lubił się wypytywać o szczegóły pożycia i szczęścia hrabianki; Henryka zaś kochała się w pamiątkach, które jój chwile serdecznego rozbudzenia się w życiu przypominały. Gromadziła wydania poezyj Mickiewicza i często je odczytywała. Mickiewicz ożenił się w roku 1834 to jest w trzy lata po rozstaniu się z Henryką; Henryka zaś dwukrotnie wychodziła za mąż, ale szczęścia nie doznawała: pogrzebała ojca, matkę, obu mężów a wreszcie i jedyne go syna. Dla tego syna odesłał jój Mickiewicz pierścionek, który niegdyś dostał był od hrabiny, i prosił Henrykę, ażeby go dała „synowi swemu, gdy dorosnie.”

Poeta uwiecznił pamięć ulubionej w dwu utworach. W części III *Dziadów* wprowadza dwie panienki: Marcelinę (Lempicką) i *Ewę* (Ankiewiczównę), która modli się za uwięzionego autora piosenek:

Te piosenki czytałam: niektóre są piękne...  
Jeszcze pójdę przed Matką Najświętszą uklęknę,  
Pomodłę się za niego; kto wie, czy w tej chwili  
Ma rodziców, żeby się za nim pomodlili.

W *Panu Tadeuszu* widzimy znów *Ewę* jako córkę dumnego stolnika. Oczywiście nie wszystkie szczegóły w poematach są kopią rzeczywistych wypadków; ogólna atoli charakterystyka jest niewątpliwie zgodna z oryginalami, przynajmniej z punktu zapamiętania się samego poety.

Gdy w r. 1855 żona Mickiewicza umarła, Henryka napisała do niego. Był-to pierwszy jój list do naszego poety. Nie posiadamy go; mamy natomiast odpowiedź, w której Mickiewicz zawarł w krótkości

dzieje uczuć swoich od czasu pożegnania Henryki (z Paryża, na wielkanoc):

„Szczęśliwy dziś jestem Henryjeto, zaczynając w imię twoje mile pierwszy dzień Zmartwychwstania i wiosny. Tę przyjemność winienem twojemu łaskawemu zgłoszeniu się. Zawsze pełen byłem twoich życzliwych dla mnie uczuć; ale dowód tej życzliwości, który po tylu latach pierwszy raz wprost od ciebie, wprost z ręki twojej odebrałem, przyszedł mi w sam czas i stał mi się wielką pociechą.

„Od roku owego, kiedym ciebie pożegnał w Rzymie, życie moje jest prawie ciągłym grzebaniem kogoś lub czegoś. Z owego pokolenia, z którym żyłem i przywykłem biedować, jedni już nas nazawsze porzucili, drudzy ciągną dni pogrobowe, nie lepsze od śmierci. W ciągu tych lat takich, ilekroć wspomniałem o tobie, starałem się pocieszać tą myślą, że ty Henryjeto, nie należąc do tego smutnego pokolenia i przyszedłszy na świat znacznie później od nas, żyłaś pod inną a więc może pod lepszą gwiazdą. Wszakże znając twoją duszę tkliwą i umysł wysoki, domyślałem się, że i ciebie nieraz musiało dotknąć w tych razach niedola, jeśli nie osobista, to rodzinna i bliżnich.

„Wielką mi sprawisz przyjemność, jeśli zechcesz dać mi wiadomość o twoim teraźniejszym życiu i cokolwiek szczegółów o sobie i swoich. Od lat wielu nie spotkałem nikogo, eoby mi o tobie miał co powiedzieć.

„Mnie po długich i różnych wędrowkach zatrzymały okoliczności w Paryżu. Zajmuję się w tej chwili pracami biblijoteczniemi. Jestem ojcem licznej rodziny. Starsza moja córka ma rok dziewiętnasty, syn piętnasty; reszta młodszą po szkołach uczy się i dorasta.“

Henryka odpisała, odpowiadając na życzliwe, przyjacielskie zapytania. I tego listu nie mamy. Mickiewicz wyjeżdżał właśnie do Konstantynopola; odpisał Henryce z Marsylii 13 września 1855 roku. Oto są słowa na trzy miesiące przed zgonem przez poetę napisane:

„Nie będziesz mię miała za natręta, jeżeli w kilka miesięcy odezwę się do ciebie, wielce droga pani. Zgłosiłbym się był dawniej, gdybym miał coś pewnego donieść o sobie. Ale w tych ostatnich miesiącach spadły na mnie nowe i niespodziane kłopoty. Zanosilo się na to, że miałem zmienić miejsce pobytu i przejechać gdzieindziej z całą rodziną. Ten zamiar nie wziął skutku, rodzinę zostawiam, tylko sam puszczam się w podróż. Stało się to wszystko nagle. Odebrałem przed kilku dopiero dniami polecenie naukowe od rządu (francuskiego) dotyczące się Wschodu, a dziś już wsiałam na okręt płynący do Stambułu. Jak długo tam zabawię, nie wiem jeszcze. List twój ostatni, pani, mocno mię zasmucił. Nie wiedziałem wcale, iż ty lu kłeskami byłaś dotknięta osobiscie. Nie uwierzysz, jak mi było mile dawniej myśleć o tobie jako o istocie szczęśliwej. Otóż i to złudzenie znikło. Bądź łaskawa od czasu do czasu pisz do mnie.“

I to życzenie nie spełniło się. Zanim Henryka zebrała się na odpowiedź, doniesiono o śmierci naszego poety zaszłej 28 listopada 1855 r.

I tak zerwała się nieć życia, pełnego złudzeń, marzeń, myśli szlachetnych i wielkich, uczuć potężnych a ognistych i usiłowań prowadzących do czynu, do działania nie tylko w dziedzinie umysłowej ale i na widowni społeczno-politycznej. Opowiedziałem tu

malutki epizod z dziejów tego życia, epizod krótkotrwały, na początku którego była wesołość żartobliwa a na końcu — powaga rozmyślenia.

Złudzenia, na które uskarża się poeta w ostatnim swym liście do Henryki, przesładowały go istotnie od początku życia. Nigdy prawie nie znalazł w rzeczywistości tego, co zamarzył w chwili podbudzonych pragnień serca. A jednakże Mickiewicz nie stracił wiary ani w ludzkość ani w siebie i stał silnie na straży skarbów krainy duchowej jak bohater ufny w świętość swej sprawy.

Smutniejszy jeszcze los był ukochanej przez poetę Henryki. Przeżywszy rodzinę swoją, przeżyła i tego, który najsilniej zapewne w zaraniu jej bytu do serca przemówił, a przeżyła go o lat 24, umarła bowiem dopiero w roku 1879 jako *secundo voto* Kuczkowska. Długie istnienie na grobie wszystkich marzeń i wszystkich nadziei czyż nie jest najdroższym cierpieniem?...

## V.

## T e l i m e n a.

Tak chłopiec, kiedy ujrzy cykoryi kwiaty,  
Wabiące dłoń miękkimi, lekkimi blawaty;  
Chce je pieścić; zbliża się, dmuchnie; i z podmuchem  
Cały kwiat na powietrzu rozleci się puchem,  
A w rękę widzi tylko badacz zbyt ciekawy  
Nagą lodygę szaro-zielonawej trawy. ...

W „Panu Tadeuszu” Mickiewicz staje się najzupełniejszym realistą; nie chce tworzyć nowych

ideałów; zagląda bacznie w życie i z tej z nieprzebranej skarbnicy wydobywa mnóstwo postaci, które dla nas są już w prawdzie tylko portretem dawno minionych czasów; które jednakże w chwili odtwarzania ich przez poetę były najwierniejszą rzeczywistości kopiją, o ile naturalnie wielki wieszcz kopistą być może. Poeta jest tu spostrzegaczem, spostrzegaczem bezstronnym, nie tylko w całości obrazów lub wypadków, ale w drobnych nawet szczegółach. Indywidualność poety znika: wyprowadzone przezeń osobistości przedstawiają się same i mówią każda za siebie. Małostki codziennego życia równie starannie i równie sumiennie są wyśpiewane, jak i sprawy całego narodu. Zewnętrzność, powierzchowność gra tu z natury rzeczy nader ważną rolę: stąd tak częsty opis fizycznej strony osób, ich ubioru, nawyków, zwyczajów. Duszę o tyle tylko poeta uwydatnia, o ile ona w danych osobistościach rzeczywistości się na wierzch wybijała. Obok wzniosłości jest płytkość; obok tragiczności — komizm, obok uczuć serdecznych — papuzia frazeologija... Jesteśmy na jarmarku życiowym: na duszach roztkliwionych robi on nieprzyjemne wrażenie; na dusze zdrowe działa podobnie jak zimna, świeża woda na organizm fizyczny. Żyjemy: ruszamy się, interesujemy się wszystkim: i chołodźcem litewskim i grzybobranem i kłótnią aseora z rejentem, i mrówkami i wrzawą szlachty zaciąłankowej, i mową księdza Robaką i wzniosłym uczuciem, jakie przejmują zaimprowizowanych wojowników. Nie potrzebując wydawać sądu, staramy się każdą postać zrozumieć i jak najdokładniej określić; nie szukając wzorów do naśladowania, cieszymy się różnorodnością objawów życia, drgającego w każdej jednostce.

Wszystkie postaci w „Panu Tadeuszu“ mają być żywcem niemal wzięte z rzeczywistości, — jak zapewniają biografowie Mickiewicza. Rzecz-to bardzo prawdopodobna; nawet bez tych zapewnień możnaby zrobić takie przypuszczenie na podstawie rozbioru wewnętrznej natury samego poematu. Tak np. wiemy, że wzorem do obrazu *Telimeny* była jedna z piękności odeskich, w której towarzystwie odbywał swoje krymską wycieczkę. W poemacie ukazuje się nam ona z początku w postaci złudnej: błyszczą świeżością, poeta nazywa ją „przystojną, nadobną i młodą,“ chociaż później przekonujemy się, że miała płeć grubą, piegę koło ust i „lata dojrzałe.“ Kibicią odznaczała się kształtną, wysmukłą, „piersią powabną, łabędzią;“ włosy czarnemi. W opisie stroju niech nas zastąpi poeta:

Suknię (miała) materyjalną, różową, jedwabną;  
Gors wycięty, kolnierzyk z koronek; rękawki  
Krótkie; w rękę kręciła wachlarz dla zabawki —  
Bo nie było gorąco; — wachlarz pozłocisty,  
Powiewając, rozlewał deszcz iskier rześzysty.  
*Głowca do włosów;* włosy pozwijane w kregi,  
Pośród nich brylant, niby zakryty od oczu,  
Świecił się jako gwiazda w komety warkoczu....

Telimena lubiła się stroić i to zawsze podług najświeższej mody. Sukien miała całe szaty a pachni-deł „słoików, faszczek, proszków i muszek“ zawsze pełno w przesławnym „biurku,“ o którym mówi przy każdej sposobności. Kiedy się ubrała na wesele, poeta zrozpaczył o swoim talencie. „Chyba pendzel — powiada — skreśliłby te tiule, ptyfenie, blondyny, ka-

szmiry, perły i kamienie: i oblicze *różane* i żywe wej-znienie.“ — Wielką nawet wagę przywiązuje do ubioru. Ostatniego swego narzeczonego (rejenta) zmu-sza „warunkiem interczy,“ żeby zarzucił dawny strój polski i przywdział frak nowomodny.

Sama różuje się, na czem się biedny Tadeusz zbyt późno poznał, kiedy sam „rozmawiając zbyt bli-sko, omusknął z bielidła *karmin*, lżejszy od pyłków motylego skrzydła.“ Wtedy „wszędzie już jakiś fałsz wyszedził.“

Dwu zębów braknie w ustach; na czole, na skroni  
Zmarszczki; *tysięć zmarszczków* pod brodą się chroni...

„Jak to niepotrzebnie rzecz piękną nazbyt ściśle zważać!“ — dodaje poeta sposobem humorystycznej przestrogi. Tak w dwulicowości swęj przedstawia się Telimena...

Ta dwulicowość fizyczna odbija się i w naturze moralnej. Jedno tylko było niezmiennie: chęć złapa-nia sobie męża. Kiedy gdzie na uboczu siedział, „rozstargniona, znużona,“ spozierając dokoła z głową w górę zadartą; złośliwy asesor „równał ją do samicy, która miejsca na gniazdo szuka w okolicy.“ Chęć owa jest jedynym regulatorem jej uczuć, zdań i postę-powania. Z sentymentalnym hrabią, który nie lubił własnego kraju, potępiała zacofanie prowincyi, unosząc się nad cudami stolicy; a kiedy Tadeusz zaczął wystawiać z zapalem piękności przyrody ojczystej, Telimena zmieniła ton i zaczęła je również chwalić — przytoczyła nawet malarza Orłowskiego, unosząc się nad jego obrazami... Zrećnie manewrując, nie chcia-łaby urazić żadnego z domniemych konkurentów.

I jak średniowieczne anielice jednego za rękę sciskały, drugiego nóżką pod stołem trącały, a trzeciego zabijały ognistym spojrzaniem; tak Telimena, pragnąc ułagodzić smutek hrabiego, podawała mu urwany kwiatek niezabudki, a Tadeusz tymczasem —

... z drugiej strony krzak ziela rozehylał,  
Widząc, że się ku niemu tём zielem przewija  
Coś białego: była-to rączka jak lilija:

W rączce znalazł klucz i biały papier w trąbkę zwinięty. Poeta robi uwagę, że Telimena patrzyła na Tadeusza, hrabiego i asesora.

Jak ptasznik patrzy w siódło, kędy szczygły zwabia,  
I razem w pastkę wróbla....

Słowem Telimena jest kokiетка. Łzy, omdlenia, słowa wielkie i emfaticzne ma na zawołanie; rozporządza niemi jak wódz dobrze uorganizowaną armiją. Umie przybrać pozę romantyczną: w białych szatach, samotna, siada na kamieniu „sama jak kamienna;“ warz schyloną w otwarte tuli dłonie, a choć płaczu nie słychać, czujesz, że roztopia się we łzach. Takie pozy mają swój urok; wiele niedoświadczonych serce oddaje za nie; niezawsze efekt ich psuje niespodziany napad mrówek — jak to się mniej szczęśliwej zdarzyło Telimenie.

Mrówki, zgnębne blaskiem bieluchnej pończoszki,  
Wbiegły, gęsto zaczęły taskotać i kąsać;  
Telimena musiała na murawie sięść i owad łowić.....

Jezeli pozy nie sprawiają już efektu, udaje czulość. Ona tak była tkliwa! Raz, zobaczywszy za-

dlawionego bonończyka, „z wielkiej alteracyi dostała miłości, spazmów, serca palpacyi.“ Ale na obitego kijami człowieka za tego psa właśnie patrzyła z lekocowaniem i pogardą.... Widząc, że się rwie nie sympaty, wiążąca jej duszę z sercem Tadeusza; widząc, że wzrok jej „jako księżyc światły a bez ciepła“ ślizgał się już tylko po wierzchu duszy upatrzonogo; — nie chce mu zagradzać drogi do sławy i szczęścia jego niweczyc; — pragnie jedynie usłyszeć raz jeszcze słowo „kocham;“ by je wyryc w swém sercu i w myśli zapisać, by się przekonać, że ich miłość nie była zarciem i rozpustą płochą...

Przebaczę laenię, chociaż przestaniesz mię kochać,  
Pomnę, jak-ese mię kochał. — *I zaczęła szlochać....*

Był-to oczywiście manewr tylko. Kiedy Tadeusz powtórzył niebacznie słowo „kocham“ — posypał się prawdziwy grad romantyczno-miłosnych propozy-cyj; pójdę za tobą wszędzie, każdy świata kątek będzie mi z tobą miły, bo miłość z najdzikszėj pustyni sdała uczynić ogród rozkoszy... i t. p. Wzniosle-to i wielkie słowa, dopóki się dwa serca kochają, dopóki są „harmonijném ożenione brzmieniem;“ ale komi-czóm echem odbijają się w duszy, która gwiazdym swojej na inném szuka niebie. Tadeusz robi jēj chłodną uwagę: — Czyś z rozumu obrana? mam-że wło-czyd za sobą markietankę!... Telimena znajduje bar-dzo prędko odpowiedź, która charakteryzuje najlepiej cel jēj wszystkich szlochów i czulości: „To my się po-bierzem!“ Zapewne!...

Dziwna rzecz! wszakżeż ona sama w owe czulo-ści nie wierzy... zachowuje tylko pozory. Kiedy hra-

bia, chcąc wojennymi czynami na jej miłość zasłużyć, ruszał z wojskiem; obdarza go kokardą oddartą od sukni, na piersiach mu ją „przyszpila” i napomina, żeby, wstąpiwszy w wojenne zapasy, obracał *czule spojrzenie* na kolor kokardki:

Niech cię ten kolor wiedzie na działa ogniste,  
Na kopie błyszczące i deszcze siarczyste.  
A kiedy się rozślawisz walecznymi czyny,  
I gdy nieśmiertelnemu przesłonisz wawrzyny  
Skrwawiony szyszak i helm twój, zwycięstwem hardy:  
I wtenczas jeszcze oko zwróć do tej kokardy,  
Wspomnij, czyja ten kolor przyszpiliła ręka..

Ale w téjże saméj uroczystéj chwili, kiedy hrabia, *przykleknąwszy*, całuje podaną sobie rękę,

Telimena zbliżyła do oka

Chustkę a drugim okiem patrzyła z wysoko  
Na hrabię, który zęgnął ją, moeno wzruszony;  
Ona wdychała — ale ruszyła ramiony..”

Podczas nieobecności hrabiego, zaręczyła się *z rejentem*, nie pomnąc ani o kolorze kokardki, ani o łzie, którą chustką niby ocierała. Bo i pocóż? Ona chciała *jak najprędzej* wyjść za mąż. Zaczęła od młodego Tadeusza, skończyła na starym rejenście. I jego przecież nie kocha. Hrabia powraca; ona, ubrana już do ślubu, szepcze mu, że rejent nie wziął jej jeszcze za żonę, że, jeżeli hrabia sprzeciwi się jej zamężciu, niech odpowie „zaraz, krótko, węzłowato:” czy ją kocha, czy gotów *dziś*, koniecznie dziś, z nią się ożenić... Na uwagę hrabiego, że ziemia dąży do słońca, że wiecznie patrzą na się i najkrótszą drogą biegną ku sobie — a przecież nie mogą się zbliżyć, — zrzuca maskę sentymentalną i mówi bardzo prozaicznie:

...Dość już tego; nie jestem planetą  
Z łaski bożej; dość hrabio; ja jestem kobietą.  
Już wiem resztę, przestań mi pleść ni to ni owo.....

Pozowanie, czułość, romantyzm jest dla Teliminy środkiem jedynie. Takim samym środkiem jest oglada, wykształcenie, dystygnowane manieri. Mówiła biele po *francusku* o tancach, o literaturze, o muzyce, a nawet o malarstwie i rzeźbiarstwie; umiała bawić rozmową lekką, anegdotkami i rozmową poważną; z uszanowaniem mówiła o dostojnikach państwa, o blaskach stolicy. Wszystkich zadziwiała swoją nauką: Tadeusz się zdumiewał. Owe nabytki cywilizacji utworzyły na jej duszy rodzaj pokładów geologicznych: w gruncie atoli pozostała krępką i prostą Litwiną... Gdy fale namiętności podmyły owe złociste warstwy, ukazuje się zwyczajna glina, z której według podania powstał ród ludzki. Znany dwie takie powodzie. Raz kiedy Tadeusz powiedział jej bez ogródki, żeby sobie wyperswadowała miłość i ożenienie, ona powstała straszna „jak Meduzy głowa.“ Błada, bez tchu, bez ruchu wyciągnęła rękę i palce skierowała „prosto w Tadeusza oczy.“ Namiętność się wzburzyła: zapomniła o konwenansach, o swéj naiwności. Na wzmiankę, że miłość taka jest grzechem, — wybuchła gorzką ironią: „Grzechem!“ — powtarza szyderczo „niewiniątko! baranek!..“ — Nie przebiera w słowach: „ha, języku smoczy, serce jaszczurcze!“ — przyznaje się do swoich planów: „To nie, żem tobą zajęta wzgardziła asesora, hrabię i rejentat!..“ Dotknięta kłamstwem, do którego sama zmusiła (prosząc o wynówienie raz jeszcze słowa „kocham“), nazywa go podłym, gardzi nim, przeklina, chce wydać światu jego beze-

*ceństwa*, ażeby „sztuki“ jego nie zwiodył innych, jak ją zwiodył..

Drugi raz znowu, kiedy nie uzyskała od hrabiego stanowczej odpowiedzi; kiedy nadrwiała z jego *planetarnej* miłości, kiedy już raz przecie pragnęła zostać żoną; daje mu ostrzeżenie pełne groźby, a pozbawione wszelkiej dystynkcyi:

.....Jeśli *piśniesz* jedno słowo,  
Ażeby ślub mój zerwać, to, jak Bóg na niebie,  
Ze z *temi paznokciami* przyskoczę do ciebie  
I—zdrapię ci policzki i oczy ci wydrę! 1)

W tych namiętnych wybuchach pokazuje się natura pierwotna, że nie powiem dzika; wtedy wracają wyobrażenia *zaściankowe*, nieogładzone wdziękiem sfer wyższych; nienfność, nienawiść nawet do tak zwanego „rodu męskiego.“

Dobrze mi tak, wiedziałam, kto jesteś, mężczyzna!...

Ale też ukazuje się zarazem i serce *dobrze* naprawdę, nie chorobliwe jakies, książkowe, lecz czysto ludzkie. Kiedy Tadeusz, znieważony przez nią, pobiegł nad rzekę, by jakimkolwiek sposobem rozplątać powikłane stosunki życia; ona przelekła, leci wśląd za nim, wstrzymuje go i mówi:

Stój, *głupstwo*, kochołaj czy nie, żeń się sobie,  
Czy jedź—tylko stój.

Ona „chciała go skarać, *ale nie myślała zgubić*.“ W takich chwilach, lakier sentymentalizmu i ary-

1) Ostatni wiersz jest *waryjantą*.

stokratycznych nawyknień ściera się, zostaje tylko serce kobiety. Kochamy ją naówczas i chętnie przebaczymy błędy.

Telimena ze wszystkich postaci kobiecych Mickiewicza najstaranniej została wycieniowana; widzimy ją wśród różnych okoliczności, słyszymy jej słowa; przypatrujemy się postępowaniu. Nie jest ona istotą zupełnie bierną; owszem w szczupłym zakresie swojej działalności (poszukiwanie męża) rozwija niepospolitą *ruchliwość*; słaba fizycznie, zna całą potęgę swojej słabości i umie się do niej odwoływać; w krytycznych wypadkach, kiedy nie wie, co zrobić—mdleje. Rozmowna, gadatliwa nawet, nie pragnie nikogo przekonać—usiłuje jedynie olśnić i podbić! Jest-to jeden z typów kobiecych, które najczęściej może napotykamy w życiu..

## VI.

### Z o s i a.

Nienieczona twa postać, niewymyślne słowa,  
Ani lice, ni oko nad inne nie błyska;  
A każdy rad cię ujrzeć, rad posłyszycie zbliśka;  
Choć w ubraniu pasterki, widno, żeś królowa.

Słońce ostatnich kresów nieba dochodzi. Na pagórku, omdlewającemi jego promieniami ozłoconym, nad brzegiem ruczaju stał na podmurowaniu dworek drewniany, okolony laskiem brzoźowym. Zdaleka już świeciły się pobielane ściany. Aleja, wysadzona topolami, które bronily „od wiatrów jesieni,“ wprowadza nas na dziedziniec dworku. Cisza, pusto wokoło. Swo-

bośnie możemy się przechadzać po pokojach; nikt nam nie przeszkodzi. Osmieleni, rozzuchwaleni nawet, wdziemy się do panieńskiego przybytku. Fortepian; na nim nuty i książki, niedbale porzucone: nieporządek miły! nie stare były rączki, co je tak rzuciły—robiemy sobie w duchu uwagę. Na oknach doniczki z gieranijum, lewkoniją, astrami i fijołkami—kwiatki proste, zwyczajne... Wejrzawszy dalej, widzimy mały płatek drewniany, powiązany w cyfrę, polyskujący „wstążkami jaskrawych stokrotek;“ a za nim ogródek z grzędami świeżo polanemi, na których pełno było „bukietów, trawy angielskiej i mięty.“ Przypatrmy się lepij: a toż najwyraźniejsze chociaż leciutkie ślady drobnych nóżek—nie trzewiczków, ale nóżek prawdziwych... Chwileczka cierpliwości—a zobaczymy i ich właścicielkę:

...Na parkanie

Stała młoda dziewczyna,—Białe jej ubranie  
Wysmukłą postać tylko aż do piersi kryje,  
Odstaniając ramiona i labędzią szyję.

(A) choć świadka nie miała, założyła ręce  
Na piersiach, przydawając zasłony sukience;  
Włos w pukle nierozwity; leż w węzłki małe  
Pokręcony, schowany w drobne strączki białe,  
Dziwnie ozdabiał głowę: bo od słońca blasku  
Świecił się jak korona na świętych obrazku...

Później widzimy ją znowu w „ogrodzie na ogróki“ ubraną „w bieliznę“ jak tonęła po kolana w majowej zieloności.

Z grząd zniżając się w brzozy, zdała się nie stapać,  
Ale pływać po liściach, w ich barwie się kąpać.

Głowę osłaniała kapeluszem słomianym; od skroni powiewały dwie wstążki różowe i kilka pukłów „światłych, rozwitych warkoczy.“ W lewej ręce trzymała koszyk a prawą podniosła niby do chwytania.

Jako dziewczę, gdy rybki w kąpielu ugania,  
Bawiące się z jej nóżką; tak ona co chwila  
Z rękami i koszykiem po owoce się schyla....

Pasterka—a jednak królowa!... Twarzy jej dotąd nie widzieliśmy, tylko postać „świecąca, cichą i lekką jak światłość miesiąca.“ Śpioch Tadeusz szczęścia tego dozna: ujrzy dwoje jasnych oczu, szeroko otworzonych, błękitnych jak bratki i małą rączkę, jak perła białą, niby wachlarz, z boku nadstawioną ku słońcu, i palce drobne, zwrócone na światło różowe, które jak rubin nawskroś się czerwienily, i usta ciekawe, roztulone nieco, i ząbki, świecące jak perły wśród koralów—i lica, co choć zasłonięte od słońca dłonią różową, przecież same płoną jak róże... Pączek, roztulający listki ku słońcu, jutrenka i obłok...

Wychowana „w stolicy“, już od *dwu* lat żyła w zaciszu wiejskiem, pomiędzy „kurami i indykami,“ chociaż, jak twierdziła ciocia Telimena, nie zapomniała jeszcze całkiem „Peterburka.“ Codziennie z sitem w rękę rzucała domowemu ptastwu „grad perłowy krup jęczmiennych,“ które wykradała z szafy ochmistrzyni. Drugiem jej zajęciem było bawienie się z dziećmi: wzięwszy do ręki szarą kitkę „podobną do piór strusich pęku, oganiała główki niemowlęce, od złotego motylów deszczu:“ — w drugiej ręce miała coś złocistego, co „zbliżała dzieciom do ust po kolei“ a „miało kształt złotego rogu Analtei;“—była to poprostu marchewka.



Jedyną zaś zabawę jej stanowiła swawola z ptastwem kiedy —

....kręcąc sito, jako tancerzica  
Bębnek, i w takt bijąc, swawolna dziewczica  
Jęła skakać przez pawie, gołębie i kury.  
Zosia, stopami ledwie dotykając ziemi,  
Zdawała się najwyżej bujać między niemi.  
Przodem gołębie białe, które w biegu ploszy,  
Leciały jak przed wozem bogini rozkoszy....

Prosta, naiwna była—ale śmiała. Kiedy ją hrabia zeszedł niespodzianie wśród dzieci i ptastwa, z początku zaczęła uciekać; lecz wkrótce uczyła, jak jest nieroztropnie małą dziatwę samą zostawiać. Przybiegła więc bawić się z najkrzykliwszym dziecięciem; siadła przy niem na ziemi, wzięła je na łono, a inne głaaskała ręką i uspokajała pieczotliwą mową. Pateytycznej deklamacyi hrabiego słuchała z uwagą i ze zdziwieniem:

Jak dziecię lubi widzieć obrazki jaskrawe  
I w liezmanach błyszczących znajduje zabawę,  
Nim rozezna ich wartość; tak się słuch jej pieści  
Dźwięcznemi słowy, których nie pojęła treści....

Odpowiada więc prostym pytaniem: „Skąd tu pan przychodzi i czego tu po grzędach szuka pan dobrodziej?” A spostrzegłszy zmieszanie na twarzy hrabiego, nie rozumie go; a może i rozumie, tylko (przebiegła dziewczyna!) chce zmieszać jeszcze więcej: robi mu propozycyja:

....Czy też pan nie może  
Rozbiegle moje ptastwo wpędzić nazad w zboże?....

W zapytaniu tém dźwięczała odrobina złośliwości. Dziewczyna już zaczynała pojmwować świat inny

i życie gorętsze. Pragnęłaby poznać ludzi; już jej troszczy nudno siedzieć samą w alkwie. Ciocia Telimena nie pokazywała jej gościom, bo była najmocniej przekonana, że *kto rośnie na widoku ludzi, to choć „piękny i rozumny” żadnego nie sprawi efektu; —* potrzeba „nagle, ni stąd ni zowąd zabłysnąć.” A kiedy już raz wejdzie w modę młoda dziewczica, „każdy chwalić ją musi.” chociaż mu do gustu nie przypadnie. Zresztą, zdaniem cioci komuż ją było pokazywać, kiedy w domu sędziego bawiło samo „plugastwo,” t. j. „pleban, co pacierze mrucał i palestra z fajkami.” Zosia więc „z nudy” lubiła „ptastwo paść i dzieci niańczyć” i zapomniała o przepisach salonowych: nogi rozszerzała jak chłopiec, okiem rzucęła naprawo i nalewo „jak rozwódka.” Ale koniec końcem chciały już zobaczyć kogoś, bo od dwu lat jedynym gościem, jakiego widziała, był „gołąb dziki.” Na poparcie swojego życzenia przytacza bardzo słuszne zdanie sędziego „że to źle na zdrowie” tak siedzieć zamkniętej. Nie zastraszę się wcale zapomnieniem dystygnowanych ruchów; ufa w swoją młodość a może i w głowę:

Ale poczekaj, ciociu, niechno się pobawię  
Trochę z ludźmi, obaczysz, jak się ja poprawię.”

Weszła więc w świat i zwyciężyła.... Tadeusza, który „stojąc przed nią niemy, to płonął, to bladnął.” Ujrawszy hrabiego, zrazu zarumieniała się i spuszczała oczki; lecz ujęta jego uprzejmością zaczęła się śmiać wspominając o owem spotkaniu w ogrodzie...

Ale na tem wszystko się kończy. Pobożna, tkliwa w miarę, gospodarna, ciekawa—nie występuje jako istota samodzielna. Przewyższając inne rówieśniczki

swoje, co to „wszystkie zacie zrodzone, każda młoda ładna” — posiadała ich przymioty i wady: kiedy był hałas, zamieszanie, nielad; kiedy zagrażało domowi jakieś nieszczęście: całą jej broń stanowiły: prośby, płacz i jęki.” Nigdy nie wymówiła energicznego słowa; wobec ważnych wypadków zachowywała się całym *biernie*:

Umilkła i spuściła głowę; oczki modre  
Ledwie stuliła; z rzęsów pobiegły lzy szedre.  
A Zosia z zamkniętymi stojąc powiekami,  
*Milczala, sypiąc łzami jako brylantami...*

W postępowaniu niema stanowczości; poeta przedstawia ją zawsze jak dziecko:

Zofija z opuszczonim ku ziemi wejrzeniem  
Zaploniesz się, gości witała dygnieniem,  
Od Telimeny pięknie dygnąć wyuczona....

Nic dziwnego—miała wtedy lat piętnaście....

Posłyszawszy „przez szczelinę” drzwi z ust Tadeusza „wielką i dziwną nowość, że była kochana,” i zarazem, że odjeżdża może nadługo, wyjęła z domowego ołtarzyka obrazek św. Gienowefy i relikwiarzyk z suknią św. Józefa — patrona zaręczonj młodzi — i z tém wyszła na pożegnanie. Uczucie swoje zawarła w kilku zaledwie słowach: („Pan odjeżdżasz, tak przedko?”), w których wyraziła żal za odjeżdżającym i podanie się woli losów. Na drogę daje mu podarunek i przestroję:

Niechaj pan zawsze z sobą relikwije nosi  
I ten obrazek....

Alé nie zapomina i o sobie: „a niech pan pamięta o Zosi...” Ostatnie wyrazy jej pożegnania, bardzo proste, powtarzają powszechnie przyjętą formułę:

Niech pana Pan Bóg w zdrowiu i szczęściu prowadzi,  
I niech przedko, szczęśliwie do nas odprowadzi....

Zaręczona z Tadeuszem, patrzy mu w oczy *nieśmiało*; zawsze zgadza się „z wolą nieba i starszych;“ a że jej mówiono, że musi pójść za Tadeusza, nie robiła żadnych trudności—może dlatego, że to i z *jej wola* nie było sprzeczne... Cóż głównie przemówiło do jej duszy? Lzy Tadeusza, kiedy odjeżdżał. Te lzy „wpadły jej aż do serca;“ od téj chwili uwierzyła, że jest kochaną. Ilekrót mówiła pacierz za powodzenie Tadeusza, stawał on zawsze przed jej oczyma „z temi dużemi błyszczącemi łzami...” Odtąd wszystko pojmowała tylko w duchu swego ukochanego. Tęskniła zawsze do tego pokoiku, gdzie on ujrzał ją po raz pierwszy; pamięć o nim „jak rosada w jesieni zasiana przez całą zimę krzewiła się w jej sercu;“ jakieś przeczucie mówiło jej, że znowu w owym pokoiku się spotkają—co się téż i stało. Takie mając myśli, często téż miała na ustach imię Tadeusza. Pojechawszy do Wilna na zapusty, nie bawiła się wcale, tęskniła do Soplicowa; często siedziała zamyślona; panny, widząc jej usposobienie, mówiły, że zakochana.

„Jużci—powiada Zosia—jeżeli kocham, to już chyba pana.”

Sama zresztą czuje i rozumie swoją rolę bierną. „Jestem kobietą—rządy nie należą do mnie;“—odpowiada Tadeuszowi, gdy jej zaproponował właszczenie włościan—„ja do rady młoda; co pan urządzisz, na to całym sercem zgoda.” Drzemią w niej piękne uczucia; potrzeba je tylko potrącić, sama na wypowiedzenie ich jeszcze się nie zdobędzie:

Jeśli włość uwalniając zostaniesz uboższy,  
 To, Tadeuszu, będziesz sercu memu droższy:  
*O moim rodzie mało wiem i nie dam o to;*  
 Wsi nie lękam się...  
 Pracy też nie lękam się, bom *młoda i zdrowa.*  
 Umieć chodzić około domu, *nosić klucze;*  
 Gospodarstwa, obaczysz, jak ja się wyuczę!

Jój dalsze rozumowanie wysnuwa się całe z poważnej myśli, rzuconej przez Tadeusza—już nie lubi miasta, nie lubi zabaw; utrzymuje, że ją więcej bawily koguty i kurki aniżeli świecidla stołeczne, chociaż widzieliśmy, że się temi „kogotami i kurkami” zajmowała „z nudy.“ Sama więcej dla siebie niż dla Tadeusza daje wyjaśnienie, wytłomaczenie się:

Jeśli czasem tęskniłam do zabaw, do ludzi—  
 To z dzieciństwa...

Ach, teraz już dorosła panna—za kilka godzin mężatka!...

W tym dniu ślubu dopuściła się jednego, jedy-  
 nego samowolnego czynu—w zakresie strojów... tak  
 że przez Telimenę po raz pierwszy w życiu *za upór* zo-  
 stała złażana. Nie chciała wziąć na siebie modnych  
 sukni — wyplakała sobie „ubranie prostacze.“ Choćby  
 dlatego jedyne *czynu* warto poznać, jak wyglądała  
 Zosia w owym „ubraniu prostaczym:“

Spodniczkę miała białą, długą; suknie krótką  
 Z zielonego kamlotu — z różową obwódką,  
 Gorset także zielony, różowemi wstęgi  
 Od łona aż do szyi sznurowany w pregi,  
 Pod nim pierś jako pączek pod listkiem się tuli.  
 Od ramion świecą białe rękawy koszuli  
 Jako skrzydła motyle do lotu wydeptę,

U dłoni skarbowane i wstążką opięte.  
 Szyja także koszulką obeśniona wązką;  
 Kolnierzyk zadzierzgniony różową zawiązką,  
 Zauszniczki wyróżnione sztucznie z pestek wiszni,  
 Których się wyrobieniem Sak Dobrzyński pyszni.  
 Były tam dwa serduszka z grotom i płomykiem  
 Dane dla Zosi, gły Sak był jój zalotnikiem.  
 Na kolnierzyku wiszą dwa sznurki bursztynu;  
 Na skroniach zielonego wianek rozmarynu.  
 Wstążki warkoczków Zosia rzuciła na barki  
 A na czolo włożyła, zwyczajem żniwiarki,  
 Sierp krzywy, świeżem żęciem traw oszlifowany,  
 Jasny, jak nów miesięczny nad czołem Dyjany....

Pożegnamy już to uroczę zjawisko, które we wspomnieniach naszych wesolością swoją i blaskiem opromieniało chwile smutku i zniechęcenia... Rzeczywistość przedstawia nam nieraz takie wiosenne pączki zerwane burzą i zaniezione daleko od rodzinnego gaiku; nurzają się one we krwi lub błocie, zmienione do niepoznania... Na jarmarku życiowym przypatrujemy się często licytacyi ideałów; kurs ich obniża się lub podwyższa stosownie do cyfry popytu i zaofirowania. Życie choć jest wspaniałe jest i okrutne. Spokój i trwałość—to nie jego przymioty. Niechże więc przynajmniej kreacja poety pozostanie w pamięci naszej nienaruszona i czysta, jasna i promienna, naiwna i rozsądna, wesola i kochająca, zadowolniona i kochana...

\* \* \*

Po muzeum wspomnień przesuwa się jeszcze kilka postaci niewieszcich: dwie córki asesora (w *Punu Tadeusza*), zwyczajne szlachcianki, trochę brzydkie,

Kobiety.

trochę zazdrosne; dwie Ewy (jedna w *Pannie Tadeuszu* druga w III części *Dziadów*), Marcelina i t. p. Nie przedstawiają one nic wybitnego: słabość fizyczna, bierność moralna, pobożność, płacz i t. d.—oto ich charakterystyka. Ewa w *Pannie Tadeuszu*, arystokratka z urodzenia, kochała szlachetkę Jacka Soplicę; ale ojciec stanowczo jęj tego zabronił. Naturalnie uległa. Nie chciała rozgniewać ojca, chociaż „lice jęj ble-dniało.”

A był-to taki piękny gołąbek, łagodny—mówi Jacek  
(przy śmierci —

I wzrok miała uprzejmy tak! tak pogodny,  
Taki anielski, że już nie wiem, już nie miałem  
Odwagi zgarniewać jęj, zatrwożyć...

Słaba, lekliwa „robaczek motyli — wiosenna gąsienica”—jak ją nazywa Jacek. „Dotknąć ją zbrojną ręką — byłoby ją zabić!...” Taka istota nie mogła się wystawiać na przykrości ucieczki, na grzech nieposłuszeństwa. Szczęku broni słuchać nie potrafiła. Biedna ona—tak ją rodzice pieścili!...

Ewę w *Dziadach* widzimy kłęczącą przed obrazem Matki Boskiej i proszącą łaski i zlitowania dla nieszczęśliwych wogóle a poety w szczególności. Po modlitwie zasypia, a aniołowie kołyszają ją snami czystymi i niewinnymi, jak lilija biała. Prześliczny *kwiatek!*

Kobietą-matką jest Rollisonowa (w *Dziadach*). Syn jęj w więzieniu—od rana do północy siedzi matka pod ratuszem; może głos dziecka posłyszysz, może ktoś jęj szepnie jakieś słówko o nim, może się cud stanie i nieszczęśliwą pocieszysz — połączysz z synem. Biedna, niewidoma naraża się na żarty i urągania: nic jęj od

zamiaru odwieść nie może... Jasnowiedzeniem ducha przeczuwa męki swego syna; chciałaby uwierzyć nawet w niewinność czarta, byle tylko ulżyć cierpieniu dziecka. Ale kiedy serdeczne słowa echa w kamienném sercu nie znajdują—wybucha całą potęgą macierzyńskiego uczucia, czuje w sobie siły olbrzymie, wydobywa z głębi duszy wulkany wyrazów:

Ja go znajduję tu, tego pijaka, tyrańca!...

To nie są frazesy sentymentalne — to mowa głęboko zranionego serca.

Rozstajemy się z Mickiewiczem. Z całą czcią dla największego u nas gienijusza poetyckiego, wyznać jednak musimy, że nie przedstawił on nam obrazu kobiety—obywatelki w całej pełni rozwoju i we wszystkich ważniejszych momentach życia. Maryla i Zosia—to nierozkwitłe pączki, w których niewiadomo, czy wszystkie listki się rozwiną, czy większa część opadnie, czy też zwiędną wszystkie przed czasem.... Aldona—to bujny kwiat egzotyczny, w cieplarni idealnych uczuć i chorobliwego sentymentalizmu zbyt szybko rozwinięty, nie przedstawiający też żadnej nadziei długiego trwania: pierwszy lepszy wietrzyk ziemniejszy zwarzy jego listeczki słabiuchne, nie posiadające zdrowych pierwiastków życia. Telimena—to kwiat cykoryi, rozwiewający się w puch za podmuchem swawolnego chłopca, to podziła pannica, w której widzimy jedną tylko niechęć obchodzenia uroczystości św. Katarzyny.

Grażyna mogłaby służyć za typ kobiety-obywatelki, gdyby okoliczności zbyt wyjątkowe nie postawiły jej na stanowisku odosobnionem i gdyby poeta szerzej ją był narysował. Jedna chwila naprężenia duchowego, które się wyraziło w poświęceniu własnego życia dla zgody wśród braci, nie wystarcza jeszcze, ażeby Grażynie naznaczyć miejsce w panteonie tych kobiet, które są natchnieniem i życiem społeczeństwa... Rollisonowej słusznie należy się to miejsce—ale tylko na zasadzie domysłów. Jest to drobny chociaż cenny fragment pośród kreacji poety. Marzenie czytelnika może go wypełnić — lecz nigdy nie zastąpi poetycznej rzeczywistości.

Lucyjan Siemiński powiedział, że „autor Grażyny mniej szczęśliwy w kreśleniu niewieścich typów <sup>1)</sup>.” Jest to nieścisłość wyrażenia. Widzieliśmy, że Mickiewicz dał nam kilka ślicznie skreślonych typów czysto-ludzkich, prawdziwie kobiecych — zapomniiał tylko o jednym: o kobiecie rozwiniętej, żyjącej w społeczeństwie jako dodatni czynnik jego rozwoju. Jedyne z tym wyjaśnieniem zdanie Lucyjana Siemińskiego będzie miało słuszność za sobą.

<sup>1)</sup> Wieczornice, III, 159.

## Julijusz Słowacki i miłość.

I wiecznie w tłumie zanurzony fali,  
Nie mogłem czoła wnieść nad tłum—cierpiałem.  
.....  
Przywykłem kruszyć serca — a gdy kruszę,  
Patrzeć, jak cierpią i śmiać się szalenie!  
.....  
Miłościę moje jako próchna świecę;  
Lecz nigdy się krew w marach nie zapali!..

Charakterystykę miłości trudniej nieporównanie skreślić u Słowackiego aniżeli u Mickiewicza. Nie był to gienijusz jednolity; różne przechodził fazy i w różnych—czasem zupełnie odmiennych—ukazuje się nam kształtach. Smutny, gonił za ideałem i sam śmiał się z pogoni. Z początku sceptyk, uwierzył potem w mamidła towiańszczyzny. Inny był proces tworzenia „Maryi Stuart,” inny — „Snu srebrnego Salomei;” inny — „Złotej czaszki.” Nie zamierzam faz tych tłumaczyć — wymagałoby to osobnego studjum; obecnie rzucę parę tylko uwag ogólniejszej natury.

Gorycz zmieszana ze łzami, jaka się przebija we wszystkich niemal twórcach Słowackiego, trudno sobie objaśnić okolicznościami jego życia; więcćj trzeba zwa-

zać na temperament, na naturę fizyczną i na wpływ poezyi jemu społecznej. Gdy matka poszła drugi raz za mąż, kilkoletni Julijusz znalazł się w domu zamoznym doktora Becu, gdzie go pieszczono i uwielbiano. Wychowany w towarzystwie kobiecóm — dwu córek doktora — przyswoił sobie miękkość i delikatność niewieściego obejścia się, a może po części i jego kaprysy. O niedostatku nigdy nawet nie posłyszał, nauki miał ułatwione. Muzyka, malarstwo, nauka języków — przyczyniały się do rozwoju uczucia i fantazy z zaniedbaniem rozwagi. Przykrości żadnej nie zaznał. Był dumnym i samowolnym, o ile ta samowola w drobnych wypadkach dzieciniego życia objawić się mogła. Był niesłychanie wrażliwym: wszystko w jego oczach olbrzymiało. W kółku domowém uważany za bóstwo, sądził, że wszędzie i zawsze rolę tę wszyscy mu przyznają; a kiedy później nie spotkał od razu należnego uznania; kiedy wszyscy patrzali z uwielbieniem tylko na Mickiewicza; kiedy w czasopismach było o nim głucho: — zabolął strasznie, zgorzkał, zniemawidził swego wielkiego rywala, którego o osobistą niechęć posądzał, i coraz więcej w smutne marzenia się pogrązał. Usposobienie żywe, gorączkowe, marzące, unosiło go daleko od ziemi, kazało przekształcać rzeczywistość — nie zaś stosować się do niej.

Był słabowity. To może najwięcej wpłynęło na rozwinięcie w nim skłonności do bolesnych marzeń, nasuwając fantazy w gorące obrazyniebytpocieszające, może okropne niekiedy. Zapewnienie bytu materyjalnego nawet w dość wysokim stopniu, jakie posiadał Słowacki, zostawiało mu więcej czasu do rozmyślań, do nieokreślonej jakiejś tęsknoty. Od dzieciństwa

gorąco pragnął zostać poetą. W jednym z późniejszych listów pisał do matki (z Paryża): „Droga moja! ja 8 lat mając, przysięgłem Bogu w kościele katedralnym, że nie będę przed grobem moim niczego żądał a za to za grobem o wszystko się upomnę.“ — W takich-to wyrazach kreślił żądze uwieńczenia głowy swojej laurem poetyckim... Lubił samotne przechadzki wśród fantastycznych cieni nocy; w dzieciństwie odczytywał Ilijadę. Epopeja greckiego narodu, wyolbrzymiająca rzeczywistość kształty i siły ludzkie do potęgi nadprzyrodzonej, zrodziła w nim chęć dorównania jej w praktyce. Julijusz był w pismach i w życiu prawdziwym poetą w tém znaczeniu, jakie od czasów Platona „istocie lekkiej, skrzydlatej i świętej“ nadano: — brał rozbrat ze światem realnym. W chwilach zastanowienia się sam to doskonale odczuwał. Mając lat 23, pisał do matki (z Paryża): „Darujecie mi, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, *abym nie był podobnym do ludzi*; a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka.“ Jeszcze później, pod koniec życia, pisał: „Wstyd mi wielu melancholij byrońskich; strach, aby one nie zaraziły innych.“

Był dumnym, w sobie zamkniętym; wszystko do siebie tylko odnosił. W r. 1832, kiedy wychodzili pierwsze 2 tomiki jego poezyj, umarł wielki poeta niemiecki — Goethe. W listach Słowackiego z tego czasu znajdujemy wyznanie, które doskonale charakteryzuje jego uczucia: „Dowiedziawszy się — powiada — o śmierci Goethego, pomyślałem sobie, że Bóg go wziął z tego świata, ażeby *dla mnie*, wydajęcego poezyje, *zrobił miejsce na świecie*.“ Miał wówczas rok 23-ci. Takie same wyobrażenia panują

u niego i pod względem miłości. Dla niego wszystko istnieć, ruszać się musiało, ażeby mu byt na padole płaczu znośniejszym uczynić...

Słowacki kochał się kilka razy.

Najpierw kilkonastoletnie jego serce zabiło do starszej kobiety—ale panny. Była nią *Ludwika Śniadecka* (córka Jędrzeja, potem żona znanego z wielu względów Michała Czajkowskiego), o której opowiada nam sam poeta w „Godzinie myśli.“ Była to twarz miła i świeża — jak opisuje p. Malecki — pełna wyrazu i życia, o *czarnych oczach*, płci białej i delikatnej; lecz zresztą jak wiele innych. Pod względem atoli duchowym posiadała wiele własności, znamionujących naturę głębszą: tkliwa, czuła, wykształcona starannie, trochę nawet „sawantka;“ gorliwa czytelniczka pism pani Staël, miała wyobraźnię ruchliwą i pełną skłonność do poetyckich zachwytów, które niekiedy dochodziły skali ekscentycznych uniesień. Przechwała ona w Juljuszu gieniusz poetyczny, może także zabiło w niej serce; ale nierówność wieku—Słowacki był prawie dzieckiem — nie pozwalała rozwinąć się uczuciu:

Więc odwracała oczy — a wtenczas lży lała,  
Myśląc o dziecka życia.  
Przyszłość mu nieszczęśliwą, jak wróżka, odgadła.

W „dębowej ulicy.“ kiedy „księżyc płynął samotny“ a „las szumiał daleko“ — wyznał Juljusz swą miłość i został odepchnięty. Duma w nim zawrzała; bo chociaż dziecko, miał dumę człowieka... Nie wiemy, jakie były dalsze losy tej miłości, która „pierwszą i ostatnią była“ — jak zapewnia poeta; w każdym ato-

li razie długo jeszcze wspomnienie Ludwika w sercu Juljusza przetrwało, odtwarzając się w „Godzinie myśli.“ w „Kordyjanie“ (Laura); przerywając „uczące czytanie“ w „Podróży na Wschód“:

Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską  
Niezabudkami rzezułkę — przy zdroju  
Miejsce kładkową przeskocone deską;  
Zawsze błękitne i zawsze w pokoju,  
Dokola w kalin ustrojone wianki,  
Było kąpielą gwiazd i mej koehanki...  
(Rankiem kąpała się Ludka w tej wodzie).

W rozmyślaniu chciał „z głębi wody ślad srebrzysty dostać i czekał, czy biała i powiewna postać może z pod wielkiej jarzębiny wstanie i wyjdzie...“

A nie tylko w poematach, gdzie takie wspomnienia przyczynić się mogą do zwiększenia uroku poetyckiego, ale w pamiętniku swoim i listach wszędzie o tej miłości wspomina, ciągle przez lat kilka o Ludwisi swęj myśli, o nią się dopytuje, szczegółami jęj życia interesuje się wielce. W urywkach „Pamiętnika,“ ogłoszonych przez Gąsztowta, czytamy: „Początek roku 1826 był dla mnie nadzwyczaj smutny, ale nareszcie przywykłem do życia pustego i pozbawionego wypadków serca... Z Ludką w mieście byłem zupełnie inaczej niż na wsi... byliśmy zawsze grzecznie, aleśmy się tylko przy ludziach widywali... tak, że tylko trzy razy jeździłem z nią konno do Zakretu.“ Szczegół ten przywodzi na pamięć scenę 2 z I aktu *Kordyjana*... Wspominając o samobójstwie Ludwika Spitznagla i rozmyślając nad wierszami jego w sztambuchu dziecinym zapisanemi, które później w *Godzinie Myśli* dosłownie powtórzył, dodaje: „Jaki posępny dźwięk

tych wierszy: czytając je, cały nachylałem się w przeszłość i chcę uchem łowić dźwięk przeszłości i słucham zamysłony... I ona także jak przeszłość nie wróci.“  
Gdy jechał do Krzemienia na wakacje, wyrwał się duszą do Jaszun, gdzie przy stryju Śniadeckim Janie była jego ukochana: „Ale przejeżdżając przez Jaszuny, kiedy widziałem drogę do wsi, gdzie mieszkała Ludwika, drogę, którą ona przejeżdżała niedawno, serce moje ścisnęło się, wszystkobył poświęcił, gdyby mnie tylko pozwolono pojechać tą drogą. Aleni byłem sam, jechałem z Grocholskim; inaczej możeby mnie był Krzemieniec nie obaczył!“

Scenę stanowczą w dziejach tej dziecięcej niemal miłości tak Słowacki przedstawił w „Pamiętniku.“

„Do Wilna wróciwszy zachorowałem. Widać, że krew moja rozruszona z trudnością do stanu spokojnego przejść mogła... Olesia (Been) odwiedziła mnie... Wkrótce mogłem sam wyjść i poszedłem prosto do Lud... ale miasto zawsze robiło mnie etykietalnym; inaczej z nią się bawiłem niż na wsi, rozmowy były zimniejsze... Wiedziałem, że się mocniej kochać zaczęła w W., który był w Wilnie... Dręczyło mnie to tém bardziej, kiedy Lud. pierwszy raz jednego wieczoru mówiąc do mnie zamiast Julka jak dotychczas nazwała mnie panem. Wtenczas zbliżyłem się do Olesi i powiedziałem: prosz Lud. żeby mnie jeszcze przez kilka miesięcy nazywała Julkiem, wszak za kilka miesięcy ja odjadę... nazawsze. Prośba moja najprzód była przyjęta, lecz potem zabijające mnie słowo pan wróciło... Zacząłem bywać rzadziej. Gdy Teofil (Januszewski) przyjechał do Wilna i mówił mi, dlaczego tak rzadko bywam u Śa. odpowiedziałem, że

zajęty jestem egzaminami. Jakoż egzamina się zbliżyły i przepowiadano powszechnie w uniwersytecie, że wezmę praemium.

„W dniu, kiedy przysądzono praemium, zdarzyło się tak, że Lud... z ojcem już na wieś na całe lato odjeżdżała. Zostawiłem więc myśl o praemium, którego przysądzenia pewny byłem i poszedłem ją pożegnać... Dzień ten był dla mnie dniem piekielnym, zapewne w życiu drugiego takiego nie będzie... Przeszedłem o trzeciej po południu do Śn., zastałem ją razem z innymi osobami. Powiedziałem sobie, że na twarzy żadnego wzruszenia nie okaże. Pamiętam, jak dano lody. Z filiżanką w rękę oboje staliśmy w oknie. Wszyscy byli daleko... Milcząc oboje patrzaliśmy na ulicę... potem kilka słów obojętnych... Chciała mi wmówić, że się zobaczymy.. I już zajęchały powozy... pocałowałem ją lekko w rękę, powiedziałem: nie zobaczymy się nigdy może i czulem, że zachwiałem się na nogach... Wkrótce odzyskałem zmysły, rozsądek, dumę i nie podałem jej nawet ręki, kiedy wsiadała do koczka. Konie ruszyły, wyszedłem na ulicę i patrzyłem za odchodzącym powozem. Widziałem jeszcze voile od jej kapelusza, potem powóz z chwilę zatrzymał, zapewne dla poprawienia uprzęży... i znowu ruszył dalej... zniknął... i wszystko.“

Wracał ponury; po drodze dowiedział się, że praemium uniwersyteckie, którego był pewny, ominęło go, że dostał tylko accessit. Przeszedłszy do domu, zamknął się w pokoju, płakał i przysiągł, że nigdy już do Wilna nie przyjedzie. „Lecz może dobrze — dodaje w Pamiętniku — że to drugie nieszczęście uwagę moją nieco od pierwszego odwróciło. Inaczej... możebym był



nie został na świecie, ale myśl, że śmierć moją przypisanoby zawiedzionej nadziei szkolnej, wstrzymała mnie."

W kilka dni potem wyjechał wraz z doktorem Beaupré do Krzemienia. W Jaszunach zastał tylko Michała Balińskiego (żonatego z siostrą Ludwiki Zofiją) i Jana Śniadeckiego. Juliusza cieszyło, że Śniadecki traktował go już jako człowieka i że u stołu jemu pierwszemu dawano półmiski. „Jest-to rzecz mało znacząca—dodaje—ale to tak charakteryzowało moje wyjście z dzieciństwa, że mi się wraziło w pamięć.” „Lecz te Jaszuny, ten sam stół — pisze dalej — gdzie miesiącami trzema wprzód przy niej siedziałem, teraz pusty i tylko przy nim nas czterech... było to tak smutne... Oglądałem się mimowolnie na ściany; potem wszedłem do pokoju, gdzieśmy z nią tyle razy gadali lub czytali.... Usiadłem na tej samej białej sofie. Potem wróciliśmy do ludzi. Pożegnałem się czule z Janem Śniadeckim i z Balińskim i pojechaliśmy. Każdy idzie w swoją drogę... jak mówi Mickiewicz; moja otwierała się przede mną smutna i pozbawiona wszystkiego.“

W pięć lat potem, kiedy „Pamiętnik” swój spisywał zaczął. Słowacki, który — jak sam powiada — żył przez ten czas w świecie poezji tylko, streścił swoje wrażenia z przeszłości i swój stan w słowach pełnych melancholii:

„Pamiętnik ten tak mi wszystkie obrazy przeszłości wywiódł na pamięć, że zdaje mi się, że ją raz drugi porzucam. Obcy, czytając te karty, znajdzie je może zapełnionemi blahemi wypadkami dzieciństwa, ale dla mnie słowo tam jedno napisane przywodzi mi na myśl cały obraz: karty te są teraz dla mnie taliz-

manem chroniącym od rozpacz, będę je odczytywał i może jeszcze łzy dzieciinne powrócą... Lecz myśl o niej jest rozdzierającą... Obląkana wpadła w czarną melancholiję, nikt ją nie przywiązuje do świata... Ona może teraz w ciemnym pokoju z oczyma zwróconemi na jedno miejsce z obląkanem szuka nadaremnie obrazów przeszłości. Gdybym mógł tak stanąć przed nią, błąd i milczący, przycisnąłbym ją do serca i może mój głos obudziłby w niej jakieś miłsze wspomnienie. O gdyby ona wyjechała za granicę... Szedłbym za nią jak cień, jak anioł strzegący ją od nieszczęścia, a jeżeliby chciała, nigdybym się jej nie pokazał... Byłaby zawsze dla mnie jak święty obraz wspomnień.

„Nie, ja skazany jestem żyć już bez uczuć, skazany, abym przez całe życie czekał sławy, która może przyjdzie pierwszego dnia mojej śmierci. Pamiętam, że będąc malém dzieckiem i zapaleniem nabożny, modliłem się nieraz: o Boże! daj mi sławę choć po śmierci, a zato niech będę najniezszczęśliwszym, pogardzonym i niepoznanym w mojem życiu. Tak się modliłem; przekonany jestem, że zły duch pochwycił moje przymierze. To co ma być w życiu, już się spełnia...to co ma być po śmierci, być musi... Czuję, że ja umrzeć wiecznie nie mogę... Jestem posągiem Memnona postawionym na grobie mojej ojczyzny i długo, długo dźwięk mój będzie budził niktających na tej ziemi Polaków, i może jeszcze ostatni Polak, co będzie umiał swój język narodowy, obleje łzami moje karty i przedsięwzięnie pielgrzymkę do popiołów spoczywających w dalekiej ziemi... *My epitaph shall be my name alone.*“

Wydawszy w r. 1832 pierwszy tom poezji swoich i posyłając kilka ich egzemplarzy matce, nie zapo-

mina dodać: „Mamo moja, choćbyś miała dwa egzemplarze tylko, to jeden poslij Ludwisi koniecznie.“ Spodziewał się może, iż Ludwisia odezwie się do niego, ale nie doczekawszy się, sam się do niej zgłosił, o czém tak donosił matce: „Kochana mamo, napisałem list do Ludwisi S. Odeslij ten list, moja mamo, ale tak żeby pewnie doszedł i żeby go przeczytała...o gdyby ona odpisała do mnie! Ale nie spodziewam się...tylko co napisałem list ten i dlatego widzisz tu, mamo, przerywane frazesa; pióro rozkołysało się, smutno mi, ale co robić!... Jeszcze parę razy wspomina o tym liście i powiada, że odpowiedzi chce koniecznie. Nareszcie odpowiedź tak pożądana przyszła. Słowacki opisuje tę okoliczność w liście do matki: „Przynoszą mi list: spojrzalem na kopertę, list był zdaleka, ze stron, gdzie się wychowałem, z czarną pieczętką, na której cyfra L. S. Nie możecie sobie wystawić, jak się przeraziłem, mimowolnie list konwulsyjnie zgmiotłem tak, że się pieczętka rozsypała.... Wtenczas otworzyłem list okropny. Płakałem z takim lkanieniem jak dawniej, kiedy byłem dzieckiem, bo też list ten nanowo dzieckiem mnie zrobił. Smutne nadzwyczaj wrażenie uczyniło na mnie opisanie jednej sceny. Antosia czytała *Mnich* i *Araba* dla Zosi B (alińskiej.) Julka patrzyła, jak Ludwisia wyszywała kwiaty do ołtarza na grób matki. Ludwisia spytała Julki, czy pamięta Julka Słowackiego. Powiedziała, że pamięta, że on był błądy, miał czarne włosy i bawił się z dziećmi... Świat ten, w którym starsi zapominają a dzieci pamiętają, *c'est une farce un peu trop lourde...* Te dwa dni były dla mnie prawdziwą szkołą uczuć i smutku, a kiedy wychodziłem z domu, to mnie coś tak koreciło wrócić do tych dwu

listów (drugi był od matki), jak gdyby czekał na mnie w domu przyjaciel, co zwykł gorzkie ale zbawienne mówić prawdy. I tak całe dni były zapełnione odczytywaniem tych dwu listów, że nie przeczytałem słowa z książek interesujących, które leżą na moim stoliku. Te dwa dni tak dalece odepelnęły wszystkie inne, że nie wiem, co o nich mam pisać; posyłam list do Ludwisi; ostatni-to będzie—i już dosyć tego“... Gdy matka ciekawa, co też było w liście Ludwisi, prosiła syna o przysłanie go w odpisie, Julijusz odpisał: „Długiego-by tu miejsca potrzebował ten list, a nic w nim nie ma szczególnego. Ciekawy jestem, czy mi drugi raz odpisze i czy mi przysle minijaturę swoją, o którą ją prosiłem w ostatnim liście. Ile z listu sądzić mogę, nie gniewa się za pamięć moją, owszem gniewa się za *mało pamięci o niej w książkach*; oto są słowa listu: „Milo mi było w mojej cichej samotności przebiegać te odcienia myśli i uczuć znajomej mnie duszy. W tych tworach poetę tylko widać, chował się człowiek, nieraz się jednak człowiek zdradził, a ja go poznałam. Żadnej już nie czytam książki, ale poezyje pana jak przyjaciele dawnego nie jak książki przyjąłem i tak zostaną u mnie; póki ja jeszcze cierpieć muszę na ziemi.“

Krótką ta korespondencja odżywiająca dawne wspomnienia zakończyła się pewnym rozczerowaniem a przynajmniej goryczą, doznaną przez poetę. W listopadzie 1832 r. pisze do matki: „Mamo moja, przysłany mi przez ciebie list Ludwisi przykrość mi zrobił, bo ona do mnie zupełnie inaczej pisała;—szalona! chciałaby być poetyczną istotą a jest śmieszna; smutek ją pewnie nie zabije, zdaje mi się, że się trochę gniewa, że w moich poezyjach nic o sobie a zatem o niej nie pisa-

lem; poznała mnie jednak czasem, pisze to sama, a ja się domyślam, że poznać musiała w scenach między Rizzio i Maryją Stuart zwłaszcza w ostatniej scenie aktu drugiego. Po odebraniu listu do mamy pisanego, żalowałem, że do niej drugi raz pisałem, choć wprawdzie dosyć dumnie.... Smutek zdradzający się tylko mimowolnie a nie smutek okazywany lzy wyciska; do wodom tego jest list Ludwisi. Po większej części wszystkie kobiety dobrze grają, ale mężczyźni są szkaradnemi aktorami"... Warto przypomnieć, że w tym czasie została napisaną *Godzina myśli*...

Teraz już Ludwika sama zwracać się musiała do poety. Na początku roku 1833, gdy Słowacki był w Genewie, odebrał od niej list „długi, ogromny,” z którego dowiedział się, że „dewotką została.“ „Pisze do mnie—powiada Julijusz—radząc mi się nawrócić; z tej strony niewielki list odniósł skutek; znalazłem w nim jednak wiele uczucia i wiele pokarmu dla mej duszy. Obiecała mi z Odesy, gdzie na wiosnę jechać zamierza, przysłać swój portret; napisz więc jój, kochana mamó, ale nie wyszczególniając powodów, gdzie się ja teraz znajduję, i daj jój mój adres, bo mi pisać zakazała. List ten był wypadkiem w mojem wiejskiem życiu“.

Na tém prawie urywają się wzmianki w listach o Ludwice. Dopytuje się wprawdzie poeta, co się z nią dzieje, czy jedzie do Odesy, czy o przyrzeczeniu swojem pamięta; a gdy z siatką na motyle uwijał się nad jeziorem genewskim, zaraz nasuwały mu się wspomnienia „Mickun, Wilenki, lasów sosnowych i jeszcze kogoś;“ ale już te przygodne pytania i przypomnienia nie mają tych cech melancholicznych, jakimi dawniej się odznaczały. W poematach dłużej o niej pamię-

tał, a wybierając się w podróż na Wschód, przypomniał sobie w Neapolu Ludwisię i „jarzębinę co kładła koralowe wianki na jej włosy“ i wołał: „Ludko! dziecko kochanko, bądź zdrowa!“ W *Beniowski* (1841 r.) jeszcze poświęca kilka przeslicznych strof rozkosznym wspomnieniom młodości, żegna się z Ludką na zawsze i pożegnać nie może...

Patrzaj, powracam bez serca i sławy  
Jak obłąkany ptak—i u nóg leżę.  
O nie lekaj się ty, że labędź krwawy  
I ma na piersiach rubinowe pierze,  
Jam czysty! głos mój wśród wichru i wrzawy  
Słyszałaś w równej zawsze strojny mierze;  
U ciebie jednę on się łez spodziewał,  
Ty wiesz, jak muszę cierpieć, abym śpiewał.

Idź nad strumienie, gdzie wianki koralów  
Na twoje włosy kładła jarzębina;  
Tam siądnij i słuchaj tego wichru żalów,  
Które daleko odnosi kraina,  
I w pieśń się patrzaj tę, co jest z opalów  
A więcej kocha ludzi niż przeklina;  
I pomyśl, czy ja duszę mam powszednią,  
Ja, co przebiegłszy świat, kochałem jedną!

Twój ezar nade mną trwa. O! ileż razy  
Na skałach i nad morzami bez końca  
W oczach twój obraz, w uszach twe wyrazy,  
A miłość twoję miałem nakształt słońca  
W pamięci mojej. Anioł twój bez skazy  
Na moich piersiach spał—lza gorąca  
Nigdy mu jasnych skrzydeł nie splamiła,  
Twa dusza znała to—i przychodziła...

.....  
Bądź zdrowa! odejść nie mogę, choć słyszę  
Wolające mię duchy w inną stronę;

Wiatr mną jak ciemnym epyrsem kolysze  
 I z czola mego podnosi zasłone,  
 Z czola, gdzie anioł jakiś skrami pisze  
 Wyrok stawiający mnie między stracone.  
 Ja czekam, krusząc wyroki okrutne—  
 Twe oczy patrzą na mnie—takie smutne!  
 Bądź zdrowa! drugi raz eud się powtórzy:  
 Martwy odemknę ci w grobie ramiona.  
 Kiedy ty przyjdiesz, do zbielejącej róży  
 Podobna, zasnąć.—Desyć!.. Pieśń skończona!  
 Oko się moje senne łzami mruży.  
 Róże uwiedły, czara wychylona  
 I pieśń gdzieś leci ode mnie echowa...  
 Już pożegnałem cię—jeszcze bądź zdrowa!..

Wspomnienia atoli i ta miłość „jednej“ nie stawały bynajmniej na zawadzie wrażeniom chwili bieżącej, która zawsze nastęrczała Słowackiemu sposobność robienia sercowych podbojów.

Dnia 21 lutego 1832 r. Julijusz odebrawszy od matki 3000 franków, postanowił wydać pierwsze tomy poezyj swoich; udał się więc do drukarni Pinard'a, który już poprzednio drukował pisma Mickiewicza i innych Polaków. „Zastałem tam—pisze do matki—bardzo ładną pannę Pinard, której narzeczony zawiaduje drukarnią; ten narzeczony był bardzo grzecznym dla mnie. Ułożyłem się o druk: dwa tomy będą kosztować nie tak wiele, jak-em się spodziewał; potem zostałem z panną Pinard i z tą długo gadaliśmy; biedny narzeczony musi panienki słuchać, musiał ze *łzami w oczach* na obiad mię zaprosić; pewny jestem, iż mnie na niczem nie oszukają. Chodźko (Leonard) mówił mi, iż ode mnie o trzecią część biorą tanięj niż brali za dzieła Mickiewicza. Widzicie, że dobrze się poznawać z pa-

nienkami, dobrze się zostać przy kominku i o czem innym niż o interesach pogadać.“ Oprócz tej narzeczonej były jeszcze dwie siostry, które w marcu zaprosiły Julijusza na obiad. „Zastałem tam Chodźkę; średnia z panien nazywa się Kora, śliczna, zupełnie taka, jak sobie wystawiamy Korę, heroinę Mohikanów. Dziewczynka młoda, ma lat 15 i coś hiszpańskiego w twarzy. Ale ja nieszczęśliwy więcej daleko podobałem się panie Pinard najstarszój, która coś na sawantkę zakrawa, a ponieważ mam dobre uszy, podслуchałem jej rozmowę z Chodźką; mówiła mu, że mnie znajduje bardzo do rzeczy i z dowcipem, a on jej na to odpowiedział *mais, les Polonais ne sont pas bêtes*. Zaśmiałem się skrycie z jego odpowiedzi... Po obiedzie zostałem sam z pannami i panna Kora śpiewała mi śliczne romanse. Siedząc tak przy kominku, słuchając muzyki, przypominały mi się ciche domowe wieczory w Wilnie. Nazajtruz posłałem Korze kilka ładnych romansów, które na teatrze słyszałem. Po obiedzie a raczej po wieczorze u panien, poszedłem na wieczór do księżnej Czartoryskiej. Jaki kontrast! Tak mi było nudno! Nie dziw; nie było tu czarnych, wymownych ocząt panny Kory, tylko królewska niemal powaga.“

W kwietniu wybuchła w Paryżu cholera. W zakładzie panien Pinard umarł chłopak drukarski; a kiedy ten nieszczęśliwy konał, kiedy nikt nie ośmielił się dotknąć chorego, Kora sama otworzyła mu usta i dawała lekarstwo. „Gdym się o tém dowiedział—pisze Słowacki—chciałem gwałtownie w obecności wszystkich chwycić ją i pocałować; szczęściem, że rozważa przyszła mi w porę.“ Od tej chwili jest prawie codziennym gościem u panien Pinard i bardzo często o nich

w listach wspomina. Chociaż druk poezyj już się skończył, bywać nie przestał, zaczął owszem uczyć Korę po polsku: „Dziwne prawdziwie moje lekcye—pisze do matki— Starsza siostra bardzo z tego kontenta; przypominam sobie, że raz, kiedy jęj mówiłem, jak miłość chłopców ukształca, odpowiedziała mi, że i panny bardzo się kształcą; chce więc zapewne, aby się panna Kora uformowała; bardzo dobrze, zdaje mi się jednak, że na zły wpadła sposób. Panna Kora płakała cały ranek, nim ja przyszedłem; dziwna dziewczyna, mówiłem wam, że Hiszpanki ma króć.“

W maju czy w czerwcu nastąpiła pewnego rodzaju katastrofa, o której tak opowiada Słowacki: „Gniewasz się na mnie, kochana mamó, że nie o pannie Korze nie piszę; milczenie moje nie dowodzi, abym się szczerze zakochał; ale wszystko, jak było, wiernie opiszę, choć może śmiesznym się wam wydaję. *Przez grzeźność* kiedyś powiedziałem pannie Korze, że ją kocham: ona mi się także przyznała, że mnie kocha, a wtedy zapytałem ją, co zrobi, jak ją kochać przestane; odpowiedziała mi, że się otruje albo się utopi, a z téj odpowiedzi widać, że się urodziła na brzegach Hiszpanii. Od tego czasu postanowiłem dowieść jęj, że się nie zabije, ani nie utopi, chociaż ją kochać przestane; więc zacząłem kaprysić, przyprowadzałem ją do gniewu, dawałem uczuć, że jeszcze dziecko. Nie wiem z jakiej przyczyny, ale wpadła w gorączkę, w gorączce miała delirjum, a z tego siostry musiały się tajemniczy jęj serca dowiedzieć. Widząc, że nadto zły byłem w mojem postępowaniu, postanowiłem, żeby mnie zapomniała; powiedziałem jęj to i przez miesiąc nie poszedłem do nich.“

Zerwany stosunek zawiązał się nanowo w lipcu.

Słowacki spotkał Korę wraz z siostrami w ogrodzie tuileryjskim; uklonił się i chciał przejść, ale zamężna już siostra pani Barateau posłała kuzyna, by go sprowadził. Wrócił więc i rozmawiał z wesołą twarzą przez godzinę. „Panna Kora czerwieniła się i bladła; potem damy powstały; musiałem pani Barateau ofiarować rękę i odprowadzić do domu. Przechodząc przez most Królewski, Kora, która szła naprzód, zatrzymała się i zapytała siostry, z którego-to mostu *la duchesse de Guiche* rzuciła się w Sekwanę? Uczulem, że to zapomnienie było delikatnem przypomnieniem mojej niestałości, i uśmiechnąłem się, kiedy pani Barateau, która znała kiedyś *duchesse de Guiche*, zaczęła długo na zapytanie Kory odpowiadać. Od tego czasu widziałem je znów kilka razy w ogrodzie; siadam czasem przy nich na kwadrans.“

Ostatnie dni lipca obfitowały w wyraźne dowody poufalego między obojgiem stosunku. 20 lipca zapisuje poeta w „Pamiętniku“ swoim: „Wracam z wieczoru muzycznego od panien Pinard; bardzo mnie tam dobrze wszyscy uważają; widziałem, że będące tam panienki patrzyły na mnie z ciekawością tak, jakby już im kto o mnie uprzednio gadał. Najwięcej rozmawiałem z Korą; siedzieliśmy przez największą część wieczoru trochę opodal od kola, bliżej fortepianu. W ciągu jednéj ary obróciła się do mnie i powiedziała: przyjdź we czwartek.— Dlaczego we czwartek? zapytałem ciekawie... Zarumieniła się i potem dodała: będę samą... Nelly jedzie na lekcycją śpiewania... a potem zapytała: czy przyjdiesz? Tak mnie zdziwiło to rendez-vous, na które się młoda dziewczynka odważyła, że odpowiedziałem jęj obojętnie: nie wiem; potem przyrze-

kłem przyjsć. Biedna dziewczynka nie chciała mnie pocałować, kiedym był raz ostatni, i teraz tego żaluje... Widzę, że o jój miłości wszyscy domowi i nawet obcy wiedzą.“ 25 znów lipca czytamy w tymże „Pamiętniku“: „W ogrodzie spotkałem panny Pinard, siadłem przy nich, ale daleko od Kory. Potém przysła jakaś dama z bratem i usiadła. Słyszałem, jak panna Anais powiedziała do niój: *c'est un poëte polonais, très-célèbre, qui est assis derrière votre chaise* i na te słowa dama odwróciła się spojrzeć na mnie, a ja umyślnie odwróciłem oczy, żeby się dobrze dziwnemu zwierzowi przypatrzeć mogła. Potém podałem rękę pannie Anais i przeszedłszy przez ogród; potém odprowadziłem je do domu i wszedłem na chwilę do nich. Pan Barateau wrócił był właśnie z jakiegoś wesela i opowiadał z przyjaciółkami złośliwimi cały obraz 40-letniego doktora że-niającego się z 19-letnią panną. Kora zdawała się go słuchać z uwagą; i gryzłem wargi, że tak mało na mnie siedzącego przy niój uważała. Wtém słyszę ją cicho mówiącą: *Ne venez pas demain — Non, je ne viendrai pas*—odpowiedziałem i potém usłyszałem ją mówiącą znów cicho: *Venez vendredi soir*. Schyliłem głowę... zaśmiałem się... Potém zaczęła wypytywać się pana Barateau o różne szczegóły i kiedy ten jój odpowiadał, rzekła znów cicho do mnie: *L'hiver vous viendrez avec nous aux bals, n'est-ce pas? — Qu'est-ce que j'y ferai?*—odpowiedziałem— *je ne danse pas la contredanse— Qu'est-ce que cela fait?*...“

Warto zanotować, że tego samego dnia, kiedy Slowacki napisał pierwszy swój list do Ludwisi, i kiedy mu było smutno, donosił matce: „Pójdę do Kory; może kiedy zacznie mi patrzeć w oczy i uśmiechać się,

może ten smutek rozproszy, choć dalibóg niekocham jój.“ To zapieranie się wszakże przed samym sobą dowodziło, że serce jego doznawało wzruszeń, które ukolysać pragnął. W sierpniu, kiedy oczekiwał odpowiedzi od Ludki, chodził z Korą na przechadzki „przy księżycu pod pomarańczowemi drzewami Tuilleries ogrodu“, dawał jój wiersze do sztabuchy, które panienkę zachwycaly... We wrześniu pisał: „Oszalałem; nowa ta Fornarina oczarowała mnie“... Ale już w październiku donosi matce: „Z Korą rozstaliśmy się; nie gada do mnie; nie kochałem jój; spostrzegła to i widać że dumna dziewczyna, ale widzę ją czasami, a zawsze coraz bardziej blada. Szczęście, że zima nadchodzi, będzie więc tańcować, a ma lat tylko 16 i ładna, więc zapamięni.“ W grudniu wyjeżdżając z Paryża poszedł Julijusz pożegnać się z pannami: „Kora płakała; z drugiego pokoju słycać było lkanie, a kiedy weszła do salonu, czerwone tak miała oczy, że siostry za rzecz potrzebną uznały mówić przede mną, że ma mocny katar mózgowy, nad czém bardzo ubolewałem.“

Poeta, który lubił „kruszyć serca i patrzeć, jak cierpią“, z przyjemnością zapisywał do matki wieści dochodzące do niego o Korze. W lutym 1833 notował: „Doniesiono mi z Paryża, że mię Kora zawsze wspomina. Druk mego *Lambro* przypomniał jój, jak niegdyś, drukując poezyje, chodziłem do nich co ranka i gadałem z nią przez długie godziny; będzie jój trochę smutno, kiedy to wspomnienie pierwszej cichej miłości stanie przed oczyma“... A w roku 1835: „Otrzymałem list z Paryża, z którego zaczynam wierzyć w cuda, a cudem jest, że panna Kora pamięta o mnie.

Trzy blisko lat pamięci! O! o! o! — z takim jękiem konają osoby w moich tragediach...“

I znowuż kwiaty tych wspomnień zraszał wodą świeżych wrażeń, bo „głina, z której go Bóg ulepił, nabrała jakiegoś magnetycznego pociągu, który wiązał do niego serca panien“. Pobyt w Szwajcaryi był urozmaicony wzruszeniami, które poeta poczytywał jedynie za „ułamki, okruszyny uczuć“, ale które w sercu Elizy Morin a zwłaszcza 30-letniej Eglantyny Patteg bardzo silne zostawiły ślady. Panny otaczały go staraniami i troskliwością, pochlebiali mu, interesowały się wszystkiem, czém on się choć na chwilę zajął, robiły mu miłe niespodzianki i miłsze jeszcze wyznania, smuciły się, tęskniły, płakały. Poeta przyjmował to wszystko jako hołd sobie należny po królewsku, obojętnie, czasami darząc uśmiechem, czasami szyderstwem, niekiedy melancholiznem usposobieniem, zwłaszcza gdy Eglantyna przez parę tygodni była nieobecna; — i pisał do matki: „w moich uczuciach nic nie ma wielkiego oprócz tej jakiegoś nieskończonej niespokojności, bez rysów prawie, a którą jednak widzę wszystkiemi zmysłami.“

Ale najbardziej pamiętną z późniejszych miłości Słowackiego jest stosunek z Maryją W (odzińską), uwieczniony precudnym poematem: *W Szwajcaryi*.

Poznajmy najprzód, jak się on w rzeczywistości zarysował, o ile z listów Juljusza do matki wiedzieć można.

Znajomość poety z rodziną Wodzińskich bawiącą w Genewie zawiązała się przy końcu roku 1833 i trwała blisko dwa lata. Słowacki, który tak drobniawo opisywał w listach do matki swoje stosunki z pannami Pinard i z Eglantyną, jest bardzo skąpym

w opowiadaniu szczegółów odnoszących się do Maryi Wodzińskiej. Z początku nie podobała mu się wcale. Po pierwszym widzeniu, pisząc o niej do matki, powiada, że jest-to panna dorosła ale wcale nieładna. Później zmienił zdanie, jakkolwiek duma długo nie pozwalała mu przyznać się do tego. U pani W., która prócz Maryi miała jeszcze jedną córkę i trzech synów, bywał bardzo często i bardzo mile czas spędzał. Na takich odwiedzinach sąsiedzkich upłynęło przeszło pół roku. W sierpniu 1834 pani W. powzięła zamiar zrobienia wycieczki w góry; oprócz rodziny brał w niej udział Żmudzin jakiś i guwernantka Francuzka; Słowacki oczywiście przyłączył się również do tego towarzystwa. „Towarzystwo to—powiada poeta—nie było tak przyjemne, jakbym ja żądał, ale też nie było nieznośne, owszem różnica charakteru podróżujących osób dobrą razem tworzyła harmoniją. Najmłodszy z synów pani W. był naszym pajacem, ciągle nas śmieszył i bawił; najstarszy, który niedawno stracił i pochował w grobie kochankę, był osobą melancholiczną towarzystwa; ja zaś, chociaż nie straciłem kochanki, byłem także osobą ponurą towarzystwa, niezawsze jednak.“ Statkiem parowym przepłynięto „błękitne“ jezioro genewskie, zwiedzono górę s. Bernarda i inne miejscowości zwykle przez podróżników oglądane, modlono się w kaplicy Tella, wreszeie przez Bern wrócono do domu. Wycieczka ta trwająca dni dwadzieścia pozostawiła głębokie wrażenie na fantazyi poety; „imaginacyja moja — pisał — jak salon pałacy ustrojona jest nowemi malowidłami.“ Miłość zapewne już towarzyszyła mu w niej także, tylko że była głębszą od innych, więc poeta nie przyznawał się do

nięj głośno; Maryja wszakże staje się już teraz w listach osobą „bardzo miłą, mającą wiele wdzięku i dobroci serca.“ Dopiero w marcu 1835 roku okazał Słowacki, co się w sercu jego może oddawna już działo: Rzecz tę tak opowiada swęj matce: „Panna Wodzińska zaatakowała mnie niedawno, abym jęj w sztambuchu kartkę białą zabazgrał; zaraz przy stole usiadłem, umoczyłem pióro i te płaczliwe wiersze napisałem mojęj towarzyszcze podróży po alpejskich górach:

Byli tam, kiedy śnieżnych gór błyszczą korony,  
Gdzie w cieniu sosen bożym strzeżone napisem  
Stoją białe szalety, wiązane cyprysem,  
Gdzie w łąkach smutnie biją kóz zbląkanych dzwony,  
Gdzie się nad wodospadem jasna tęcza pali,  
Gdzie na zwalonych sosnach czarne kraczą wrony:  
Tam byli kiedyś razem i tam się rozstali.  
A po latach wróconym ojezyźnie pielgrzymom  
Bławatkami gwiaździste kłaniały się żyta,  
Jechali, błogosławiąc chat wieśniaczych dymom,  
Wszyscy pod jeden ganek. Matka, siostra wita  
Synów, braci, przyjaciół — są wszyscy, są wszyscy,  
Przy jednym siedzą stole, przy czarach nalanych,  
A wczoraj tak dalecy a dzisiaj tak blisey,  
I nie braknie nikogo oprócz zapomnianych.  
Młoda Maryja do tańca każę stroić lutnie  
I usiadła, spoczywa — nagle do sąsiada  
Rzekła: „ach, kogoś braknie!“ Tu podkówka utnie  
W takt mazurka. „On umarł!“ — sąsiad odpowiada;  
Cichoż na jego grobie! Słowików gromada  
Śpiewa na srebrnej brzozi cmentarza tak smutnie,  
Ze brzoza płacze...

Tą melancholiczną skargą zamknął poeta swoje ciche wyznanie. W miłości tęj nie było ani pocałunków i schadzek jak w stosunku z Korą, ani tęj sio-

strzanęj troskliwości i tych łez sentymentalnych, jakimi Eglantyna poetę darzyła; dramaty (jeżeli to tylko było dramatem) rozgrywał się nie na powierzchni ale w głębi uczuć. Słowacki też nie wesoło lub żartobliwie lecz smutnie jest nastrojony. Gdy się dowiedział o zamierzonym wyjeździe państwa W. z Genuy, pisał do matki: „Szczęśliwi, szczęśliwi, wracają ułożyć się i pomieścić w domu rodzinnym na resztę życia, usnąć sobie domowe szczęście, żenić synów, wydawać za mąż córki, zasadać ogrody, siać zboże, budować i przebudowywać domy, patrzeć na zachód słońca; wyjeżdżać do lasu na herbatę z przyjaciółmi, z wielkim sąsiedztwem.... Zazdroszczę, choć takie szczęście podobne mi się wydaje do kwiatowego cmentarza, bo i nad cmentarzem chcę często powiedzieć jak Luter patrząc na groby Worms: *invideo quia quiescunt*“ (zazdroszczę, bo spoczywają).... Pamiętaj, mam, te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pińskich, obwijające się koło lilij wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleźć taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć. To bardzo mistyczne i ciemne, matko moja. Lilija wodna niech się tobie zamieni w jaką miłą, spokojną i cichą dzieweczkę, a zrozumiesz moje żądanie. O! o! o!... z takimi wykrzyknikami konają osoby w moich tragediach, z takim długim westchnieniem kona moja nadzieja!...”

Smutno mu było, żył „w atmosferze imaginacyi, na wyspie ideału, przerzniętęj rzeką łez“; ale i jego ukochana nie była również wolną od rozmarzenia. „Panna Maryja W.—pisze on—także zapłynęła trochę w kraj ideału i o nieziem nie marzy jak o pustelnicyzmu domku nad rzeką, o czarnej sukience, o lekarstwach



dla chłopów, o topolach szumiących nad pustelnią i nareszcie o spowiedzi, którą ma odbyć przed pewnym mnichem kiedyś. Tym mnichem kartuzem mam być *à en personne*, nie kto inny. Dowodzę jej jednak czasem, że jaki pan podkomorzy w krainie Lachów, dobrze opatrzonej w szlachecką układność, talenta, wasy, podkówki i ostrogi, wybije z głowy pustelnicy domek, a ja nie będę mógł kartuzowem wspomnieniem zdobyć lilijowej duszy dla aniołów. Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej rzeczywistości...

Wtém nagle wyjeżdża do Veytoux nad Lemanem, gdzie obrał sobie śliczny pokoik: z okna widać było winnicę, za winnicą jezioro jak pół nieba wywróconego na ziemię, za jeziorem góry Meilleries sławne z Heloizy Roussa; jaskółki przylatywały do pokoju i tłukły się czasem pierśią o zwierciadło. Gdy go się matka dopytywała, dlaczego się wyniósł z Genewy, odpisał jej te słowa: „Długo byłoby pisać, co i jak przeniósło mię w dzikie strony; ludzie różnie o tём sądzą: jedni mówią, że się był szalenie zakochał w pannie W. i uciekłem; nie ma w tём za grosz prawdy; ponieważ z tobą, najdroższa matko, mówię otwarcie, otóż wyznam ci, że uciekłem a to dlatego, że biedna córka domu (tj. Eglantyna), widząc mię dosyć zajętego panienką, młodszą od niej, i widząc tę panienkę dosyć mi przyjazną, poczęła schnąć i niebezpiecznie zachorowała, a matka domyslała się, o co rzecz idzie; więc musiałem postąpić sumiennie to jest odjechać, choć żal mi było domu, gdzie przez dwa i pół roku mieszkałem gdzie mi nawet w ostatnie dni było wesoło bardzo...”

W końcu sierpnia 1835 roku pani W. wraz z rodziną wyjechała do Drezna.

W trzy lata blisko potem pisze Julijusz do matki: „Mówią, że się Szopen z Maryją W. a niegdyś mają Maryją ożenił; może poszła za niego *trochę z przyjaźni dla mnie*, bo mówią ludzie, że Szopen do mnie jak dwie krople wody podobny. Jak to sentymentalnie pójść za człowieka podobnego temu, którego się *pięwszą miłością kochało*; stałość i niestałość harmonizują się z sobą w takim zdarzeniu i, podług Swedenborga, już w niebie nie z dwóch ale z trzech dusz robi się anioł jeden po śmierci... Ale w tym przypadku niech Marysia *na mnie nie liczy*; wolę się do innej jakiejś świątłej istoty w niebie przylepić; *dla niej dosyć* Orfeusza; skrzydła tego anioła będą z siedmiu pedałów a z klawiszów rąbki. Miło mi, że tylko nie zapomniała mojego walca; dopiero po odebraniu twego listu, droga, gdzie piszesz, jak-eś uściśnęła Chudobę, przypomniałem sobie o tym walcu i wnet też zagrałem go na fortepianie, aby grać to, co wy gracie, aby słyszeć to, co wy słyszycie.” Takim ciętym sarkazmem i takim tęsknym przypomnieniem zakończył poeta dzieje jednego z najbliższych swych uczu.

Oprócz drobnych poezyj, opisujących stosunek Słowackiego do Maryj W. takich jak „Przekleństwo, Do \*\*”, „Rozłączenie, Stokrotki, Chmury, Ostatnie wspomnienie do Laury” — cały poemat, jak powiedzieliśmy, poświęcony jest wspomnieniom tej miłości. Wnioskować stąd można, że wywarła ona wpływ bardzo znaczny nie tylko na usposobienie ale i na rodzaj twórczości poety. Dla zaznajomienia się ze sposobem pojmowania miłości przez Słowackiego musimy się tro-

chę zatrzymać nad tym poematem. Co nas w nim uderza najwięcej, to owa fantastyczna, urojona draperyja, w jaką odziewa poeta wszystkie szczegóły swego otoczenia. Słowacki nie zachwyca się ani pięknoscią ciała, ani pięknoscią duszy ubóstwianej kobiety, zwraca tylko uwagę na zewnętrzne warunki, w których ona żyje. Promienie księżyca, tęcze kolory, szum kaszady, piękność melancholiczna krajobrazu—oto przedmioty, jakie przed wszystkimi innymi zaprzatają jego umysł. Słowacki nie kocha osoby—kocha jej otoczenie. Pierwiastek fantastyczny jak w innych rzeczach tak i w miłości zajmuje tu miejsce najwydatniejsze. Oto np. poznanie się kochanków:

Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?  
Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,  
Nie jęć nie zburzy i nie jęć nie zmiesza;  
A czasem tylko jakie białe jagnię  
Przez tęczę tę idzie na skrajne doliny  
Szczytać kwitnące róże i leszczyny;  
Lub jaki gołąb, eo wody zapragnie,  
Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,  
Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.  
Tam ją ujrzałem!—i wnet rozkochany,  
Że z tęczy wyszła i z potoku piany,  
Wierzyć zacząłem i wierzę do końca!  
Tak jasną była od promieni słońca,  
Tak pełna w sobie anielskiego światu,  
Tak rozwidniona żrenicą z błękitu!

Gdyby nie tęcza, słońce, jagnięta i gołębie—możeby się poeta nie zakochał. Podobnie wyraża się jeden z bohaterów Słowackiego, w którym siebie uosobił (Szczęsny w *Horsztyńskim*): „Wczoraj, kiedyś wypłynęła z Wilii na brzeg ogrodowy—do jaśminowej

*allany*—słowiki śpiewały—księżyc świecił — wczoraj byłaś ładna.“ Słowiki, księżyc, jaśminowa altana były częścią tej kobiety—bohater ją kochał. Gdy te znikły, zaczął się nudzić!...

Tę samą skłonność widzieć można i w listach poety, nie przeznaczonych do druku, pisanych do matki. Oto np. powód jego sympatyj dla Elizy Morin: „Wszystkie damy przychodzą na wieczory w kapeluszach ogromnych z czarnej lewantyny, z tak wysokim przodem, że nie dotyka kapelusz włosów. Kapelusze te nazywają się *calèche* i szpecą niezmiernie wychodzące z balów damy. Otóż kapelusz panny Elizy, chociaż do wszystkich innych podobny, odróżniał się czarną koronką szeroką, spadającą na czoło. Gdy się w niego ubrała, podobna była do świeżej róży, *rozkwidłję na oknie golyckiem*; więc dlatego ubierałem ją, gdy z wieczorów odjeżdżała”.... Albo odczytajcie opis pożegnania z Eglantyną: „Wyszliśmy z domu przez rozwidniający się ogród; wschód słońca blaskiem złościł się, ptaszki śpiewały i zimno poranku przejmowało jakiś dziwnym, elektrycznym drżeniem. O! chciałbym was postawić na wzgórk, na którym staliśmy czekając powozu. Z tego wzgórk widać było całe błękitne jezioro, za niem śnieżne góry, nad któremi wstawał ze snu biały Mont-Blanc. Eglantyna płakała jak dziecię; ja byłem takim, jakim mię często, mam, widziałś z ponurą walką myśli na czole. Każda taka chwila budzi we mnie jakieś odległe wspomnienia, każda chwila smutna teraz jest jakoby zwierciadłem, w którym całe moje smutne życie widzę w zmieszanych kolorach... Zaszedł wreszcie powóz, wsiadła do niego, a ja zostałem sam jeden jak *stup na zielonej murawie*,

patrząc na ozłoczone niebo. W kilka chwil potem weszło słońce; naprzód jakieś ogniste płomienie wytrysły z ziemi i wahały się, przelewały, aż cały krąg słońca wyszedł na niebo. O godzinie piątej wróciłem do siebie, pozamykałem okiennice i dziwnie posepnego wrażenia doznałem, widząc na kanapie rozrzucone książki, które chwilą przedtem czytałem i które porzuciłem w nieładzie, idąc zbudzić pannę Eglantynę." Opis pożegnania przemienił się na opis widoku natury i w ogóle tego, co poetę otaczało; o samej osobie, co go tak rzewnie żegnała, znalazła się w końcu dopiero krótka jakby z litości rzucona wzmianka.

Najwięcej działają na poetę wrażenia wzrokowe.  
„W Szwajcaryi“ czytamy:

Gdy oczy przeszły oś stóp do warkoczy,  
To zakochały się w niej moje oczy;  
A za tym zmysłem, co kochać przymusza,  
Poszło i serce, a za sercem—dusza.

W innym miejscu (w jednym z dramatów) powiada: „Kto chce serce pozyskać kobiety, ze wszystkich zmysłów niech tylko uwiedzie oczy—a reszta pójdzie bardzo łatwo.“ Jest-to zastosowanie powyższego spostrzeżenia naodwrot.

Otoczenie, w którym miłość ma królować, musi być niezwykle:

Łąka i szalet i wiśnie w parowie,  
W takim parowie, że stróż-aniół biały  
Rozwijał skrzydła od skały do skały  
I nakrywał ten cały parów dziki:  
Szalet i róże i nas i słowiki.

Słowiki jęczą i fontanna płynie—oto wspomnienia, które serce poety rozdzierają i zmuszają go do

modlitwy rozpaczliwej o śmierć prędką: „I co dnia, budząc mię, fontanny płaczą!“ Wszystko się interesuje tą miłością: i niespokojne o kochanków gołębice i zadumane o nich w łąkach trzody.

Nie prawie ziemskiego nie napotykam w kreśleniu szczegółów miłości; są wprawdzie czasem pocałunki, ale to takie jakieś eteryczne, jakby się nimfy leśne całowały; rumieniec zamylenia niekiedy twarz kochanki „w róże;“ ale to chyba dla rozmaitości tylko kolorów, ażeby niezawsze wyglądała jak lilija biała. Wszak wszystkiemu winny tu kwiaty i woda. Jeżeli poeta spłoszył myjącą się kochankę, to przyczyną tego była lilija, którą ona w biegu potrąciła; jeżeli się pocałowali, to „fala, niewierna fala a tak wierna“ to sprawiła. Owa fala

I tak swawolna i taka ruchoma,  
Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy  
I przybliżyła łącząc je rękoma,  
Chociaż nas tylko łączyły wyrazy,  
Ach! fala taka szalona i pusta!  
Że połączyła nawet nasze usta,  
Choć sercem tylko byliśmy złączeni! ...

Nie możemy tu przytaczać wszystkich szczegółów, bo musielibyśmy przepisać cały poemat. To, co zacytowałem, wystarczyć powinno do bliższego określenia charakteru miłości u Juliusza: jest-to miłość, w której główną rolę grają draperyje poetyczne, otoczenie, wrażenia wzrokowe, fantastyczność obrazów — serce bardzo niewielki ma tu udział. Tęj szczerzej, czysto-ludzkiej miłości, jak u Mickiewicza, nie znajdujemy wcale w tym i większej części innych poematów: pojawia się ona tylko wyjątkowo. Miłość u Sło-

wackiego nie jest-to miłość człowieka zwykłego, złożonego z ciała i duszy; ale — poety, szukającego pomysłów do swoich przyszłych utworów. Głos serca zamiera — króluje fantazja. W nadobłocnych krajinach marzenia występują postacie po większej części rozwiewne, mroczne, smętne jak grobowe cyprysy, „marmurowo blade,” na chwilę zaledwie uróżowane wzruszeniem. Rumianej, zdrowej cery poeta nie cierpi, brzydzi się nią, uważając ją za coś prostaczego. Z tą bladością łączy się prawie powszechna chorobliwość usposobień kobiecych, którym brak zupełny szczęścia, rozkoszy życia, powiewu świeżej i orzeźwiającej przyrody. „Błękitne uczucia” rozwijają się w nich epidemicznie; okrywa je mgła, zasłaniając zarówno zewnętrzność jak i treść duchową w całej jej pełni; rzadkie przebliski widm tęczyowych odsłaniają zaledwie kontury i drobne cząsteczki. Rysy rozrzucone po całych poematach potrzeba zbierać skrzętnie, chciwie niemal, chcąc jako tako nakreślić postać kobicą, o której myślał poeta.... Charakterów realnych, rzeczywistych jest bardzo niewiele; zarówno w kresleniu natur łagodnych jak i demonicznych Słowacki przekracza granice życia codziennego i to nie tylko w tym stopniu, jaki zwyczajnie poetom się przyznaje, ale w stokroć powiększonym. Nadludzkość ta i nadzmysłowość jeszcze silniej się uwydatniła pod wpływem mistycyzmu. Postaci kobiece w „Księdzu Marku” — Judyta; w „Śnie srebrnym Salomei” — Salomea i księżniczka — są już pro prostu ideami, którym poeta słów użyczył, nie zaś kobietami, chodzącymi po ziemi, że już nie wspomnę o ich historyczności....

Dla wyjaśnienia atoli wszystkich objawów ero-

tycznej muzy Słowackiego, wspomnieć jeszcze należy o jednej jego miłości — podobno rzeczywiście ostatniej! W roku 1838, Słowacki bawiąc we Florencyi poznał pannę Anielę Moszczyńską z Podola. Była-to dziewczyna nietylko piękna, ile miła i kształtna. Bardzo starannie wykształcona i myśląca, „ale strasznie popsuta, albowiem była-to pani domu, samowładnie rządząca ojcem i matką”. Zdaje się, że ta natura energiczna, dzielna, silnie podziałała na umysł poety, który dotąd napotykał same istoty słabe, czułe, łatwo poddające się wpływom, rozkochane w nim od samego początku, co naturalnie musiało zmniejszać i ostudzać jego uczucia bardzo prędko. Aniela przeciwnie — ulegała nie chciała; owszem pragnęła, ażeby poeta spokorniał. Ten opór stawiany woli Słowackiego podbudził w nim zapal i prawdopodobnie poddał mu myśl, może na chwilę tylko, o... roli konkurenta.

Posłuchajmy, jak sam poeta stosunek ten przedstawia. W listach do matki nie pisał o téj swojej nowej miłości tak samo jak unikał poprzednio przyznania się do serdeczniejszych uczuć względem Maryi W. Dopiero w rok potem, jak się już wszystko rozchwiało, opowiadał swéj matce w liście z Paryża 1839 r. co następuje: „Przyjmowany byłem dobrze w domu Moszczyńskich i przyjście moje każde sprowadzało rumieniec na lica panny, nieladnej ale dość kształtnej i uczonój.... Nie zwracałem na to uwagi, pojąć nie mogąc, aby ja biedny chłopiec bez grosza mógł się posunąć tam, gdzie dwu ładnych chłopców i bogatych otrzymało arbuzy; nie myślałem więc o tém i wyjeżdżać miałem... Trzema dniami przed wyjazdem wpada Zeidler do mnie z wiadomością, że przez trzecią osobę robiono

mi propozycją, abym się zatrzymał i aspirował do tej panny. Zdziwiłem się i nie wierząc wcale, żeby to być mogło prawdą, postanowiłem wszakże zatrzymać się, abym kiedyś nie miał na sumieniu mojem, że się po szczęście, w ludzkim rozumieniu wielkie, nie schylił wtenczas, kiedy na drodze leżało. Tego samego dnia odwiedził mnie ojciec panny i rozmowa jego, choć zgrabnie bardzo prowadzona, dała mi do zrozumienia, że zatrzymanie się moje we Florencyi miłém mu będzie. Zatrzymałem się więc, a bywając często w domu mojej belli, w domu egoizmu i zimną napelnionym atmosferą złota, przechodziłem przez wszystkie niepewności kokietowanego człowieka, tak że wreszcie udręczyło mię to, zwłaszcza że serce moje było przytém zupełnie zimne i wszystkie wady widziało. Może to był sen i przywidzenie z mojej strony, ale jakże było nie śnić, kiedy mi często ojciec gadał przy stole nawet i otwarcie takie np. słowa: popracuj nad sobą, popracuj i zakochaj się, a ja cię ożenię. Na co panna płonęła, a ja nie wiedziałem co myśleć. *Na nieszczęście moje* wnieśli się i inni ludzie do tego, a niedyskretność osoby użytej do pierwszych propozycji była przyczyną, iż się ci ludzie wnieśli.... Potém wszystko oziębło; potém dowiedziawszy się o ambarasach twoich, musiałem wyjeżdżać, nie chcąc, aby sądzono, że będąc w biedzie będę moję chcę zataić ożenieniem się. Pozegnanie moje było zimne a cała *ta awantura* została mi tylko gorycz w sercu i niepewność, czy się nie uragano ze mnie. Może z mojej strony było nadto dumy, która się tej panience mogła opieszalszą wydawać; gdyby jednak miała szlachetniejsze uczucia, zrozumiałaby, dlaczego tak nienatarczywie starałem

się o nią. Ale to już przeszło; ona mię teraz widzi z nieba, bo już nie żyje. Choroby, z której umarła, nie zrozumieli doktorowie, a ja byłbym nadto zarozumiałym, gdybym ją memu zimnemu postępowaniu przypisywał; może być jednak, że ta, która tyłu odmówiła, czuła się trochę dotkniętą przez to, że się nie oświadczył; a jednak *pewny jestem, że byłaby mię odrzuciła*; wreszcie ona miała milijony, jam nie mógł jej nic dać nawzajem, nawet serca. Przyznam ci się jednak, droga moja, iż kiedyś się o jej śmierci dowiedział, *cierpiełem*. Bo choćby to było w niej chwilową myślą, aby mię wybrać z tłumu i zrobić szczęśliwym, to już jej to nadało w oczach moich postać *łitośnego anioła*, a śmierć jej dopełniła obrazu. Ileż razy teraz chodząc po ciemnych alejach tutejszego ogrodu, zdaje mi się, że mi ona drogę zachodzi, że się jej cień rumieni i spuszczać oczy przede mną pyta się: dlaczegoś mię nie kochał? Śmierć ją upiększyła w moich oczach."

Sam sposób opowiadania poety o tej miłości różni się znacznie od poprzednich relacyj: nie ma tu już tyłu fantastycznych kwiatów, ozdóbek, nie ma tego, co by się romansowością melancholiczną nazwać godziło, co by było pozowaniem, dramatyzowaniem cierpień własnych. Z niektórych wyrażen (jam nie mógł nie dać nawzajem, nawet serca") możnaby zawnioskować, że poeta istotnie jej nie kochał i wpaść na przypuszczenie, jakoby żenić się zamierzał dla pieniędzy; ale kto wpatrzy się pilnie w tok opowiadania, ujrzy, że w rok po całym zdarzeniu Słowacki nie panuje jeszcze nad swemi myślami, nie rządzi nimi, lecz przeciwnie one nim kierują i stosownie do chwilowych a ciągle zmieniających się wrażeń nasuwają wyrażenia ze sobą

pogodzić się nie dające. Dusza Słowackiego drży jeszcze na wspomnienie téj istoty, która już spoczęła na wieki... Ważną jest cechą tego opowiadania, że nie ma w nim ani śladu sarkazmu; jest tylko pewne przygnębienie, pochodzące stąd, że duma jego cierpi a przecież sztydzić swoim zwyczajem nie może, bo jakieś serdecniejsze uczucie, choć tylko już we wspomnieniu, stoi temu zwyczajowi na przeszkodzie.

W utworach poety uczucie to również zostawiło ślady.

W „Beniowskim” występuje *Aniela* — dziewczina zupełnie odmienna od mnóstwa innych kreacji Słowackiego: a wielce znów zbliżona do *Dyjany* w „Niepoprawnych.“ Zauważyć potrzeba, że oba te utwory powstały jednocześnie — około r. 1841. Temu również wpływowi przypisać należy, choć w części, zwrot do *realizmu*, jaki się spostrzegać daje w utworach dramatycznych, powstałych pomiędzy rokiem 1840—1842 np. *Złota czaszka*, *Wallenrod* (i *Walter Sadyjjon*), *Jan Kazimierz* i t. p. Rzecz bowiem naturalna, że kobieta silna, energiczna, nie bujająca po sferach marzenia; kobieta, którą poeta kochał, musiała go pogodzić z rzeczywistością, musiała zwrócić jego uwagę na szczegóły życia realnego, które z taką dosadnością odmalował mianowicie w „Złotój czasce.“ Oczywiście nie chcę przez to powiedzieć, ażeby inne społeczne czynniki nie przykładały się do zmiany nawyków Słowackiego, np. pojawienie się „Pamiętek Soplcy“ (1839), które bardzo nawet silnie na kierunek jego twórczości podziały;—ale w rozbiórce strony uczuciowej nie mogłem pominąć tego ważnego momentu w rozwoju duchowym poety. Zresztą prawda przy-

znać nakazuje, że chwila zwrotu do realizmu trwała u Słowackiego bardzo krótko. Mistycyzm pochłonął go później całego. W każdym atoli razie pozostała mu większa niż dawniej *plastyczność* obrazów np. w takim „Królu Duchu,“ przymiot, którego bez owego zwrotu niepodobnaby sobie wytlómaczyć.

Czuję, że wiele, bardzo wiele szczegółów opuściłem w téj ogólnej charakterystyce — wykażę się one później przy rozbiórce pojedynczych postaci; tam również odnieść jestem zmuszony kwestyą „zmysłowości” w utworach Słowackiego, kwestyją dotąd nietykaną, gdyż na określenie jéj zbyt mało zauważono rysów; kwestyją jednakże, którą *zaznaczyć* przynajmniej wypada. Jest ona konieczną, jeżeli chcemy poznać poetę naszego w całości a nie ułamkowo — jeżeli działalność jego sprawiedliwie ocenić pragniemy.

## I.

## K s e n i — E l o e.

Dziewie oczy wprawne w miłości — choć obłąkane.

Zaczynamy od smutku. W głosie poety drga zawsze iza melancholii; duch jego lubi się błąkać po cmentarzach „zostawiony gdzieś na mogił straży..“ W cieniach nocy lub przy uroczój tęsknicy zachodu ukazuje nam swoje postaci, które tém fantastyczniej się przedstawiają, że ich konturów dobrze nie odróżniamy.

Zachód był *krwawy*, ponury — o brzegi Dniepru bije spieniona fala — na smutném *mogił* wyrzeźnu wnoszą się trzech cerkwi *posępne* wieże. Wśród

takiego otoczenia ukazują się widmo Kseni Goszczyńskiego (w *Zamku Kaniowskim*) — tylko nie tak potworne i przerażające. Duch poety wybielił jej postać, nic z fantastycznych jej kształtów nie ujmując. „Płaczka siczowych wyspiarzy“ „*posepna* mogił dzie-wica“ twarz ma wybladłą a włosy czarne, — to dosyć. Niemożna jej bliżej określić. Stała na wieku spróchniałej trumny; nagłowie miała wieniec ze srebrnych piolunów i róż „lśniących od rosy.“ Zmysły obłąkane — oczy we łzach. To pierwszy widok.

Idzie z hetmanem Żmiją do cerkwi. „Przez otwarte dachu szczeliny wyglądały z kwiatem drżące kaliny“ — mówi poeta. Zdjęła lampę z ołtarza — weszli w lochy podziemne. Trumny; a na nich całuny „gęsto splamione łzami gromnicy.“ Kseni podnosi jeden z całunów: widać „dziecię piękne i żywe.“ Kseni upada do nóg Żmii i mówi:

Luby! niech pop nas połączy skrycie...  
Gdy płotę z pełnej róży zawoje,  
Wnet drżące liście padają z kwiatu.  
Wszystko usycha — wszystko, co moje!...

Hetman nie słuchał i wyszedł. „Ja nieszczęśliwa!“ — krzyknęła Kseni i „śmiej obłąkania połknęła w ziemi cisza grobowa...“

Takie postaci wymykają się z pod rozbioru. Któż ścigać zechce cienie?... Zawiedziona, opuszczona, wzgardzona znika w poemacie — nad grobem znów ją zobaczymy. Znowu oblana złotem słońca promieni — jak cień niepewna. Chce krew z rany u Żmii płynącą zatamować „rąbkiem warkoczy.“ Hetman ostatni raz spojrzął — poznał — lecz nie rzekł ni sło-

wa. Ona ściga „zgasłe wejrzejnie Żmii“... Cisza stepowa, przerywana łzami i lkaniami smutnej dziewczicy... Znowu słyszymy śmiech dziki. Straszna była z tym śmiechem:

Ojciec mój skonał pośród płomieni,  
Syn mój jak świeża rośnie kalina...  
.....Syna w grób zakopię  
I krwią mogiłę ojca pokropię.“

I tak zrobiła. Podczas pogrzebu hetmana, chodziła ze łzawnicą lzy zbierając, ale kto tam zajrzał, krew zobaczył. I krew „do grobu wylała cieśni...“ Padła.. skonała..

Drugą płaczką późniejszą „piastunką grobowców“, tylko o wiele łagodniejszą, z twarzą wyanieloną, z duszą jak śnieg białą — chociaż równie fantastyczną i daleką od rzeczywistości, jest *Eloe*, urodzona „ze lzy Chrystusowej, téj lzy, która na Golgocie wylaną była nad narodzmi.“ Smutna, choć spokojna spokojem grobów, nad którymi opiekę rozciąga, nie doznaje żadnych przypadków, bo życie jej upływa w kraju uludy. Gdy przechadzać się będziesz po ementarzu, przypomnisz sobie tę postać białą, wszatach powłóczystych, z jasną gwiżdzą na czole i powiesz: to siostra tych wszystkich, których trumną i całunem jest lawina śniegu albo cuchnące lochy podziemne — to piastunka grobowców...

Te dwie fantastyczne postaci, do których przydaćby można jeszcze *Zurę* i owę ukochaną Solima, który krwią jej żył a ona szczęśliwa „była jak w niebie, że Solim jeszcze żyje jej życiem“ — dają pewną

miare, jak Słowacki w początkach już swojej twórczości ulatywał daleko od ziemi i marzycielstwem zarówno smutnym jak ponętnym pierś swoich tworów napędzał. Były-to bezwzględnie kreacje bardzo ułamkowe, nikiące; poeta przeszedł następnie na tór realniejszy, nie pozbył się atoli nigdy tego kierunku myśli, owszem w czasach omamienia towiańszczyzną stworzył postać, mającą wszystkie cechy plastyczności, jakkolwiek bardziej podobną do figur ze świętylegendy aniżeli do ludzi, chodzących po naszym zwykłym, biednym świecie. Ale postać ta należy już do zupełnie innego okresu w duchowych dziejach Słowackiego i dlatego pomijamy ją obecnie, przechodząc, mniej więcej zgodnie z chronologią, do innych kobiet, które poeta w bogatym swym panteonie umieścił.

## II.

### A n n a.

I wszystko można odróżnić w tej ciszy  
Słuchem *aniola* i myślą *aniola!*

Więcej rzeczywistości uidealizowanej przedstawia współczesna a nawet wsześniejsza trochę podobno od Kseni — *Anna* w „Janie Bieleckim.“ Ale i jej „cała postać powiewna i drżąca“ i jej dusza „smutna,“ i to bez powodu. Poeta, chcąc jej smutek i zamyslenie wyjaśnić, szuka analogii w świecie roślinnym: „Lilija wodna może przeczuć burzę. Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu.“ Przeczucie jej nie zawo-

dzi. Miała zostać szczęśliwą żoną ukochanego Jana, sniła blogo — a po śnie został jej płacz i pierścionek. Szła do ślubu przystrojona wspaniale, stosownie do obyczajów wieku (XVI):

Ślubna jej szata była w dwa kolory:  
Błękitną barwą lśniąca jedna strona —  
Bo takie było herbu męża pole;  
A na mienionym jedwabiu lazurze  
Lśnił się herb: srebrne księżycą półkole,  
Gwiazda, nad gwiazdą helm o strusim piórze.  
A druga strona sukni — szkarłatowa  
I herb dziewicy, szyty na szkarłacie:  
Srebrzyste strzemie i złota podkowa.

Wprawdzie zapłakana — ale to lzy szczęścia: drży dłoń — ale ze wzruszenia. Śnieżne jej łono „westchnieniem odrząca tę młodą różę, co wpółwychylona, *aksamitnego* dotknęła się łona...“ A potem? Potem dom spalony, a miejsce po nim zaorane i bolesna z mężem rozłąka i posępne suknie żaloby. Została pociecha w wierze. Widzimy tu obraz przypominający Maryję Malczewskiego; role tylko zmienione. Stary ojciec otwiera „świętych poważne żywoty“ — a Anna słucha... „Spokojność wiary zamienia rozpacz w uczucie tęsknoty, lzy — w płacze nieszkodliwe.“

Cóż automatycznego widzimy w Annie. Zawsze ona „błada, strasznie biała,“ ruchu prawie żadnego nie znać, dopiero w chwili ostatniej, kiedy krzyż z mogiły wyrwa i grób kopie. Zawsze zalzawiona, często omdlewa. Na balu maskowym, posłyszawszy głos Tatara (Jana), „zadrżała, padła na głaz, jak nieżywa“ — w jego rękę „była jak martwa.“ Przyszędłszy do przytomności i zapytawszy: „Tyż-to mój luby?



zdejm zawoje z głowy — niech zobaczą rysy twego czoła.“ omdlewa napowrót, gdy Bielecki zdjął turban muslinowy. Nie znamy rysów jój twarzy, jój oczu i włosów; kiedy poeta wspomina o włosach, mówi tylko o „słodkiej ich woni“ i o ich długości: „rozwiany (włos) sphywał aż do stóp Tatarą;“ kiedy wspomina o oczach widzi tylko „suchą żenięć i ogień gorączki.“ Chcąc wrócić do przytomności omdlałego podług jój mniemania a umarłego już męża, rzuca nań „kwiaty wonnemi.“ Widząc jego milczenie, prosi go, żeby „odpowiedział Izami.“ — Słaba istota, chociaż *anielsko* miła, nie miała dawniej odwagi postąpić na krok samodzielnie. Na propozycyją męża, żeby uchodzili: „Mój ojciec! — woła. — On cię przeklnie!“ — Dopiero po śmierci ukochanego, którego *wszysey* opuścili, nawet ksiądz, co przed chwilą mówił o miłosierdziu boskiem „głębszém nad morza;“ — ona postanawia coś stanowczego: „Luby! nie zaśniezz na rozstajnej drodze — sama w święconej pochowam cię ziemi.“ Wysilek ten kosztował jój życie. Kiedy księżyc zaploniony topił się we mgłach, dziewica błąda na kamiennym progu cerkwi usnęła — zapewne asnęła na wieki...

Anna ma wiele rysów prawdziwój kobiecości: słaba, lekliwa, nieznająca i niemogąca ocenić skali możliwości i dlatego rzucająca się na przedsięwzięcie, które ją zabija. Kocha stale i czule swego męża — ale nie chciałaby także przykrością zasmucić oblicza ojca. Nadzwyczajne wypadki, w które jest włączona, fantastyczne otoczenie, z którym zharmonizować się nie może — są to warunki dość rzadko zdarzające się w życiu, ażeby kobieta potrafiła w nich rozwinąć wszystkie swoje właściwości duchowe. Zresztą Anna poja-

wia się w poemacie i tak już krótkim bardzo rzadko, mówi nader mało; z jój słów jeden tylko słuszny wniosek wyciągnąć można: *że kocha...* W tém słowie wiele się zapewne zawiera: może nawet cała psychologia kobiecego serca; ale stosownie do różnych okoliczności życia to ciemniejsze to barwniejsze, to głębsze to płytsze wyłonia ono z siebie uczucia i myśli. Okoliczności owych Anna nie zna, a te, które zna, są mniej więcej podobne, jednostajne. Stąd też i jednostajność jój uczuć — brak myśli.

## III.

## A l d o n a.

.....Głęboko oczy dziewię toną  
I przenikają glazy i zbroje stalowe...

To nasza Ofelija; tylko nie z winy Hamleta — lecz losu. Kiedy była „kapłanką wiosny,“ jój czoło uwieniczały świeżych róż kwiaty; a ona przy cichym szumie jodeł, przy blasku srebrnego księżyca, sama lub otoczona tłumem wiejskich dziewcz — marzyła, modliła się. Senna jój dusza ocknęła się zapewne na miły głos Downunta; lecz, gdy jój Mindowe go wydarł, jeszcze w większą senność popadła. „Jak mara obłąkana kończę życia drogę“ — mówi o sobie. Twarz jój *błąda*, na twarzy rozmarzone gorączki kolory; oczy ożywione posępnie szklistym blaskiem, albo okryte zasłoną łez ciągłych; mgła ciemna mroczy dla nich wszystkie przedmioty, i zaledwie z łez oschną, znowu we łzach

toną. Myśl o śmierci bezustannie jej towarzyszy: „Wkrótce mię całą cichoszą grobowa otoczy“—powiada. A i teraz otacza ją głęboka cisza, która ją „osłoniła świętością mogiły.“ To też gdy mówią do niej służebne, głos zniżają i łzami kończą swe słowa. Stała w miłości dla męża, nie słucha ani próśb ani przekleństw Mindowy. Żyje cała w przeszłości, o niej marzy na jawie i we śnie.

W gronie moich dziewię, przy lampy płomieniu,  
Widzę, jak wokół srebrne toczą się przędziwa,  
Słyszę pieśń rodzinną w ich łagodnym pieniu,  
Widząc, jak kwiat pod igły dotknięciem rozkwita <sup>1)</sup>.

Kocha Dowmunta, ale gdy ten się zjawia (przebrany), ona nie chce go poznać, ażeby życia jego nie narazić. Śliczna jest scena wahania się. „Boże! niechaj nie przychodzi!“—mówi w obawie o Dowmunta i zaraz dodaje: „Smutno mi, że nie przyjdzie, że go nie zobaczę; chciałam go widzieć.“ Słuch ma wytężony: chwytą każdy szelest: „Boże! słyszę odgłos kroków... O nie!—to źródła szumią w zamkowym ogrodzie...“ Wreszcie Dowmunt przychodzi. Aldona wita go słowy: „Módl się, oto różaniec widzę przy puklerzu, módl się i wyjdź. Nie, ja nie znam ciebie. Nie, nie! nie przypominam—może—tu tak ciemno!“—Walka była okropna! Usta jej może rwały się do pocałunku, a ona zmuszona powtarzać ciągle jakby dla przekonania samej siebie, że go nie zna, znać nie może. Dopiero kiedy Dowmunt zawiedziony, zrozpaczony, chce się zabić, Aldona woła: „Dowmuncie, ach Dowmuncie! znam ciebie, Kocham!“

<sup>1)</sup> Porównaj Aldonę Mickiewicza.

Zapomniała o ostrożności, myśli tylko o chwili szczęścia, której się już nie spodziewała. Pragnęła być piękną, wesołą. Na uwagę Dowmunta, że jest bladą, odpowiada: „Nie! to bladzy niż zwykle blask księżycawar mi dzisiaj ociemnił.“ Słyszając kroki zbrojnych, prosi go o różę z helmu, może ona zmysły orzeźwi, bo jej w oczach ciemno i płakać nie może. Śmieje się już tylko; śmieje się straszliwie:

.....Cha, cha! luby, drogi!  
Śmiech mi straszliwy łamie na ustach wyrazy...  
Cha, cha, cha! niech tu przyjdą, niech przestąpią progę.

Pada omdlona. Dla niej świat rzeczywisty już istnieć przestał. I słońce kwiaty i łąki i góry—wszystko już grobowe. Jakaś postać znikoma, choć do niej podobna, oddziela się od niej; przy tej postaci zostały czucia i myśli. Aldona jest już jakby głazem. „Ja bez czucia zostanę!!!“ woła w rozpacz.

.....Serce się nie pali,  
Ostygło—zapominam—pamięć słabo kręśli;  
Mówię—a słowa moje nie są wątkiem myśli;  
Myślę—a myśli moje nie są wątkiem serca.

Są-to właściwie słowa poety — gdyż takiej świadomości swego stanu w obłąkaniej przypuszczać niepodobna; zanadto są oderwane od wspomnień życiowych, od owej miłości do Dowmunta, która ją całą przejmuje. Tak jest: o wszystkiém zapomniała, o niczém wiedzieć nie chce a zapewne i nie może oprócz o swojej miłości. Na pytanie krzyżaka (Heidenricha) „Jesteś ty chrześcijanką?“ — odpowiada „Jestem nie-

szcześnieśliwa! <sup>1)</sup> Marzy tylko o ostatniej chwili rozstania. Chodząc, kogoś niby prowadzi za sobą; słyszymy słowa: Chodź tu za mną Dowmuncie—w tej sali tak głucho! — Powtarza ostatnie wyrazy, jakie do siebie przemówili. „Aldono, tyś poblaźła — Aldono co tobie? — Nic mój luby, bywaj zdrów na wieki. Śpiewa piosenki jak Ofelija.

Oto złotą osnową  
Winie mi się wrzecono,  
A ja śpiewam dziecinie:—  
Jeśli się nie uwinie,  
Uwieńczona korona  
Będziesz kiedyś królową.

Jeśli się przerwie—pieśń ci zaśpiewam grobową.

Ale Dowmunt ocalał. Powraca i pyta ukochanej jak przedtém: „Czy ty mię znasz, Aldono?“ Ale Aldona teraz już nie udaje; nie może udawać... Słowa jej są prawdziwe, ale jakże okropne! „Tak, myśmy się znali we śnie. Tyle mi twarzy na świecie się śniło. Któż sny pamięta?“ Po tej melancholicznej uwadze oddaje się wesołości, przesyconej oddechem grobowym. „Ach, jak mi wesoło!—powiada. Idę do ślubu; wianek zawieszę na czoło.“ Smutek, rozpacz — i zachwyt, szczęście następują po sobie kolejno. „Patrzaj!—mówi—oto poranek blade niebo złoci... i tak mi słabo, tak mi w oczach ciemno.“ A w chwili potém: „Cha, cha, ten śmiech mi łamie na ustach wyrazy i ból. Niech go uczują głębiej. Och, rozdziera—rozdziera mi wnętrzo-

<sup>1)</sup> Przypominamy podobne pytanie w IV części „Dziadów.“ Książdź pyta:— Znasz ty ewangeliję—Gustaw: A znasz ty nieszczęście?

ści... Już widmo ciemne myśli blednie, obumiera....” I wszystko przeszło...

W opisie strony psychicznej Aldony, jako obłąkaniej, poszedł widocznie Słowacki za Szekspirem. Majaczenia z lat dziecińczych, z okresu gorącej miłości; zamilowanie w kwiatach, w piosnkach, wypowiedanie myśli dziwnych, po większej części niebędących w związku z zapytaniem i okolicznościami zewnętrzniemi—oto główne tło, na którym rysuje się kilka wybitniejszych szczegółów. Uznając taki sposób przedstawienia rzeczy za dosyć naturalny tj. odpowiadający duchowemu stanowi obłąkanych, zrobiłbym tylko jedną uwagę co do Aldony. Wiemy, że w ostatniej chwili, oddzielając ją od pomieszczenia, żądała od Dowmunta *róży* z hełmu; Dowmunt spełnił jej życzenie; ale kiedy już leżała w omdleniu, chciał ją wyrwać „ażeby go nie nie przypominało.“ Kwiat wprawdzie zerwał, ale łodyga w ręku Aldony została. Sądziłbym, że to *ostannie świadome wrażenie* Aldony musiało silnie występować w czasie obłąkania. Poeta tego nie uwydatnił. O ile wiem, znajduje się jedna tylko wzmianka („Jeden kwiat *pełnej róży* i dużo rozmarnu“), i to w formie raczej *zwykłego* przypomnienia sobie obrzędów weselnych, nie zaś osobistej, a nader ważnej pamiątki.

## IV.

## Rogneda.

Stare pojęcia znikają. Bogowie pogańskiej Litwy obracają się w nicotę. Duma książęca pragnie królewskiej korony i każe sojuszem się łączyć z najzwęższym wrogiem ojczyzny. Wszędzie zamęt straszny. Matka książęcego rodu widzi z boleścią, że syn jęć własny przeniewierza się dawnym, świętym obyczajom dla kawałka złotych obręczy. Smutek lamie jęć siły, ciemnota oczu tęp sroższe zadaje jęć męki, że nie dozwala niewiernych spiorunować wejrzeniem. Nigdy nie widziała krzyża — jak on straszny być musi.... Imię papieża podnosi ją jak sprężyna. Marzy tylko o wielkości Litwy i tęp uczuciem wiedzioną zaklina Mindowę, ażeby chrystyjanizmu nie przyjmował. Nie usłuchał. Ona wypowiada wieszczą groźbę:

Ta wiara—wiara ciemna, przez ciebie przejęta,  
Połączy cię z narodem, co Litwę pochlonie....  
Siedzisz na tronie—z tobą i papież na tronie!

Ta dusza, pogrążona w wiecznych ciemnościach, wszystko w najczarniejszych widzi kolorach: dzieci Mindowy—to morderce. „Idź, zabij je w kolyse—powiada—urodziłam gadzinę, ty rodzisz gadzinę.”

Jednakże oprócz wyobrazieliki świętej tradycyi i przeszłości litewskiej jest w niej i matka. Wprawdzie to macierzyńskie uczucie w fantastyczny przedstawia się sposób, w każdym razie istnieje. Chce zabić własnego syna, ażeby wraz z nim zabić wiarę chrześcijańską, która podług niej ma zniszczyć Litwy potęgę; ale chce mu zarazem śmierć osłodzić:

Ja go zabiję z płaczem—powiada—  
Ja go łzami obmyję, na stosie położę;  
Zaspiewam pieśń—grobową uczęczę go posługą.

Nie jest-to ironija — to dziwny przejaw uczucia. Łza upadła do zatrutego wina. „Może ta łza matki zniszczy skutek trucizny?” — pyta się sama siebie Rogneda. Przeklinając syna, boi się spełnienia słów swoich, a kiedy Mindowe powiada, że nikt go nie kochał, ona wybucha wymówką: „Słyszysz tego serca bicie? kochałam cię.” A jednak przekleśla... dodaje Mindowe — „Nie masz ty serca, synu! On mi przypominał Przekleństwo zapomniane.”

Ale w chwili działania ona jest silna. „Nigdy się nie chwiałam”—powiada o sobie. Gdy Mindowe rozbił puchar z trucizną, nie usiłuje się uniewinnić: „Nie chciałam cię urazić—jam cię zabić chciała!”—oto cała jęć odpowiedź na gorzkie wyrzuty syna.

Kiedy Mindowe zrywa z Krzyżakami, nowy duch w nią wstępuje. Widzimy ją w świątyni pogańskiej, jak sypie bogom kadzidła: „dla bogini wiosny — ten kwiat, co rozkwita; dla boga zimy—ten kwiat, co usycha; dla boga piekieł—brylant z krzyża mnicha...” Pyta się o przyszłość syna, niespokojna, czy przekleństwo, które nań poprzednio rzuciła, nie zaszkodzi mu w życiu. Z sercem gwałtownie bijącym, które własnym modłom nie dowierza, bez tchu, bo jęć braknie wyrazu na zaklęcie bogów—oczekuje odpowiedzi. Odpowiedź brzmiała: „Mindowe zginie od ręki rycerza, który poległ zabity z Mindowy rozkazu.” Uspokojona wyroczną, ulegając oblakaniu, które już zdawna ją nawiedzało, sni o minioniej przeszłości, o czasach dzieciństwa, o mężu swoim, o grobie; pyta się męża: „Czy

przyjmiesz mię do grobu, czy przyjmiesz?" A ostatnie jęj słowa, jakie slyszymy, odnoszą się do syna:

Nie lękaj się, nie zginiesz od Trojnat dloni!  
Siła wyroczni ciebie od zgonu zasłoni;  
Chyba umarli wstaną, chyba Dəwmunt wstanie!

Wymawia je właśnie wtedy, gdy Trojnat wyszedł ze skrwawioną ręką, wołając: „Spełnione twe chęci!” Rogneda nie slyszy, bo już od kilku chwil stała się „blada—nieruchoma—skościana—zimna...”

Szczegóły obłąkania Rognedy są prawie też same co i Aldony. Przecucie śmierci — marzenia o kółwrotku, wrzecionach, to jest o tych zajęciach, jakie w dzieciństwie i młodości całą jęj uwagę pochłaniały—wreszcie ostatnie *widzenie* męża — oto są głównejsze jego rysy. Jako przedstawicielce staroego porządku rzeczy, kapłance narodu, brakuje jęj siły słowa, energii czynów. Poeta nie zdołał się jeszcze postawić dość silnie na stanowisku zupełnie niezależnym; i to, z czém sympatyzować nie mógł, przedstawiał mniej stanowczo, mniej obrazowo. Rogneda stoi osamotniona; nie ma żadnej partji w narodzie; jeden Trojnat w widokach własnej pomysłności pragnąłby spełnić jęj życzenia; ale skutki jego czynów ukazują się dopiero po śmierci Rognedy. Wieszcza—nie włada piorunami, nie może uprosić kary bogów, którym myśli swe powierza. Stąd wypływają: jęj smutek i przygnębianie, ustępując jasniejszemu chwilom tylko na bardzo krótki przeciąg czasu. Zupełnie inaczej przedstawia się podobna—późniejsza postać *Rozy Wenedy*.

## V.

## Maryja Stuart.

To nie królowa, lecz kobieta—dziecię piękne i kapryśne, fantastyczne i uczuciowe, uważające wszystko i wszystkich za cacko, do któregoby się zawsze uśmiechać powinno. Maryja powielekroć przypomina sobie, że jest królową; powtarza ten wyraz z upodobaniem, może z dumą nawet; ale tak, jakby z usunięciem *tego wyrazu* zmieniała się zarazem i istota rzeczy... Nigdy zapomnieć nie może, że niedawno jeszcze w „kraju Franków” kochała wszystkich „równo od wszystkich kochana;” że z „dziecinnym śmiechem” nowe przywdziewała klejnoty; że z „dziecinnym śmiechem” cichych westchnień słuchała; że z „uśmiechem” treffa przed zwierciadłem *włos złoty*, przepłatając różami „treffione pierścienie...” Pieszczona i uwielbiana, nie doznawała najmniejszej przykrości. A teraz złota korona i kłopoty rządów usuwają z przed niej krajobraz świeżej zieloności, podsuwając za to widoki ochrypłych purytańskich jęków śród trupiarni wesela i radości... Smutna też jest i przygnębiona, czas jęj upływa pomalu, nudzi się i szuka *rozrywk* w uczuciu. Uczucie to jest przemienne, jednodniowe; nie gruntuje się na zadowoleniu jakichś potężnych pragnień serca—ale na miłych wrażeniach, działających na wyobraźnię. Lubi i sopran pazia i tenorowy głos Rizzia i baryton Bothwella. Wszystko u nięj zależy od wrażenia chwili, od podrażnienia jęj próżności. Jeżeli Rizzio udaje obojętność, Maryja staje się czulsza, pyta się głosem miękkim, łagodnym: „Rizzio, czemu tak zbladłeś?—Ri-

zzio, tyś jak dziecko słaby!" Ale niedługo potem, jak tylko Rizzio gorętszém odezwał się zakłębem, mówi mu *zimno*: „Kiedy będziesz w Rzymie, prosz ode mnie papieża, żeby mi przysłał chleb ze stołu pańskiego, w złoto zamknięty.”

Silnie na nią działają zewnętrzne okoliczności. Cóż ją skłoniło do pokochania Bothwella? Oto urok jego „posepnój twarzy” „mrok zamyslenia” i „uśmiech gorczy.” Wzrusza ją opowiadanie pазia, że Bothwell popłynął po *różę*, która wypadła z jej włosów—odczuwa już wewnętrzny stan duszy Bothwella: „O niewinne dziecię! Ja łatwo ją pojmuję — dzika myśl szaleńca!” Kiedy ma się z nim widzieć, zdejmuje koronę, która jej czółu ciężyla a polyskiem swym zgubnym „wielu od królowej odstreczala”; zdejmuje pierseionek ślubny, żeby *być wolną* od wszelkich więzów. Wówczas mniema, że nikt nie ma prawa jej sądzić—bo ludzie są u jej stóp, a Bóg w niebie. Wtedy woła:

Teraz przybądź do mnie, przybądź tu, Bothwellu,  
Przybądź! już nie mam korony i nie mam pierseienia!  
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy!...

Gdy u stóp jej zabito Rizzia; gdy widziała męża, co patrzył obojętnie na krew harfiarza; i gdy właśnie wtedy zjawił się Bothwell:—ona bez żadnej trudności rzuca się w jego objęcia, pragnąc jedynie, żeby „światła i pochodnie pogasły,” żeby wstyd jej ukryły... „Nie jest to czas ukrywać uczucia — powiada — rzucam się na twe łono — już jestem zgubiona.” Wszystkie okoliczności składały się na rozgorączkowanie jej wyobraźni, na zniweczenie w niej poczucia moralnego.

Jest pobożna — ale pobożność ta łączy się ściśle z obłudą. Rizzio zastaje ją bez korony—to go ośmiela: „Rizzio, chciej mówić z *królową* — przestrzega go — rozmawiałeś z kim innym.” Myśl jej już całuje blade czoło Bothwella. Usprawiedliwia się przed Rizziem: „Wszak wiesz, że ja się zwyklam *modlić* bez korony — i teraz się modliłam.” Obłuda weszła już w jej naturę. Kiedy ma zanieść usypiający napój mężowi, nie wierzy, że mu poda truciznę, przytaczając na poparcie swój niewiary spokój Bothwella, kiedy jej podawał czarę. „Bo któż się nie wzruszy — powiada — powierzając kochance narzędzia otrucia?...” Przymila się Henrykowi... na wspomnienie zabójstwa Rizzia mówi jak najuawniej: „Ja nie wiedziałam o tém, cóż mi to obchodzi? — śmierci Rizzia jużem zapomniala.” A jednakże wie o tém, że człowiek, z którym rozmawia, „może jutra, jutra nie zobaczy.” Kiedy wlewała napój, ręka jej zadrzała... Przeraza ją krucyfiks: „Zdaje mi się, że *zbladło* to *czolo* z hebanu.” Nie zbrodnia sama ją krwawi, ale jej formy; nie gniew boży ją straszyl, lecz chmura na czole bóstwa... Kiedy Bothwelli wziąwszy lampę z ołtarza, wychodził, ona woła: „Stój — już Darnleja wszelkich uraz zapominam” — niby go wstrzymuje „czując, że *mogła* wstrzymać,” lecz nie chciała.

„Czarne moje serce!” — to wyznanie, które siła wypadków z jej piersi wyrzyna, dostatecznym jest dowodem, że Maryja wie o zbrodni, czuje jej ważność — ale przeszkodzić jej nie ma odwagi czy chęci! Słaba trzcina ugina się pod wiatru powiewem...

Wołę jej ktoś zawsze *uprzedzić* musi: nie wypowiada jej jasno i stanowczo. Z początku daje się po-

wodować Rizziovi—on pisze rozkaz uwięzienia ubliżających królowej; od niego zasięga rady, czy na rozkazie ma podpisać imię męża czy nie. Myśli jej są chwytne: „Nie pisz imienia króla—ja jestem królową. Rizzio, co myślisz? nie wiem, może się obrazi!“ — oto jej słowa w przeciągu jednej minuty. Ostatecznie Rizzio sam się rozrządza — każe wołać Duglasa. W tak ważnych sprawach ona nic nie decyduje. Co innego w kwestyi galanteryi i rycerstwa! Maryja rozkazuje Rizziovi, żeby odrzucił rękawicę Duglasa... Ona jest królową... ale tylko igrzysk kwiatowych (jeux de fleurs). Ten sam brak woli w innej okoliczności. Paź nasuwa jej na myśl Bothwella, Maryja rozmyśla: „Miłość jest występkiem, w błędnej wiedzy drogę. Długo ją usypiałam. Będę widzieć Bothwella—*oddalę ze dworu*.“ To jej pierwsza myśl—jakże odmienna od następnej... Ona nawet nie kocha Bothwella, wie „że on nie jest aniołem;“ tylko wypadki jej go narzuciły; gdyby ktoś inny—o Bothwella-by nie dbała. W pewnych chwilach opanowywa ją gorączka, przerywają się wszystkie tamy: „Dalej, dalej iść trzeba — nie wiem, gdzie zajdę!“ Życzy sobie śmierci męża; ale nie śmie tego wypowiedzieć głośno, gniewa się na myśli własne. Ale nie było już teraz przy jej boku usłużnego Rizzia — niewzruszony Bothwell donaga się rozkazu. Jakże powstała pierwsza myśl o zabójstwie? „Połączę z tobą dłoń—mówi do Bothwella—lecz nie, *ta ręka z krwawą* ręką powiązana—*on żyje jeszcze!*“ I zaraz się reflektuje: „Boże, cóżem wymówiła!“ Ze snu ukojenia w modlitwie budzi ją szatan—Bothwell. Maryja pokazuje mu portret męża: „Nie zniosę tój twarzy! Patrz, za mną się obraca, wzrokiem mię przenika.“ Bothwell

odpowiada spokojnie: „Zniszczę ten obraz.“ A Maryja przytłumiając westchnienie, powtarza głosem echem: „obraz!“ „Chciej mię zrozumieć—mówi dalej—blagam! czyliż duszy skrytość mam wyjawić słowami? Powinien zginąć — Kto?—On! — Kto? — Król! — Zginie!“ \*) Gdy już Bothwell *wydart* z piersi Maryi wyraz stanowczy, ona powiada: „zapomnij o snach moich, nie zwierz ich nikomu.“ Wie bardzo dobrze, że słowa te żadnego nie mają znażenia. To też gdy Bothwell, stwierdzając poprzednie słowo, powiada, że król „*dziś zginie!*“, Maryja się nie dziwi, dodaje tylko: „Dziś—to nadto wczesnie.“ Okropny-to stan duszy—owo rozdarcie jej na dwie sprzeczne z sobą połowy. Podobna ona jest wtedy do zwiedłych liści, któremi wicher zamiata ulice pełne błota... Nic już dla nas naówczas nie pozostaje jak, przesłoniwszy sobie oczy sofizmatami iść ciągle dalej naoslep, nie oglądając się. Ze straszonymi widziadłami w wyobraźni błąkać się musimy po-przez życie, niepewni ni siebie ni jutra. I Maryja cierpi; widzi mury więzienia, i obcą kobietę na szkockim tronie i salę tronową „w żałobne ubraną cyprysy.“ Chce się odebrać od losów Bothwella („Precz, precz ode mnie, zbójco, z tём wybladłém czołem“); ale zapóźno...

Serca zbrodnia skalane zbrodni się nie boją;  
Słuchaj: otrulaś króla—jesteś moja!

odpowiada jej Bothwell. Daremne szamotanie się i żal daremny...

\*) Zwracam uwagę na podobieństwo tój sceny z 2 sceną aktu IV *Maryi Stuart* Schillera, gdzie *Davison* pragnie koniecznie usłyszeć z ust Elżbiety jasno i dobitnie wypowiedziany rozkaz wykonania wyroku na Maryi.

Wśród kreacyj Słowackiego, Maryja może posiada najwięcej szczegółów wyjaśniających jej wewnętrzną naturę; ale szczegóły te nie mogą jej zjednać naszej sympatyi. Jeżeli bowiem słaba jej natura jest pewnego rodzaju wymówką dla występków; jeżeli wołanie do Boga „na cóżes moje czoło uwieńczył koroną“ każe się domyślać, że w innych warunkach życia zachowałaby czystość moralną; — to świadomość popełnianych zbrodni i owe charakterystyczne słowa: „I przez tę noc straszną żaden z mych poddanych nie będzie równie podłym i występny“ zmuszają nas do surowej oceny jej czynów. Cierpienia Maryi przejmują nas litością — ale spółczucia nie budzą. Fałsz, obluda, pozorna pobożność a istotna przewrotność każą się domyślać w jej duszy — gangreny moralnej wyniesionej z lekkomyślnego życia na dworze francuskim. Swoje własne smutki, swoje osamotnienie i nudy gorzko wyrzuca Bogu i światu — cudzych zaś zrozumieć nie chce a skarżącym się odpowiada komunalami: „Wszyscy losem jesteśmy miotani. — Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami“ i t. p. Popelnia zbrodnię z tém przekonaniem, że jedno słowo modlitwy wszystko zgładzić może. Oto najfałszywsze pojęcie cnoty — jakie powierzchowna pobożność w ludziach wyrobić zdołała!...

## VI.

## L a u r a.

Jest-to wspomnienie pierwszej miłości, z której się wypowiadał poeta w „Godzinie myśli.“ Powróciło ono później, ale już zbladłe, ulamkowe, bo przedzielała je przestrzeń lat *kilku*. Kilka lat w życiu takiego człowieka jak Słowacki — to wiek cały. Uczucia przeróżne falowały w jego duszy po kilkakroć; wrażenia z jaskrawych stawały się szaremi; wyobrażenia z powiklanych i chaotycznych — jaśniejszemi. Poeta się zmienił. Ale pierwsze silniejsze uczucie zbyt wielką potęgę w sercach ludzkich posiada, ażeby zupełnie zniknąć mogło. Pierwszej miłości zapomnieć niepodobna...

Laura była starszą, doświadczeńszą od młodego Kordyjana. Nawet trochę szyderstwa ukazywało w niej niekiedy swój żmijowy języczek. Ale tam w głębi tej duszy chochlik uczucia wyprawia swawolne swe figle. Umie pochlebiać, podoba się jej poezycja: „W imienniku wiersze znalazłam — powiada — poznałam rękę pióra — o nie! raczej duszę!“ Lubi się bawić w astrologiją miłosną: „Któż z nas pierwszy zobaczy gwiazdę dobrze znaną?“ — a więc marzycielka jeszcze!... Wypytuje Kordyjana jak siostra starsza, pobłażająca rojeniom kochanego braciszka: „Kordyjan ma piękną przyszłość — cieszy go — talenta, zdolności.“ Laura — jakby na wspomnienie swój sławniej imienniczki — kocha się w dawnych zwyczajach rycerskich: lubi słuchać śpiewu trubadura u nóg swoich. Ale i rozważna... zbyt wybuchowego zapалу nie znosi. Daje Kordyjano wi przestrogi: „Złe, jeśli się pan będzie *marzeniem* za-



*pała!* — prawdziwie nie pojmuję, co mu jest; — więc pan mi przyrzeka, że będzie spokojniejszy? — Ach! rozsądna kobieto! chciałabyś, żeby wulkan płynął cicho i spokojnie jak rzeczka w końcu twój wioski!... Naprawdę! musisz się cofnąć, musisz udać zagniewaną, odejść bez pożegnania, ażeby później żalować słów swoich. Laura nie przemawia ani jednego szerszego, ognistszego słowa do Kordyjana, chociaż widziała rozpacz jego bezdenną, tylko może pojąć nie zdołała! Jednakże żal jój, że się tak z nim rozstała. W późną noc czuwa jeszcze; budzi się w niej zgrzyzota, nasłuchuje, czy Kordyjan nie wraca. „Gdybym to *dziecię* płochem szyderstwem zabiła? — pyta się sama siebie z obawą: „dmucham w różę, co słońcem palona opada.“ Zna więc stan duszy Kordyjana; lubuje się w jego słowach, odczytuje powielekroć wiersz wpisany do jój sztambucha; ale żadnych nad nim uwag nie robi. Czy poeta umyślnie tak postąpił? Chciałże przez to pokazać, że umysł Laury był zbyt płytki, ażeby się mógł zdobyć na jakąkolwiek ocenę myśli genialnego dziecka?... Na Laurę działają więcej wrażenia zewnętrzne: „Słyszę tętent — powiada — to Kordyjan — więc okno otworzę.“ Ale natychmiast myśl czulsza została zepchnięta na dno serca — występuje kobieta światowa: „Nie! — robi uwagę — możebym zazbytnią troskliwość wydała.“ Jednakże bądź co bądź okno otwiera — *w tej chwili* kochała Kordyjana — „Boże, wielki Boże! Koń przeleciał bez jeźdźca. Drzę cała.“

Jeżeli z tak szczupłych rysów można odgadnąć całość postaci z pewnym prawdopodobieństwem od tworzenia rzeczywistości, to powiedziałbym, że Laura była kobietą zwyczajną, czułą, zbyt już starą, ażeby

mogła sympatyzować z wybujałymi mrzonkami młodocianego umysłu, zbyt trzeźwą i pozytywną, ażeby podzielać jego bezzasadne rozpacz i melancholijne smutki. Pochlebiali to jój *próżności*, że chłopiec zdolny, poeta, poczuł dla niej głębokie uczucie, że jego radość i boleść miała w skinieniu swego dziewiczego czoła... Wstyd przecież było przyznać się jój głośno do miłości dla dzieciaka... Czula była czułością kwiatu — woli nie posiadała.

## VII.

## Violetta.

Pierwsza-to, zdaje się, dama kamelijowa w naszej poezji. Nie była ona przecież taką, jak przyszła bohaterka Dumasa. Handlarzka rozkoszy, łzy i uśmiechy sprzedawała po tyle a tyle... Szlachetności, poświęcenia nie zna i nie rozumie. Oczy „jasne, skrzęce, czarne;“ białka oczu — jak perły — śnieżysto-błękitne. Charakter wyjątkowo u Słowackiego — zmysłowy, jakkolwiek i tu nie poznajemy istotnego upojenia zmysłów, lecz tylko udanie. Słowa Kordyjana są gorące, wschodnie; lecz serce zimne, obojętne, pogardliwe:

Gdy rzucasz wzrok omdlony, padam, słabnę, mdleję —  
Tak na przostodkłej róży mrą złote motyle;  
A gdy spojrzysz iskrami twych oczu — szaleję  
I ozywam na całą pocałunku chwilę.

Violetta zapewnia go o swęj miłości nad życie.  
„Wszak *lorda* i Boga porzuciłam dla ciebie — po-

wiada — czyż wątpisz szalony? — Ale w téjże samej chwili *zaluje* perelę, kupionych przez Kordyjana, „za zamek ojców.“ „Perły — mówi Kordyjan — takie zimne na płomienném łonie — rozerwij perły — czekaj — rozgryzę nié.“ „Szkoda!“ — odpowiada Violetta, zapewniając zarazem, że u szaty jego wisi jak kropla rosy: „strząsniesz — rosprysnie się cała...“

Zaczyna się dramat. Kordyjan chce z głębi serca Violetty wydobyć jasne słońce prawdy — nie spali go ono. Niby marzy:

Patrzę na wazon z lawy, w którym rosną kwiaty,  
Niegdyś ta lawa ogniem zapalona wrzała;  
Skoro ostygła, snycerz kształt jój nadał drogi —  
Świat jest nieraz snycerzem, a serce kobiety — lawą ostygłą.

Ale tak głębokie porównanie nie może wejść do płytkiej duszy Violetty.

Dla niéj potrzeba rzeczy dotykalnych. „Luba, powiada Kordyjan, dawniej dawałem ci brylanty, dziś sercem się dzielę, bo z majątku mego — ruina, a wierzyciele stoją u drzwi moich.“ Ten właśnie środek może zmusić Violettę do zrzucenia maski. „Ach brylanty! — woła — gdzie klucze?!“ Brylanty przegrane: — „Przegrałeś moje serce razem z klejnotami“ — mówi Violetta z płaczem i gniewem. „Nędza, nędza mié czeka.“ „Mnie zaś koń mój czeka“ — odpowiada Kordyjan chłodno. „Jedź z djablem“ — ot, i po górnołotnych już słowach... Szyderstwo Kordyjana sięga jeszcze dalej: „Ale koń — powiada — ma złote podkowy, za cztery podkowy uczt wyprawię cztery. *Pani*, czy jedziesz ze mną.“ — „*Luby*, jadę z tobą.“ Niepodobna było *krócej* scharakteryzować olbrzymię

przemiany w sercu Violetty. Tymczasem pokazuje się, że koń zgubił podkowy. „Wężu Adamowy!“ woła rozwścieczona. „Ewo moja, Adama zastąpią ci drudzy.“ Furyja Violetty nie ma już granic. „Niech ludzie z pistoletu kule ci wykradną, niechaj cię głód zabije, zapali pragnienie!“ — woła, odbiegając w ślad za zgubionymi podkowami. Kordyjan żegna ją z goryczą:

Prawdziwie, ta kobieta kocha mié szalenie;  
Poszła, szukając śladów *kochanka* po drodze...  
Dalej, mój koniu! leć, gdzie zechcesz — puszczam wodze.

I my dla Violetty nie zdobędziemy się na inne słowa pożegnania. Fałsz moralny, obleczonej cudną karnacją, zasługuje na bezwarunkową pogardę, cokolwiekby mówili płaczący zwolennicy bezgranicznej miłości, nie zważający na duchową stronę kobiety... Zwodnicze majaki życia ukazują się tylko wśród posuchy serca w tych głowach, które zamiast mózgu mają „piaszczyste płaszczyzny...“ Żegnaj, Violetto, i ukazuj się nam — jak najrzadziej...

## VIII.

G r a f i n i (Dyjana <sup>1</sup>).

Znowuż mamy przed sobą postać fantastyczną, owianą tchnieniem czarów, okopconą dymem zbrodni.

<sup>1</sup> W rzeczywistości Greczynka *Zofja*, trzecia żona Szezęnego Potockiego, kochanka i męża sławnéj „Maryi“ Małczewskiej (Giertrudy Komorowskiej).

Dawniej niewolnica grecka, dzisiaj pani wszechwładna, posłuszna jest brutalnym rozkazom głupca, a zachwała względem męża-starca, którego umysł obłokiem nieszczęść zakryty.... Zabobonna jak wieśniaczka, nie ma może siły dostatecznej do spełnienia haniebnych czynów; ale w sercu jej gnieźdzą się gadziny. Mężowi przyprawia lekarstwa z pomocą czarów. Nie raz *blada* z lampą w rękę przysłuchuje się, co śpiący mówi o niej w majaczeniach. A nieraz „*jej ręka słucha*, czy się serce w chorym nie pęka.“ Ze zbrodniczą miłością nie kryje się, ale otwarcie „z bezwstydem na czole“ sadza kochanka przy swoim boku. Kochanek to pierwszy lepszy, jakiego w tłumie spotkała. Grek nazywa ją „*polską Hekata*,” boginią piekieł. Piękna była pięknnością szatańską. Co mąż czuł i cierpiał — tego ona nie odczuwała; a co dobrego w jego sercu zmartwychwstało — struła.

Widzimy ją dwa razy. Dowiaduje się o otruciu męża. Obluda jej posuwa się prawie do granic niemożliwości. Poeta, malując tę scenę, powiada, że:

Ktoby w jej usta już nie *korawowe*,  
 Ale pobladłe, otwarte, surowe  
 Spojrzał i słuchał, gdy tak stała cicha,  
 Jak przez *te usta serce w niej oddycha*;  
 Ktoby usłyszał, z jakim dzikim wrzaskiem  
 Wybiegła z ludźmi się spotkać i z blaskiem  
 I z *obwinieniem*, co na każdej twarzy  
 Przy migającej się pochodni żarzy;  
 Ktoby w tej chwili nie zalane leżką,  
 Ale pięknocią jasne nadniebieską  
 Widział jej oczy, gdy je w *gwiazdach* trzyma,  
 Albo o męża pyta się oczyma: —  
 Tenby ją całkiem miał *niepotępioną*.  
 Zepsutą była, niewierną — *lecz żoną*....

Takie-to uludne umiała przybierać postaci!...

W drugiej scenie spotykamy ją przygnębioną, złamaną. Jej mąż wchodzi do komnaty, w której się gach znajdował, „ze szmatą czerwoną na głowie.“ Gach oniemiał. Grafini skamieniała:

O marmur czoło uderzyło, jętko,  
 Kość zadzwoniła, gdy czołem upadła  
 Przed same nogi groźnego widziadła....

Oto i wszystko, co nam poeta o swój Grafini opowiada. Prosta, nieokrzesa, ulegająca zwierzęcym popędom kobieta, demonizmem Byrona nacechowana, wstaje przed nami jak cień ementarny — groźny a niewyraźny, fantastyczny. W piekło jej duszy nie zajrzeliśmy jeszcze do gruntu, nie odróżniliśmy jeszcze pojedynczych szczegółów;—ale obecność jej trucizną zaraża powietrze, będąc zwiastunką postaci jeszcze okropniejszych, które jawnymi czynami pochodzenie swoje udowodnią.

Słowacki przez lat dwa (około 1834) zajmował się pilnym odczytywaniem utworów Szekspira i Dantego. Duch tych wieszczów silnie podziałał na wrastliwą fantazyją naszego poety, który wprawdzie nigdy niewolniczo nie naśladował; ale w każdym razie na wrażenia odbierane za pośrednictwem książek był bardzo czuły. Wiedźmy Szekspira, potępione dusze Dantego nie dawały mu spokoju: musiał je we własnym duchu przerobić i czytelnikom (bardzo jeszcze wówczas nielicznym) przedstawić. W roku 1834 napisał *Balladynę*, w 1837 — *Poemat Piasta Dantyszka o piekło*. W tym ostatnim znajduje się postać „*Maryi*“ (Malczewskiego), łącząca tym sposobem poemat

„Wacław,” gdzie występuje Grafini, ze wspomnieniem pierwszej miłości opiewanego przez siebie bohatera. Zbyt atoli ulamkowe są rysy, ażebyśmy cokolwiek o tej postaci mogli powiedzieć. Zaznaczając więc tylko jej istnienie, nadmienić muszę dla uniknięcia nieporozumień, że poemat „Wacław,” jakkolwiek wydrukowany w tymże samym roku, co Balladyna (1839), napisany był później (Ball. 1834. Wacław 1836). Umieściłem atoli „Grafinię” w tym miejscu, ażeby fragmentarne postaci nie przerywały nam wrażenia, gdy mówić będę o kreacjach, na obszerniejszą skalę pomyslnych.

## IX.

## Balladyna.

Uspodobienia ludzi moralnie skażonych mają zawsze coś demonicznego w sobie. Wynosząc się niby nad poziomą naturę ludzką, wszystkie uczucia, które dla innych są rozkoszą, obryzgują krwią i kałem; u stóp swoich kładą serca i plwają na nie jak na rzecz obrzydliwą; na głowie mają dyjadem, cierniami obrócony nazewnątrz... Zadowolnienie próżności i dumy trwa minutę; popęd do deptania ciał i dusz ludzkich budzi się potem z coraz bardziej obryzmującą siłą. Jak węże zmieniają skórę, tak one — upodobania; — cała różnica polega na dłuższym lub krótszym przeciągu czasu. Zwyczajnie ich nie są ludzkie; pragnienie gaszą krwią, głód nasycają ciałem. Gniewne i mordercze, widzą zdala majaki uspokojenia: zbliżają się

z chciwością, której skala wraz z wiekiem się wznosi, i — zastają piasek suchy, żółty, blyszczący od ciągłych upadów. Nie przecezuwając, same sobie kopią mogiły: suchym piaskiem nakarmić się niepodobna. Pogardziwszy uczuciem, wyśmiawszy miłość, pozrywawszy wszystkie sympatyczne węzły, jakie ich z resztą ludzi łączyły, przymuszone są żyć wśród okropnego wrzasku własnej duszy, której prawa ośmieliły się poddać. Nienawistne same sobie, drżące w ciemności, kiedy nie widzą nic, czemuby głowę strzaskać można, we własnych słowach noszą jady, któremi zatrują nie tylko innych, ale i siebie... To też gdy nadejdzie wreszcie i dla nich — nie są bowiem nieśmiertelne — chwila rozpoczy, z której nie ma żadnego punktu wyjścia, snują się jak przeklęte mary tego świata: jeżeli kto do nich przemówi — to szyderstwem; jeżeli kto się ukloni — to z urąganiem; jeżeli wreszcie kto zabije — to z obrzydzeniem. Po większej części atoli posoka ich nie ma żadnego powabu dla zwykłych śmiertelników. Zgnębione osamotnieniem wśród gwaru; strawione jadem wśród wykwintnych potraw; stoczone zgnilizną za życia; odwracają kolce dyjademu w stronę własnych skroni, przyciskają je mocno, ażeby jeszcze w tej ostatniej godzinie nie stracić oroku blasku, i... giną.

Taką się nam przedstawia Balladyna — naturalnie z domieszką kobiecej próżności. Zawiadnąwszy sercem biednej „siwój” matki, wywalczyła sobie stanowisko, z którego płynęło potokiem samowładztwo i nieomylność. Wszystkie jej słowa były święte, wszystkie jej uczucia — szlachetne; wszystkie postęпки — wielkie. Nawet uaganę matka przyjmuje jako

prawdę niezawodną, z dobrego serca, a szczególnieję z mądrzej głowy Balladyny płynącą. Zarozumiała i dumna, rad nie przyjmowała od nikogo; zmysłowa— prowadziła pokątne miłości z Grabcem, opojem i leniuchem. Żądna wyniesienia, nie chciała na nie zapracować — chociażby zbieraniem malin; wołała wziąć nóż zawczasu, w przekonaniu, że siostra jej zakochana, dobra i czysta wprzód od niej zbierze pełny dzbanek, który za pośrednictwem jednego pełnięcia przejdzie w jej ręce. Przy tej pierwszej zbrodni widzimy jeszcze najwięcej wahania, najwięcej skrytjéj bojaźni; ale po jej spełnieniu — nie ma w niej żalu, za nie w świecie nie chciałaby, ażeby jej siostra zmartwychwstała. Na pytanie Goplany: czyby zabiła Alinę po raz drugi, Balladyna mówi tylko te proste słowa: „Zgubiłam mój nóż!” A później, kiedy pustelnik chce wskrzesić Alinę, ta okropnica powiada w gwałtowném uniesieniu:

Gdybym miała trzy wybladłe twarze,  
Na każdej twarzy trzy straszniejsze plamy;  
Wolę je nosić aż do Boga sądu....  
Niż przywrócić do życia zabita.

Dla niej wyrzuty sumienia nie istnieją; straszą ją tylko oznaki zewnętrzne; dla niej szczęście byłoby już zupełne, gdyby z ręki krew otarła. Ale ręką dotknęła czoła i pozostawiła na niem plamę czerwoną. Ta plama okropna będzie jej wieczném udręczeniem tak samo jak dla *lady Macbeth*: ona sprowadzi przed jej oczy widmo, które przytomnością swoją oka jej zamknąć nie pozwoli; ona będzie szpiegiem jej postępowania; donosicielem zbrodni; zdracając przeszłości.

Nie kocha Kirkora — chce jedynie jeździć w złotjéj karecie, mieć liczną służbę, którjéjby rozkazami mogła karki zginać aż do ziemi. Nie kocha matki; gdy już została wielką panią, kazała ją zamknąć do ciemnej izdebki, ażeby jej wstydu prostaczą mową swoją nie przynosiła; potem, gdy matka wydarła się z pod zamknięcia i córkę chciała uściskać, nazwała ją waryjatką i kazała wygnąć z pałacu „w noc i w piórny i w burzę i jeszcze głodną.” Nie kocha Kostryna: łańcuch zbrodni tylko silnie skuwa ich z sobą; przy pierwszej lepszej sposobności użyje go jedynie za szczebel do wzniesienia się wyżej; gdy się już na wierzech dostanie, szczebel złamie. Przez cały dramat nie widzimy nikogo, żeby do niego serce Balladyny uczuciem zabiło: jedna myśl ją opanowała, niemilosierna, pustosząca wszystko na drodze swego przechodu. Posiąć koronę, panować, precz odrzucić przeszłość jak jedną połowę jabłka zgnilią „którą ośliniła żmija;” rozgnieść cierpienia jak robaka u nóg pelzającego; nowemi zbrodniami spokój okupić— oto program jej życia, któremu brakowało tylko pieczęci szatana. Zabójczyni, truciicielka, biegła w sprawach krwawych, umie dawać wielkie rady swoim podwładnym:

Jeżeli pełen męstwa i zapalu;  
Jeżeli chcesz kiesy po wierzech pełnej srebra;  
Idź na ten wzgórek, niech ci trupie żebra  
Będą drabiną, postronkami włosy;  
Idź i zabijaj!...

Mając serce przepelnione okrucieństwem, nie zna litości; wszystkich, co przeciw niej waleczą, wieszac każe, a jeżeli śmierci nie pragnie, w karze wynisłna jest

jak żarłok w potrawach. „Na wasze prośby — powiada raz do posłów — ulaskawiam obu: Wybić im zęby i wylamać szczęki! — niechaj nie walczą!” W takiej atmosferze nie rozwijają się kwiaty uczuć łagodnych. Wszystko, co ludzkie, co kobiece, zabiła w sobie. Jedna wstydlivość tylko pozostała. Idąc zabić Grabca, by dostać koronę, powiada:

Nie mogłam spać, nóż leżał przy mnie, wzięłam  
W koszuli — wstyd! — gdyby cię kto zobaczył  
W koszuli z nożem w rękul...

Okropne zestawienie, straszna ironija! Ona się wstydzi, że w koszuli idzie zabijać. Rozpustnica, kochanka Grabca, ma skromność dziewcząt!... Sądźmy, że ten rys niewłaściwie został przez poetę wybrany. Wśród nocy krwawych hallucynacyj jaśniejszy ten promień zbyt fantastycznie odbija, przyczepiając skrawek ludzkiego uczucia do płaszczki demona. Gdy burza wstrząsa drzew wierzchołki, łamiąc gałęzie i zarzucając niemi ziemię, widzimy tylko jaskrawe błyskawice węże; ale kielicha lilii białej trudno nam dojrzeć!... Nie przypuszczamy, ażeby ten jeden—jeden rys jasny, zresztą zupełnie przypadkowy, miał ratować ludzką naturę Balladyny... osłabia tylko wrażenie, jakim ponura jej postać napelnia umysł czytelnika.

Usprawiedliwioną jest zato zupełnie obawa Balladyny przed widziadłami osób, przez nią zamordowanych. Plama, niestarta nigdy, jest bezustanném *emento* pierwszej, okropnej zbrodni, dokonanej na siostrze. Ta siostra nieszczęśliwa przesładuje ją ciągle; wśród snu i na jawie, w ciszy i wśród gwaru uczy;

gdy rozmyśla o nowém morderstwie i gdy czarą z najojem do ust przytyka. Obawa owa trzęsie jej sercem tylko do pewnego czasu; kiedy już „rozum wyki!” do śmierci, ukazuje się niezachwianą. Falsz, obindę, krzywoprzysięstwo popelnia spokojnie, z bladem ale wyniosłem czołem. Scena sądu, w której wszystkie jej czyny w widomych występniach kształtach, jest już najwyższym szczeblem demonicznej doskonałości. Wydaje wyroki srogie (choć zgodne z prawem) na siebie samę, z zupełną świadomością rzeczy. Gdy matkę „bliską już trumny,” ślepą, biorą na tortury, ażeby wyznała imię córki, która ją bezlitośnie wygnęła, by piorun wypalił jej oczy: każe sobie tylko podać wody... Waha się wprawdzie czas jakiś z ogłoszeniem wyroku, lecz wreszcie wypowiada spokojnie: „winna śmierci!” — Wówczas spada piorun i zabija Balladynę. Stała się sprawiedliwość. Kanclerz, zamiast w koronacyjne, każe „bić w pogrzebu dzwony...” Nie była człowiekiem — nie ludzie ją karzą.

Balladyna, sama w sobie wzięta, w wielu szczegółach przypomina lady Macbeth; wraz z otoczeniem (starą, ślepą, oszalałą matką i siostrą Aliną), może stanąć okok jednej ze złych córek króla Leara. Wpływ studyjów nad Szekspirem widoczny. Krasniński powiedział, że Balladyna jest dziełem „które w głowie Słowackiego ducha Szekspira porodził;” — ale — dodać potrzeba — porodził ją całkowitą, w uzbrojeniu jak grecką Atenę; nie mozajkowana-to postać, nie składana z pojedynczych cząstek. Żywił fantastyczny, otaczający Balladynę (Goplana, Chochlik, Skierka), jest wynikiem również studyjów nad Szekspirem (*Sen nocy letniej*). Doprowadzenie atoli do ostatecznych granic

zarówno fantastyczności jak i zbrodni; spotęgowanie wszystkich środków poetycznych, jest już najzupelniejszą własnością naszego poety.

X.

W d o w a.

Przesunęła się już wprawdzie przed nami postać matki Balladyny, ale zasługuje ona na bliższe przyjrzenie się, gdyż należy do tych kreacji Słowackiego, które najwięcej pierwiastków czysto ludzkich w sobie mieszczą. Miłość macierzyńska, ślepa lecz potężna, stanowi grunt charakteru Wdowy. Ukochała ona obie swe córki, ale Balladyna jest przedmiotem szczególnej jej troskliwości, przedmiotem przywiązania z pewną czcią połączonego. Już pierwsze jej słowa dają nam poznać tę jej ślepą, bezwarunkową miłość dla córki:

Zakończony dzień pracy. Moja Balladyno,  
Twoje rączki od słońca całe się rozplyną  
Jak loda kryształiki. Już my jutro rano  
Z Alinką na poletku doźniemy ostatka;  
A ty, moje dzieciątko, siedź sobie za ścianą.

W marzeniach o przyszłym zamęściu córek na plan pierwszy występuje zawsze Balladyna, a nawet nie tylko w marzeniach. Kiedy Kirkor prosi o rękę jednej z córek, Wdowa odpowiada: „Ja dwie mam córki; ale Balladyna...” pocziwie jednak serce matki, wymieniwszy swoją pieszczołkę, nie chce przecież zrobić krzywdy i drugiemu dziecku; więc dodaje... „a młod-

sza Alina także jak anioł.“ Tylko znowu kiedy serdeczna Alina bardziej jakoś do serca Kirkorowi przemówiła, o matce „siwój“ pamiętając, Wdowa, przestraszona, żeby brak tej cnoty nie zaszkodził Balladynie, dodaje skwapliwie:

Leez Balladyna to samo mówiła  
W sercu i w myśli... Wierzaj mi, rycerzu,  
I Balladyna kocha matkę starą.

Gdy wreszcie ukochana jej córka została żoną grafa, Wdowa ani na chwilę o jej serca nie wątpi, ani na chwilę nie przypuszcza, ażeby córka zaprzecić się jej miała, ażeby jej nie dozwoliła mieszkać razem z sobą; bo ona jest próżną i dla swych córek pragnęła wywyższenia, ażeby i sama podnieść się mogła; więc jej idzie o to wielce, by we wspianym mieszkać pałacu. Ten rys próżności, bardzo umiejętnie przez poetę zużytkowany, czyni Wdowę istotą prawdziwą, rzeczywistą, a nie wcieleniem idealnej tylko miłości macierzyńskiej. Ten rys zarazem nie pozwala jej widzieć z początku niechęci córki względem niej, gdy kazala wóz drabiniasty z przyjeżdżającą w odwiedziny przyjaciółką odprawić i kiedy jej radziła, żeby „tą klatką“ i sama się zabrała, jeśli się jej zamek sprzykrzył. Zastosowując się do położenia grafini, Wdowa przyznaje jej słuszność:

Prawda, córko moja,  
Gdyby przyjmować, toby tu jak z reja  
Sy-pało chłopstwo. Niechaj nas kochają  
Zdaleka—prawda? Córki rozum mają;  
Ty nie głupiutka; kiedy zaczniesz prawić,  
To księża nawet nie zrozumie głowa...

Niebawem atoli miała doświadczyć na sobie do- nośności tej maksyny, którą wypowiedziała: „niech nas

kochają zdaleka“... Córka chce ją także kochać tylko zdaleka; naprzód oddala ją od swego towarzystwa, pomieszcza w „ciupie“ samotną i daje jeść i pić „jak ptaszskowi“; potem gdy Wdowa znudzona tępym życiem klasztornym, araczęj więziennym, przywykła niegdyś do ruchu i swobody, a przytęp głodna, wydziera się ze swjej wieży, i zjawia na uczcie; Balladyna powiada już wprost „ja ciebie nie znam.“ Wtedy dopiero matka rozumieć zaczyna serce córki, lecz sądzi, że dosyć ją wyłajając, ażeby znowu dobrą została; a gdy córka każe ją na deszcz i pioruny za drzwi wyrzucić, odzywa się w niej przedewszystkiem instykt zachowawczy, obawia się zimna i głodu, zaczyna błagać córkę—okropnie; stara się ją zmiękczyć obrazem niewygód i cierpień:

O córko! pomyśl... ale tam na dworze  
Ciemno, deszcz pada, a piorun pod chmurką  
Czeka na siwy mój włos, by uderzył.  
Patrzaj przez okno... grom nie będzie wierzył,  
Jak mię zobaczy samę w taką burzę,  
Że ja nie jestem jaką zabójczynią,  
Co się po nocy błąka...

Kiedy wszakże i próśby nie pomogły, wybucha oburzeniem i przekleństwem, na widok sług, co ją na znak Balladyny wypychali.

Powiem chmurze,  
Niech bije w zamek gromem! Nie targajecie,  
Ja pójdę sama... Świat teraz pustynią  
Dla starj matki...  
O! nie targajecie, bo i tak podarta  
Sukienka moja... wiatr się będzie bawił  
Z łachmanem starj matki. O! to czarta  
Córka, nie moja! nie moja! nie moja!

Gniew atoli, oburzenie, zawziętość niedługo w sercu jej goszczą i ustępują miejsca uczuciom miększym, jakimś rozlzwionemu usposobieniu, które się skarży na swoję niedolę, ale córki oskarżać nie chce, bo nie chce jej hańby. Jakże bolesne, jak wzruszające są te skargi biednej, siwej matki, która próbuje umrzeć, by zapomnieć o wszystkim, a nie może:

Wiesz ty, za szkaplerza sznurki  
Wieszalam się na sennie skrzypiącej za gardło;  
Drzewo się ulamało...  
Głupia, ślepa, wybrałaś gałązkę umarłą,  
Gałązkę, córkę drzewa... Żelazna gadzino,  
Nie zlitowałaś się ty matki wdowy?  
A ja bym żyła chleba okruszyną  
W twoich pałacach! Niechby twoja ręka,  
Sypiące gołąbkom w trawę żer perłowy,  
Nie odganiała od pszenie ziarenka  
Zgłodniałej matki.—Wygnać w las! na burzel  
Wypędzić matkę!... Upadłam w kałużę  
I grom czerwony wyjadł z powiek oczy,  
Wyjadł do szczętu...

I wtedy jednak kocha swą córkę: „Ach, gdybyś ty mię z grobu chciał ocucić, wołaj Bładinal!“ Nie tylko jednak słowem, ale i czynem da dowód tępni ograniczonej, przepaścistej miłości, która nie zważa na nie, ani na sprawiedliwość, ani na upokorzenie, ani na zbrodnie ukochanej; bo ona tak już zapelnila serce, że nie się w niem więcej pomieścić nie zdoła.

Wdowa zaslyszala coś o tępni, że na tronie zasiadła mloda i piękna królowa; a że już dawniej z naiwnością dziecka chciała się udać do króla, ażeby miłość córce nakazał, więc teraz udaje się tępni ochotniej do kobiety, przypuszczając, że ona lepiej jej serce, jej



cierpienia zrozumie i życzeniu jej uczyni zadość. Staje przed królową, przed własną swą córką, właśnie w chwili, gdy się odbywały sądy. Nie poznając naturalnie swjej córki, zanosi skargę zarówno na Alinę, która według kłamliwej wieści przyniesionej matce przez Balladynę „uciekła z pod matczynej strzechy“, i na Balladynę samą, że ją „na wichry i deszcze, w noc i w pioruny i w burze i jeszcze głodną“ wypędzić kazała. Zawziętość nią nie kieruje; ona pragnęłaby jedynie, żeby serce córki do niej wróciło; w samém oskarżeniu błaga Boga o przebaczenie dla występnej...

Ale nadeszła chwila, w której biedna, próżna, ciemna kobieta wyrasta na prawdziwą bohaterkę.

Powiadają jej, że ustawa Lechitów przepisuje śmierć na niewdzięczne dzieci; wówczas wdowa wola w przerażeniu:

Co? śmierć na córkę?... Panie, bądź mi zdrowy,  
Żegnaj, królowo, ja wracam do boru,  
Będę żyć rosną...

Nie chce już, wyrzeka się sprawiedliwości, nie pragnie nawet odzyskać serca córki, bo przez to na śmierć-by ją wydała... Pragnie więc dalej pędzić samotne, oplakane życie nędzy. Ale prawa na to nie pozwalają. Kto zaniósł skargę, odstąpić od niej nie może. Kanclerz najprzód perswazyją a potem groźbą tortury chce wymusić wyznanie; Wdowa uparcie odpowiada: nie! nie! nie! Kanclerz każe ją wziąć na tortury; we Wdowie odzywa się znowu instynkt zachowawczy; prosi królowę o litość:

Jabym być mogła matką twoją... Boże!  
Ty nie nie mówisz? Nie?...To jakaś mara  
Straszna na tronie...

Gdy królowa milezała, przychodzi w pomoc wdowie rezygnacyja, silne postanowienie wytrwania:

Więc ja się położę  
Na tych żelazach i skonom, a w niebie  
Bóg wam odpusci.

I dotrzymała słowa. Na torturach słychać było jej. Balladyna powiedziała sobie w duchu: „z mego teraz ciała kat zrobił sercu torturę... rozciąga:“ ale najmniejszym skinieniem nie przeszkodziła spełnieniu okropnej zbrodni, bo się o swoją władzę lękała; zdawało jej się, że to ostatnia już zbrodnia, że nowe dni dla niej się zaczynają... Po jęku nastąpiło milczenie. Na pytanie Balladyny, czy Wdowa powiedziała co w bólach, słyszy odpowiedź: „Umarła:“

Jak ją kat położył  
Na tortur kleszczach, to oczy zawarła;  
A patrząc na nią, ktoby się pobożył,  
Ze to kościany Chrystus był bez ducha.  
Kaźda kosteczka wywiedła i sucha  
Przez rozciągniętą skórę wyglądała,  
Prosząc o litość.  
Umarła cicho... A na suchej twarzy  
Dwa wykopata dolki śmierć kościana  
I w obu dolkach stoją lzy...

Taka-to była dusza wielka w swojej prostocie,  
bezbieżnym choć ślepem uczuciem do wyżyn heroizmu  
podniesiona...

XI.

Roza Weneda.

Nie czas żałować róż, gdy płyną lasy.

„Nieszczęśliwa wróżka” z węzowemi splety na głowie jak starohelleńska Eumenida, krwią brwi swoje farbująca, wielka i potężna jak głos rozpacz, surowa, okrutna nawet jak człowiek, który poświęcił szczęście życia całego na dokonanie czynu, strącającego w przepaść i jego i wielu, wielu innych. Raz tylko jeden powiada, że „ma serce” — ale my wierzymy jej stokroć więcej, niż gdyby Balladyna np. zapewniała nas o tém co minuta...

W duszy jej ogień się pali i płomieniem wybucha, kiedy zniedołężniałych do męstwa zagrzewa. Jakaż ją boleść przejmuje okropna, kiedy „warząc kość na polu i gotując mózg w czaszkach człowieczych” przekonała się o nicności moralnej swego narodu, którego była ostatnią kapłanką!... „Sześć tysięcy — powiada — bez ducha upadło, jakby je kto struł. Nadeszłam z nożem — otworzyłam jeden tułów trupowy i znalazłam, że w nim *serce zbladło* i tak trzęsło się jak liść olchowy: więc plunęłam temu sercu w usta i rozciąłam drugą pierś dla ptaków, lecz znalazłam w niej *kłębek robaków* zamiast serca. I pierś trzecią rozdarłam i spojrziałam w nią — lecz była pusta!” Nie już nie uratuje tych niekzemnych: ni pioruny, które włosami sweni niebiosom wydziera, ni błyskawice, któremi czoło swe opasuje; ni harfa z ciała ludzkiego — z siostry ukochanej, której warkocze za struny służyć miały... nie, nie!... Nad grobami stoi straszna pokutnica: słowa

swoje zamienia na miecze, wbijając je w struchlałą pierś narodu — i czasem tylko jęknie, kiedy boleśń jak nóż anatomiczny zaciśnięte zęby rozтворzy — wtedy jękiem krwi pluje...

A gdy już wszystko przeminęło; gdy ojciec martwy splonął na stosie, gdy jeden brat żywy zaciągnął brata-trupa na popioły ojca, wzywając piorunów, by spalili ostatnie okrucho życia; gdy siostra „biała i niewinna” skonała na próżno, by dostać harfę czarodziejską: — Roza siadła na zgłiszczach smutna, mileżąca, zadumana. „Przed chwilą tu był król, ludzie, poobodnie; teraz dwanaście tych pustych kamieni (na których stali harfiarze). I tak na wieki już i tak na wieki!” W niej już odzywa się chór pieśni grobowych; tęskni za słowem ludzkim: „I cóż nie mówisz do mnie nie — Polelum?” W pytaniu tém jest skarga i westchnienie. Życie ubiegło — rozkoszy miłości nie zaznała — widziała upodlenie narodu — rozdarła serca najdroższym, poniosła krwawe ofiary — i — stanęła nad kupą popiołów... Idzie na stos, na którym zebrało się wszystko, co kochała, wyciąga łańcuch, którym skuci byli Lelum i Polelum, rzuca go pod stopy zwycięzcy Lecha i mówi:

Patrz, co zostało z twoich niewolników!

To wymowa dumnego nieszczęścia!... Ona wiedziała, że lud, którego serce puste gotowem było dla robaków gniazdem, nie mógł żyć długo; pragnęła jego śmierci. Nikt się śmierci nie uląkł. Dym z ofiar ludzkich olbrzymim słupem wzbil się ku niebu... Roza przeniosła wszystkie bóle ludu, zamknięte w swém ser-

cu; nie ugięła się pod ich ciężarem, nie zerwała samowolnie z życiem, które jej same nieszczęścia przynosiło — ale wytrwała do końca...

## XII.

## Lilla Weneda.

Obok tej posągowo-groźnej postaci, wśród otoczenia z czarnych, ołowianych chmur, błyskawic i piorunów, ukazują się biała, niewinna Lilla. Przerażona gromami nieba i gromami słów swej siostry, drży biedna i radaby zakląć smutną zniszczenia wieszczkę technieniem swej duszy anielskiej. Ona, zrodzona do wesołości, do cichych szeptów miłosnych, całująca się z bratem po-przez złote struny harfy ojcowskiej, znalazła się w okropnej chwili nieszczęścia. Więc próżno już teraz śpiewać i marzyć; próżno się poić róż oddechem i wonią jaśminów... Nielitościwa konieczność z pieśni szydzi, wieńce krwią rumieni, kwiatami groby posypuje. Umrzeć ty musisz, Lillo, jak wszyscy — jak wszyscy!... Ufasz w potęgę swej duszy — tym lepiej: nawet gdy ginąć będziesz, nie stracisz nadziei. Córo łagodnej natury, kochanko kwiatów i gołębi, co białe jak ty za siostrę cię swoją uważają, wiarę swoją rozlamiałaś na dwie części: usta swe Chrystusem uzbroiłaś, a serce — przebiegłością. Wszystko, co jest zewnątrz ciebie, da ci słów próżne dzbany, którymi nie ukoiśz pragnienia; sercem własnym musisz wszystkich nakarmić... Siostra

wyprorokuje ci zgubę, może z rozkrwawionem sercem ale z twarzą spokojną złowieszcze słowa wypowiadając. Czystą jesteś Lillo,

Jak po moczarach białe konwalije  
Albo te kwiatki, co ze śniegu wstają  
I brudnej ziemi nie widzą i — giną.

ale krew z wylupionych oczu ojca płynąca strugą purpurową włosy twoje obryzga...

Wesola niegdys, teraz „za łez strumieniem“ słońca nie widzi. Bez skargi, choć z płaczem, poddaje się losowi. Rozśpiewana, musi teraz kazać swe usta pochlebstwem; z oczu swoich „robić zwierciadła,“ w którychby ohyda i podłość widziała się „piękną, wesołą, dobrą i pełną litości;“ z gołębicami w powietrzu szybując, musi teraz pełzać u nóg okrutnej, bezwstydną szatanicy.

Bolesć jej jednak nie przygnębia — owszem bogaci umysł w zbawienne środki ocalenia ojca od haniebną śmierci. Wyzywa Gwinonę do walki: trzy razy wyratować ojca obiecuje. Seru milcząc nakazując, sama namawia brata, by (jak drugi Tell) rzucił topór i odciął ojca zawieszonoego na drzewie; myślała, że to będzie dość dla twardego serca królowej. Lecz wola srogiej kobiety — niezłomna, a zemsta — nieunikniona. Kazała rzucić Derwida na pożarcie wężom. Lilla i na to w swém kochającym sercu sposób znalazła.

Przy wieży, biała księżycem dziewica  
Siedzi, na harfie grająca; a przy niej  
W krąg stoją węże, tak wyprostowane  
Jak morska fala wzdęta nad dziewczyną!  
Ona te węże czarodziejską pieśnią  
Zaeczarowane trzyma i spokojne...

Włócząc się do stóp błagalnica i po raz trzeci ojca wybawia. Karni go zgłodniałego w więzieniu lilijami, któremi skroń swą i głowę uwieczyla. A teraz smutna ją spotyka nagroda. Ojciec albo jój albo harfy wyrzec się musi. Jakież uczucia przebiegały po sercu tój czystej, kiedy widziała wahanie się ojca; jak stara się wmówić w siebie i zapewnić innych, że ojciec ją kocha, chociaż harfę wybierze, harfę, która do zbawienia narodu potrzebna... A kiedy Derwid porywa harfę z chciwością i chce uciekać, ona zapłakała gorzko, ale wszystkich przekonać pragnie, że to lzy wesela, przypomnienia doznanych niegdyś od ojca czułości...

Wymowna, gdy szło o ocalenie ojca, staje się milczącą choć zropczoną, gdy sama stać ma się ofiarą. Harfa została—wracać po nią musi. Znikła wszelka nadzieja. Nie ma nic do oddania w zamian. Musi się poświęcić. Więc idzie. Klęka przed ojcem i mówi mu, że lutnię mu przysła.

A jeśli jaka struna z najmniejszych  
Zajęczy, kiedy zagrasz pieśń tryjumfu:  
Pomyśl, że struna ei ta przypomina  
Najmłodsze dziecko;—i uderz je ręką,  
*Niechaj nie płacze!*

I po tych słowach wszystko się skończyło... Życie marzeń przecięte; sny złote przerwane i tylko cicha jój postać „w srebrną bieliznę“ przybrana z wieńcem bławatków i narcyzów na głowie—podsunęła się pod palec niewidomego ojca, który chciał z niej wydobyć tony jak z harfy. Napróżno!... Skonał.

Nie potrzebuję objaśniać tój postaci. Wyobraźnia poety podbudzona napisem śmiertelnym Julii Alpinuli, która ojca „od śmierci wyprosić nie mogła,“ przypo-

minając sobie błota pińskie i lilije służące za pokarm dla wieśniaków,—kwiat w kobiecie przemienić zapra-  
gnęła. Słowy miękkimi i uczuciem łagodnym uposażył poeta lilije, przeniósł ją w krainę poezyi, cichego męczeństwa opromienił ją blaskiem, na łakach kwietnych i w śpiewnym powietrzu poszukał dla niej przyjaciół — i stworzył Lillę Wenedę — smętną *rusalkę*, zmuszoną żyć wśród szczyku oręza. Postać jój powiewna jak mgła się rozplywa i—niknie.

### XIII.

## A m e l i j a.

Z wszystkich nędz—najstraszniejsze ludzkie zapomnienie.

Jest-to Lilla Weneda przeniesiona na grunt bardziej rzeczywisty, wśród ludzi historycznych, nie zaś fantastycznych, legendowych postaci. Taż sama bladeść, taż sama prostota w ubraniu i toż zamiłowanie lilii; smutek trawiący duszę przeznaczoną do szczęścia i śmierć okropna, której nie poniosła dla zglądzenia swj winy, lecz dla spełnienia srogich losu wyroków.

Tak była cicha i skromna, że wszyscy ją za „dzieciatko niewinne“ poczytywali. Ubiór głowy skromny „bez żadnego fiocha;“ trzewiczki miała „ze skrzydeł motyla“ — jak się wyraża jedna z osób dramatu. Tyle o jój powierzchowności. Wnętrze jój ducha smutne, bolesne, cierpiące „bez jęku, bez głosu.“ Żadnej nadziei na przyszłość—ciemna noc pokrywa nazawsze marzenie o szczęściu. Za obronę ma lzy tylko i pogardę. Zapewno, nie mając w duszy błęgiego spokoju, szukała

w krainie fantazyi zadowolenia swych pragnień. Tę stronę jęj duszy — marzycielską, błędną — uwydatnił najpiępij poeta w rozmowie z królem, kiedy opowiada napad Mazepy na „wąskiej kładce.“ Młody pazik domagał się pocałunku; ukłakił; zaczął mówić, że ją poznał „po róż zapachu...“ Amelija tak się tłumaczy:

Musiałam spuścić ocy i w rzeczutki szybie  
Wolać rybek na pomoc i prosić o radę....

Jednakże gdy rzeczywistość po raz drugi ją dotknie; gdy nowa spotka ją obelga; już nie będzie wzywała na pomoc ani rybek, ani słowików... sama z podniesioną dumnie głową obroni swoje godność kobiecą ostrém i dotkliwém słowem. Umie-bo ona używać wyrazów dobitnych, z lawy zastygłej wyrzeźbionych... „Powiedz mu—mówi do króla o Mazepie—

...że ja pogardzam i zapomnę o nim;  
Że choćym nierządnicą była—nie skorzysta,  
Bo jeszcze ja dlań będę za dumna, za czysta!..

A gdy rozpustny król, niezrażony temi słowy, chciał, podobnie jak pazik, ust jęj dotknąć, mówiąc:

O dumna—raz niechętnie dałaś całowanie  
Czołu pazia—lecz teraz spotkasz....

Amelija uprzedza go wyrazyzami:

Już mi widne  
Król: Czoło w koronie... Am. Zimne... Kr. Dokończ....  
Am. I bezwstydnę....

Potęga w niej była utajona — pokonywała ją w sobie...

Amelija kocha swego pasierba — Zbigniewa; — ale to nie miłość starożytnęj Fedry, lecząca na oślepię, rozrywająca wszystkie pięta moralne, byle zadowolnić wzburzoną namiętność: — to miłość chrześcijańska, zrezygnowana, lękająca się wyznania nawet sama przed sobą. Żyje tylko dusz połączeniem i łzami „Bóg z tobą — mówi do Zbigniewa — ja wacpanu nie mogę nic prócz lez... ja sama cierpię!“ Oto cała jęj skarga; chociaż i tęg się przelekła: „jaka plama dla mojęj czystęj duszy tak z wacpanem gadać!“ Jedyna ucieczka w Bogu, w modlitwie; tam znajduje spokojność. Jednak idzie Amelii o to, ażeby Zbigniew pamiętał o niej, żeby pamiętał jej łzy... Ciężkoby jęj przyszło obejść się bez tego wspomnienia. Wreszcie, chcąc niby zupełnie spokojną pozostać i nie mieć wyrzutów sumiania, kończy wyznanie temi słowy, co tak wybornie malują kobietę: „To, co teraz mówię, mówię nieprzytomnie.“ Kłopotce się o ów spokój, bo jest pobożną, zabobonną nawet. Opowiada Zbigniewowi, że jęj turkusowa szpileczka, którą miała po matce, złamała się; to rzecz mała—dodaje—, lecz na okładce książki od nabożeństwa zapisałam sobie ten dzień *jak zły dzień!*...“ Dusza przeczuć pełna a zawsze złowróźbnych... nigdy uspokoić się nie mogła; niewyznana miłość trawiła ją gorzej od rozpalonego żelaza; pragnęła wyznania, a lękala się tęg chwili, w której ono pojawić się mogło; tęskniła za miłością—i odpędzała jęj cień jak dręczącą we śnie marę.

Zbiegiem fatalnych okoliczności posądzona przez męża i przez pasierba o tajne miłości z Mazepą, upada pod brzemieniem hańby. W tęg atoli chwili jeszcze myśli o swym ukochanym i nie męża zapewnia, że

„w alkowie nie ma nikogo.” — lecz Zbigniewa. Wycierpieć wtedy musi wszystkie obelgi, wszystkie okropności wyrazów, wszystkie posądzenia zjadliwe... wysłuchać musi, jak Zbigniew, chcący przebić się nożem, mówi głosem zimnym, szyderyczym:

Stój, nóż nadto chłodny,  
Ja ci go mojem sercem rozdartém ogrzeję!...

I musi wysłuchać, gdy, już otruta, zbliża się do trumny Zbigniewa, — jak mąż, niepomahowany w gniewie i w oburzeniu, odrzuca ją, rzucając na nią splotem słów wężowych:

A nie kładź się Waępani tam, na dzieieka trumnie,  
*Bo ją splamisz!*

Wysłuchać musi — i umierać — nieplakana, niesprawiedliwiona, bez przebaczenia, bez łez. Smutno! gdy wicher namiętności rozerwie krzew życia i roznieście na wszystkie strony świata, piaskiem go suchym przysypując; smutniej, gdy za błąd mały, nieznaczący musimy odpokutować żalobą szczęścia na ziemi; ale najsmutniej, kiedy, potargawszy wszystkie struny własnego serca na korzyść innych, doznajemy w zamian upokorzenia, słyszemy przekleństwo, widzimy pogardę... na wieki. Amelija — to męczennica. Wyraz ten wypowiada wszystko. Zamkną w sobie najokrutniejszą boleść; widzieć uczucia swoje sponiewierane, podeptane nogami, — i nie jęknąć, nie poskarżyć się; za całą obronę mieć tylko lzy smutku bez nadziei i rozpacz, ciągnącej się w nieskończoność — oto jej przeznaczenie, które kończy jedynym samodzielnym czynem — otruciem się. Miłość nie dała jej rozkoszy; mi-

łość nie włożyła na jej czoło wieńca ze ziszczonych marzeń; wiara i pobożność nie obroniła jej przed haniebném podejrzeniem; ufność ją zawiodła; szlachetność stała się grobem szacunku, jakiego od męża wymagać miała prawó. I stoi przed oczyma naszymi tak, jak ją *po śmierci* odmalował poeta:

Patrz — blada jak płótno...  
Posąg, który się trzyma strętowaniem boleści —  
Jój ducha anioł teraz podnosi i pieści  
A ona mu rozpacz ciszą odpowiada —

To posąg cichój rozpacz!...

#### XIV.

### Beatryks.

Jestem jako najbielsza z gołębie,  
Co się w kałuży krwawej chciała kąpać  
I opryskała krwią całą rodzinę!...

I znowu strugami krwi zalewa nam poeta wyobraźnię. Ponury i ohydny dramat, prześcigający grozą mityczne podanie o Cynirasie i jego córce, wystawia na pierwszy plan kobietę — dziewicę, czystości „swego ciała” broniącą. Zmysły ojca zapalały do własnej córki; Beatryks sztyletem przecięła pasmo niepokojów. Czemu zabiła ojca — nie siebie? Pytanie to jedynie w egoizmie życia znajduje odpowiedź. Wtedy nie kochała jeszcze nikogo. A chociaż później powiada, że „przeczcuciami dawno rozkochana w Gianim, w nim jednym, bronila *wierności*,” to wszakże przed

sądem zdrowo myślącego człowieka słowa takie nie mogą być żadnem usprawiedliwieniem. Ona pragnęła żyć, a mając w żyłach krew gorącą włoską, pragnęła rozkoszy; umierać więc było dla niej niepodobieństwem. Tak przynajmniej myślała. „Hekate okropna, ale „piękniejsza niż wszystkie marmuryz grobów dobyte”, miała odwagę anioła mściciela; — brat jej stchórzył — ona sama ojca zabiła i nie zadraża. Wśród chmary duchów żyje cała rodzina. Beatryks wychowała się w szkole okropności. Matka jej wyznaje: „warkocze moje pobielaly; oczy wpadły do sinych dołów, wykopanych zgryzotą, strachem, zgrozą i cierpieniem.” Furyje wiedźmy dom ten przekłety otaczają dokoła. Beatryks nabrała hartu stali i posągowości marmuru. „Jestem spokojna!” — mówi po spełnieniu morderstwa. Kiedy zrobiono zgiełk dla utajenia zbrodni, ona jedna „nieporuszona stała i ku ziemi trzymając oczy i pochodnię — jakby *posąg przeszłości*, na którego twarzy to, co obecne, nie zostawia śladu.“ Pośród zgrai lamentującej zachowała spokój i „surowe na ustach uśmiechy.” Poeta porównywa ją do sprawiedliwości „ważącój trupa krew na swojej szali.” Wyrzutów sumienia nie czuje; czyn swój uważa za zupełnie prawy. Ani jednego słowa żalu, ani jednę łzy...

Wtedy to zbudziła się w niej miłość. Spotkała oczy Gianiego w kościele, posłyszała wyrazy uwielbienia. Zatraskała się już o życie ukochanego; rozbraja brata walczącego z nim, mówiąc: „już dosyć krwi na mojej duszy.” Wstyd dziewicy walczy z ludzkiem uczuciem. „O bezwstydnal w żalobie słucham, czego nawet w bieli nie winnam słuchać” — powiada na gorące zaklęcia Gianiego. A jednak nie może się

z nim rozstać bez jakiegóś pamiątki. „Weź — mówi — tę gałązkę smutnego cyprysu, abys miał ubrać w co ostygłe ciało twego przyjaciela” — którego zabił jej brat Tomaso. Odtąd już uspokoić się jej niepodobna. Wysłała zaufanego, ażeby szukał jej kochanka, którego nawet nazwiska nie знаła. Każemu powiedzieć wszystko, tak jakby sama powiedziała, gdyby ją nazwał „czystą i niewinną;” każe tylko patrzeć mu w oczy i zapisywać w sercu, co jego „czarne oczy” odpowiadają; każe sobie kupić trucizny, jeśli Giani nie zechce uwierzyć, że „ona jest zabójczynią.” Zanim on jej nie potępi, nie chce, nie może umrzeć. Wszelkowiedza miłości uczyniła ją już niewolnicą...

Żyć w domu okropnie; wszystko krwi barwą dla niej się pokrywa; „chast skrwawionych” dotknąć się nie chce — woli umrzeć. Ucieka więc, sama nie wiedząc dokąd, jedną tylko ma myśl wyraźną, jasną — znaleźć ukochanego. Znajduje go. Ach! wtedy nie wie już co zrobić: rękami białemi targa swe włosy i oczy zakrywa; usta jej drżą; cofa się i znów niepewnym stąpa naprzód krokiem. Wszystko napróżno! — ona musi paść w jego objęcia; ona musi zawołać głosem złamanym dumy a rozszalałego serca:

Słuchaj, nie wiem, kto ty jesteś,  
Ale przez twoje ręce pragnę skonać,  
Ale przez twoje ręce — być zabitym,  
A przez twe oczy tak smutne — płakać,  
A przez twe serce czyste — przebaczoną...  
Czy ty masz sztylet? — o daj! o daj!

Sztyletu żąda, bo może w oczach Gianiego nie wyczytała miłości i przebaczenia, chociaż ją słowami o tym zapewniał...

Po tej ciągłej, wrzącej gorączce następuje strętwienie. Zwykły-to objaw u natur gwałtownych. „Jestem jak kamień — powiada Beatryks — najlepiej do serca kochanka przemawia grób.” Tu zadamy pytanie, dlaczego kochankowie porozumieć się nie mogli?... Czyż wina w tym jedynie popędliwego charakteru Gianiego — czy obojga tych dziwnych, namiętnych ludzi, którzy nie znają zwyczajnego kroku rozumowania — skaczą tylko lub latają po urwiskach... Pytanie to stawiamy przyszłym komentatorom *całego* dramatu — dla nas ma ono podrzędne znaczenie. Idziemy dalej. Beatryks sama przyznaje się do popełnionej zbrodni; w więzieniu przecież myśląc, że uratuje rodzinę, zaprzecza jej przed sądem! „Sumienie jej bezsenne” czuwa ciągle; marząc o kochanku, przywołuje myśli rozpierzchłe „jak gołębie w upał źródłanej wody upragnione.” Wyobraźnia stawia jej zawsze przed oczy obraz ukochanego. Beatryks mówi do Dorydy: „Powiedz, że mię tu widziałas *spokojną*, o nim myślącą i *pełną radości*... powiedz, że kocham go — jemu posłuszna; że czekam śmierci ale z jego woli, z jego rozkazu, z jego osądzenia, z jego wyroku.” Obfitość słów świadczy o gwałtowności uczuć w sercu Beatryksy: o nim jednym myśli, marzy, śni i mówi — jego słowa i wola wszystkim dla niej. „To mnie uczyni — powiada dalej — dla katów rzeczą cudzą, nietykalną i nieśmiertelną tak jak miłość moja.” Jednego lęka się tylko, gniewu Gianiego, — bo cóż ją świat obchodzi!...

Długo cierpieć nie może — woli śmierć najgwałtowniejszą ale szybką. Wystawiono w sądzie obraz zabójstwa jej ojca — wszyscy zdrżeli. Beatryks wo-

ła do rodziny: „Czy wy czekacie, aż z nas będą trupy pozabijane własnymi oczyma? Muie samą zimny zlal pot i rozstroił tak, że nie słowa mam w ustach, lecz jęki...” Gdy umrzeć już miała, zapragnęła mieć — żądanie kobiece! — różę. „Niech się napatrzę na kwiaty *spokojne*.” Tak gorąco wdychała do spokoju, który miał ją niezadługo utulić nawieki!...

Beatryks przed sądem wypowiada dumne zdanie, malujące całą jej duszę, korzącą się jedynie przed kochankiem i Bogiem; zdanie może dlatego tak samochwale, że od nikogo na świecie słowa pociechy usłyszeć się nie spodziewała. „Potępcie mię” — mówi — a

Na miejscu, gdzie krew moje rozlejeje,  
Postawcie ołtarz *białemu wstydowi*  
I z alabastru posąg przezroczyty  
A szyję jego krwią ocerwieniszty  
Zakryciejże perły albo lilijami;  
*A będzie-to Bóg nowy* — w nowym Rzymie.  
I to jest całą obroną Rzymianki!...

Prawda — społeczne zepsucie było wielkie, rodziny hodowały całe stada zmij jadowitych. Rzym potrzebował odnowienia; — ale w tym odnowionym Rzymie niepodobna znaleźć miejsca na posąg dla Beatryksy — jako *Boga nowego*... Nie ma do tego żadnego prawa; nad głową jej nie unosi się gwiazda natchnienia ni czynu. Raz z bezprzymtomą prawie energią błysnęła sztyletem i rzuciła go precz od siebie, stając się cieniem, „marą bladą.” Odtąd widzimy w niej istotę słabą, schorzałą, niezdolną już do niczego — oprócz do kochania; była prostém igrzyskiem wypadków a nie — istotą samodzielną. Tam zaś,



gdzie ludzie do czynu się budzą, potrzeba bogów energii — nie zaś melancholicznego marzenia. Beatryks będzie dla nas jedynie przykładem fatalności ludzkiego serca i ciała, powołanej do bytu przez działanie nieodwiecznych i zwykłych czynników, lecz nader szczególnych i wyjątkowych. Co więcej Beatryks byłaby może potworem, gdyby... nie to, że... kochała!

XV.

Aniela.

Piękność kobiety

Nie jest, jak mówi ksiądz, czartów utada;  
Lecz może, w duchu będąc, robić cuda....

Wspomnieliśmy już, że ostatnią miłością poety naszego była podolanka Aniela. Stała się ona wzorem do postaci kobiecej, jaką później w Beniowskim przedstawił. Aniela w rzeczywistości była dumna; laury, zdobiące głowę Juljusza, nie pochylały jej czoła ku ziemi; czuła się równą wieszczowi i chciała, żeby on równość tę uznał. Poeta, nieprzyzwyczajony do tak wyniosłych ze strony kobiet wymagań, silnie tym został podrażniony, a nie chcąc nigdy przyznać się do winy, zręcznie ją na innych przerosił. W wierszach (dwa sonety do *Anieli M.*) nazywa ją „zimną skałą” usta jej z szyderstwem „rozumniemi” mianuje, ciało — „marmurówem;” wyrzeka się jej miłości; w gwałtownem uniesieniu, które zdradza głęboko zranioną miłość własną, wypiera się, żeby kiedykolwiek jej „znak u lewej strony nosił.” Dumnie atoli podnosząc gło-

wę, nie umie pogardzić chłodno, obojętnie — ach! bo serce może po raz pierwszy w życiu dojrzałym odezwalo się biciem gwałtownym, niepowstrzymanem. To też łono poety „zamknięte” wre „ogniem i *zabością*,” serce swe „dzikie, smutne i szlachetne” chciałby „wyrwać z piersi i skąsać i precz odrzucić tę rzecz tak złańbioną” miłością kobiety, która myślała, że on „z tym ognistym sercem” nazwie ją „kochanką i *żoną*.” Wprzód nim miałyby je, „*zdeptać noga*,” woli poeta rozciąć swe serce „zimnym żelazem,” woli umrzeć, niż „białe marmurowe ciało” kobiety „owionąć ogniem,” żyć z taką skałą, jaką jest ona!.. Tak namiętną skargi nigdy przedtém nie wypowiedział poeta; nigdy słowo jego nie miało tej siły przekleństwa, jaką daje jedynie prawdziwe uczucie, z jakiegokolwiek powodu zawiedzione i złamane. Pomimo uniesień, pomimo niezbyt pochlebnych epitetów, czujemy, że poeta chętnieby „owionął ogniem zimną skałę,” gdyby ona tylko na to pozwoliła... Na głębi uczucia pomylić się niepodobna. Poeta został pokonany; ale do porażki swojej przyznać się nie chciał. Owinał się „w płaszcz rycerzy, którzy na bieli mają krzyż czerwony;” serce swoje złożył do trumny i... wyciągając ramiona ku lubej—przeklina!...

Taką była rzeczywistość — zobaczymy, jaki ona wpływ na poezję wywarła

W poemacie p. n. *Beniowski* Aniela występuje w dwu postaciach, które wśród zmienionych okoliczności odmienne są w szczegółach, lecz duchowo — ściśle z sobą spojone. Poeta miał widocznie przed oczyma kobietę rzeczywistą — nie zaś chimere fantazyi. Wprawdzie zwyczajem swoim otacza ją niekiedy mazycki rojem zachwyty, które w realnym życiu

nie mają nic sobie odpowiedniego; wprawdzie z jęj przyjściem „wszystkie kwiatki młode owionęły ją zapachem, pszczołki zaczęły brzęczeć, źródła i brzozy na spoczynek ją zapraszały a gołębie pod dachem turkać głośniej zaczęły—z jęj przybycia radośnie;”—ale są to rzeczy już zwykłe w poezji, która, posiadając niewyczerpane źródło życia, wszystko ruchem i czuciem obdarza. Lecz, w postępowaniu Anieli, a szczególniej w jęj słowach widzimy kobietę-dziewicę, prawdziwą córę społeczeństwa, wśród którego się urodziła i żyła.

Dziewczę—to „z białą szyją,” dumne i nieskazitelne. Chodziła „jako labędź lub anieli.” Nie była „strzelną” swemi żrenicami; jęj czarne, duże oczy były „pełne iskier” „paliły czoła.” Włosy długie, kruche „w róg zwinięte,” ręka — „piękna, małeńka i biała,” głowa miała „kształty święte i uświęcone snycejską powagą, smukłe, ku płecom w okrągłość ściągnięte.” Pięknością „bliższa jest Afrodyty”—taka lekka, że „na fale stawu wejść mogła i staw nierozbity nośliby nóżki jęj.” Barwy — „troszeczkę *bladaue*...”

Nie była-to atoli panienka prosta, naiwna; nie była-to gaska wiejska; bronić siebie umiała słowy i uśmiechem, znała się już na fałszywości ludzi i nie wszystkich darzyła jednakowém uczuciem; w jęj sercu przebiegłość kobieca nie stłumiła dobrych i szlachetnych popędów, ale nie dozwoliła rozrość się miłym kwiatkom bezświadomej ufności i czułościowego zaślepienia. Pozbawiona matki, musiała się uzbroić w odwagę samodzielnego występowania w życiu, musiała być „wszystkiem w domu” swego ojca; musiała się nauczyć światowych konwenansów i światowej obłudy. Nie-wiele na to mogliśmy z poematu przytoczyć dowo-

dów, gdyż Aniela pojawia się zaledwie kilka razy; zastanowimy się więc nad jednym tylko ustępem. Aniela wraca z *tajemnej* wycieczki, serce jęj bije gwałtownie. Myśli o tęp, „jak tę psotę” ubierze w wymówki; różane usta przygryza zdradliwie, ze spuszczonej oczu błyski „w bok miota;” patrzy się trochę „smutnie i trochę fałszywie;” przygotowuje serdeczny uścisk dla ojca; dla guwernantki — pocałunek „podobny pokrzywie”—wreszcie jeden ukłon niski

Dla pretendenta do obrączki ślubnej,  
I z tym ukłonem uśmiech treści zgubnej...

Widzimy tu dziewczynę przebiegłą i płochą na pozor, zwłaszcza kiedy się dowiadujemy, że panna Aniela widywała się tajemnie ze Zbigniewem (Beniowskim) „jak różę, co się nad mur przęgną

I mimo czujne ogrodowe stróże  
Zerwania chłopiąt i dziewęząt ulegną...

Lecz to złudzenie tylko. Dla zwyczajnych zalotników jest „jak skała” (Porównać Marylę Mick.)

Albowiem nigdy nie kokietowała  
Dlatego tylko, aby mieć ze trzysta  
Kornych koehanków pod wachlarza trzonkiem,  
Z którychby żaden nie chciał być małżonkiem.

Jeżeli przebiegłą była, nauczyła jęj tego miłość—miłość prawdziwa, serdeczna; nie miłość „romansowa,” mająca swe źródło w rozognionej wyobraźni, w dumie, w wyrachowaniu, w skrzywieniu naturalnych popędów. „Serca w miłości są uparte” — mówi Słowacki. Jest-to jedno z najprawdziwszych jego spostrzeżeń.

Ono tłumaczy nam i Anielę. Kochała Zbigniewa wier-  
nie, wytrwale, niczém się nie zrażając — chociaż była  
dumna. Nie mogła zrozumieć, co to przywiązanie  
z musu; co to ulega fatalności wypadków. Gdy He-  
lenka (wiesniaczka młoda) opowiadała jój „jak to  
wstyd długo rumieńcem malują, gdy *pan* obejmie stan  
i pocałuje” — Anielę krzyknęła:

Co? czy nie masz noża?

Ja ci przysięgam w imię Zbawiciela,  
Że, gdybym sama była śród rozdroża,  
A była za mną przepaść i topiela,  
Pełna gdzieś na dnie ognistego morza;  
Skoczyłabym w nią przedź, niżby kto mnie...  
Nie, nie—nie można żyć po takim sromie!

Wszystko poświęcić gotowa dla obrony własnej go-  
dności. Mężna, słowami rzuca na nikczemnych jak gromem.  
Dreszcz oburzenia przejmując ją na wspomnienie  
swego konkurenta (Branickiego). Fantazyja nasuwała  
jój obrazy pełne grozy dla jój duszy dziewiczej:

....Ona słyszała, jak on ją wywleka  
Z komnat dziewiczych; jak myśli — jaszczurce  
Pozwala lazić po niej, jak ją płami,  
Mówiąc o wdziękach brudnemi ustami....

To też przyjmuje go słowami pełnemi gniewu  
i pogardy. Gdy się raz zbliżył, nie widząc jój, a wi-  
dziany, ona go pyta: „Dlaczego na mnie za drzwia-  
mi szczechasz, a gdy ja stanę w oczy, to uciekasz?”  
Czuje się wyższą od niego; panuje duchem... Przypo-  
mina sobie Helenkę: „Helenko — rzuc mu w oczy te  
pieniądze,” za które wstyd swój sprzedać musiałaś.  
A do Branickiego:

Przysłał ci mój próg domowy  
Pokazać palcem, byś szedł precz z dziedzińca  
Do twego króla-pana — bez gościńca!

Tak-to w jój piersi spoczywały gromy wulkanów,  
które się palą wewnątrz i tylko kiedy niekiedy ogni-  
stą słów lawą wybuchają, tresć swoją zdradzając. Lecz  
jeżeli ma gniew, oburzenie, pogardę, przekleństwo dla  
niegodnych jój miłości jako kobiety i obywatelki; to  
drodzy jój sercu doświadczają wszystkich radości  
szczerego, prawdziwego uczucia. Jest dobrą dla swego  
ojca, dla swój starój piastunki Diwy, dla biednej  
i nieszczęśliwej Helenki. Gdy tę ostatnią zabito, roz-  
pacza jak siostra i jak matka. Przyzywa jój najczulsze-  
mi słowy, całuje i pieści, upokarza się przed Bogiem,  
prosząc o cud zmiłowania. A gdy wszystko napróż-  
no, uznaje w niej równą sobie. (Trzeba przywołać do  
duszy obraz panny *starościanki* i.... *chłoptki*) „Jakże  
ją do mnie — powiada — ta śmierć przybliżyła; zda  
mi się, że to moja siostra miła!”

Ale najlepszą już była dla tego, którego ukocha-  
ła. Nie można powiedzieć, żeby Zbigniew nie był jój  
godzien; w każdym razie nie dorósł wysokości skali jój  
uczuć. Ona musiała być dla niego wszystkiem — „i  
siostrą i matką i służącą.” Zbigniew jest biedny;  
i z powodu swego ubóstwa nie doznaje należnego sza-  
cunku u spółobywateli. Uczucie Anieli potęguje się  
jeszcze:

Nie strasz się! Jesteś ludziom w poniewie rec;  
Lecz ja cię koeham *jedna* — ja mam serce.  
Straciłeś cały majątek? — i cóż mi  
Majątek? Ludzi sąd? — ja koeham ciebie!

Ja kocham ciebie! w twojem sercu żyję!  
Kto nas rozdzielić chce — ten mię zabije!

Wloką ją przed ołtarze, zmuszają do nienawistnych ślubów; lecz ona ma siłę oporu; nawet bez słów pociechy ze strony kochanka ona wszystko zwycięży; sama echa wyrazów własnych słuchać będzie i pomyśli, że tak mówi kochanek. Będzie to zapewne złudzenie miłości — ale nie chorobliwy sentymentalizm. Ona wie, że kochanek powinien jej dodać nadziei, wesprzeć ją gorącemi słowy — a tymczasem widzi przed sobą posąg niemy. Wszystko mu przebaczyła, ale jej smutno. Bolesć złamała jej giętką postawę; usteczka różane zbladły, uczuwszy „gorzkich łez piołuny;” ostatni już tylko dobył się jęk: „Kochasz mię jeszcze?” O tém jedynie upewnić się chciała — i upewniła.

Czułość atoli nie zabija w niej energii.

Zamknięta w sobie, wyrobiła w sercu swoim siłę, wyzywającą do walki świat cały. Miłość jej wielka, olbrzymia; ale i poczucie siły — olbrzymie. Beniowski przyszedł zwrócić jej słowo, bo jest biedny i bez nadziei („pół Donkichota a pół króla Lira”). W pionowych słowach Anieli grzmi duma i .. tętni miłość: Co? — rzekła głosem cichym, lecz strasznym i dzikim:

Po toś przybył i mnie z domu  
Kazał dziś witać siebie pokryjomu,  
Abym słyszała, ja, która tak wiszę  
W powietrzu, jako ta smętna kaskada,  
Abym słyszała to, co teraz słyszę,  
Że skąła, z której ja leczę — upada!

Więc i ty na sercu kaleka,  
Nie mogłeś wiary zrodzić w serce moje!

O! trup ty! stój-że ode mnie zdaleka  
Bo ja się próchna i robaków boję!..

A ja go czekałam tak długo — myślała sobie Aniela — i cóż mam teraz? — Stoję jak nad przepaścią, sama jedna i opuszczona wiecznie! Więc serce moje mię zawiodło! Pokochałam trupa, którego zawsze elektryzować muszę, ażeby iskrę życia na chwilę z niego wy dobyć! I nie mi już, nie nie pozostało na ziemi... Chciałam się oprzeć o puch ulatujący w powietrzu; chciałam stawiać gmach szczęścia na pajęczynie... Okropność!! Stracić wiarę w człowieka, którego się kochało, to najśroźszy cios, jaki kiedykolwiek w życiu spotkać nas może, to śmierć duszy, stokroć boleśniejsza od śmierci ciała; to powolne kamienienie z całą świadomością przyszłej martwoty...

Lecz serce jest uparte. Aniela nie chce wierzyć ażeby to, co mówił Zbigniew, pochodziło z serca, z własnego jego postanowienia. Musi być inna jakaś, okropna przyczyna:

— bo ta sina

Bo ta wychudła twarz i *te łachmany*,  
Na które patrząc, strach mi głos ucina, —  
Są przecież ludzkie; — a ty jak szatany  
Zimny, choć oczy twoje lżą zabiegają,  
Masz w skrzydełach oczach coś nieczłowieczego!

Sili się na przypuszczenia. Może Beniowski jak anioł potępienia zbuntował się przeciwko Bogu? może wyparł się wiary?... Ach! w tej chwili strasznój, w której nie widziała nikogo, coby ją mógł pocieszyć, zmrożona milczeniem Zbigniewa, pobudzona nadzieją wydarca z jego duszy jakiej tajemnicy, Aniela woła w uniesieniu:

Choćbyś ty wodzem był upiorów dżumy;  
 Choćby na twoich piersiach była sroga  
 Śmierć, jako piorun przychodząca boży  
 Głowie, co na twój piersi się położy: —  
 To kiedy patrzę na świata pustkowie...  
 Czuje, że to jest jedyne wezgłowie  
 Ta pierś obłana moich łez potokiem...

Natłok tylu wzruszeń, śmiertelny zawód, jutro  
 bez słońca, śmierć marzona w samotności: wszystko  
 to zaległo główkę Anieli jak szarańcza — jęknęła biedna  
 i padła zemdlona...

Na tém się kończy szereg rysów, jakie można zebrać z poematu. Pozwalają one nam wnosić, że Aniela byłaby jedną z najpiękniejszych postaci w poezyi naszój, gdyby ją Słowacki wykończył i wycieniował. Widzimy tu po raz pierwszy u Słowackiego miłość prawdziwą, której źródłem — serce a nie rozum lub wyobraźnia; widzimy duszę zahartowaną w przeciwnościach, nie poprzestającą na ogólnikach; pomimo nieszczęść — pogodną, choć smutną; potężną w słowach, któremi gromi nikczemnych i słodzi życie ukochanym; umiejącą działać stanowczo i energicznie. Ostatnia scena mogłaby wzbudzić podejrzenie, że Aniela jest czémś w rodzaju Aldony: sercem rozkrwawioném i niesamoistném; lecz poprzedzające szczegóły, taka np. scena z Branickim może nas przekonać, że jest-to chwila jedyne słabości. Gdy ujrzy się samą, potrafi znaleźć w myśli o kraju lekarstwo na zawiedzione uczucie; potrafi żelazną wolą swoją zapanować nad bolesnemi drgnieniami serca...

## XVI.

## Dyjana.

Me lzy są jak perły Amfitryty — bom obrażona we łzach.

Przedstawił ją poeta w jednej tylko sytuacji, która jest jakoby bliższém rozwinięciem owój chwili w życiu Anieli, kiedy ją ojciec przymusić chciał do wstrętnego małżeństwa. Szczegóły tylko i motywa są inne; grunt charakteru jest ten sam. Zestawiamy więc te dwie postaci, tém bardziej, że „Niepoprawnych“ napisał Słowacki prawie równocześnie z „Beniowskim“ (około r. 1841).

O zewnętrznej jój stronie wiemy niewiele: „czarne oczy“ stanowią łącznik pomiędzy Dyjaną a Anielą. Że piękną być musiała, to nie może ulegać żadnej wątpliwości. Rodzice stracili majątek i jedyny ratunek widzą w zamążpójściu Dyjany za bogatego hrabiego. „Nędza trupia,“ pokostowana złotą farbą, zmusza ich do namawiania córki. „Cóż ty zrobisz? — mówią jój — pójdziesz-że z torbą po kawałek chleba a nas starych dwoje ze Stellą za tobą grać po kawiarniach w Kijowie na harfie?“ Propozycją odrzuca Dyjana ze zgrozą: „To miecz — wola — trucizny dajcie! Sama nóż wyostrzę i sobie gardło poderzę po ślubie!“ To był głos serca, głos natury. Ale zemdleńie matki, rozpacz ojca, płacz Stelli (siostry młodszój) zmuszają głos ten do milczenia. „Wezmę krzyż — krzyknęła jak obłąkana — bo widzę, że tu w domu na to rosla!“ A więc precz marzenia! Dyjana jest już na sprzedaż! Drogo jednakże okupić ją musi ten, co sięgnąć się po nią waży. Majątek — to rzecz najmniejsza: gorzkie słowa sarka-

zmu dostaną mu się w zamian za oświadczenia. Bo Dyjana jest dumna; pod ruinami gmachu stoi jak kolumna ostatnia i trzyma wysoko swe czoło!... Patrząc na aktorstwo matki i zbladłą twarz ojca, co się do ludzi uśmiecha, czuje całą okropność nędzy domowej, walczącej ze światem; czuje również, że jest na targowicy, że jest przedmiotem wymiany handlowej. To też gdy Fantazy, ów hrabia, drwi z wszelkich form grzeczności a miłośnej komedii odegrywać nie myśli; oburza się całą dziewiczością serca, które ma swoje pamiątki gdzieś daleko w krainie wiecznych śniegów i krzyków mogiłnych... „Wiem—mówi—że ojciec daje *mnie* tobie; a bierze twoje pieniądze.” Okropna-to świadomość, rozdzierająca naraz wszystkie iluzje. Ale Dyjana nie upada pod brzemieniem rzeczywistości. Zna swoją godność. „Wcale po kupiecku zbliżyłeś się pan po towar—mówi do Fantazego.—Gdzież łokieć i gdzie są szalki? Nie może mu darować tej śmiałości. Dlaczegożby miała się poniżać? Jój posagiem jest jój ciało. Więc gdyby duszę nawet kładła naostatku, traktując tylko o siebie na funty:

To jeszczeby mi ust jasne korale  
To jeszcze oczy te, co straszne bunt  
Podnoszą, ogniem i łzami ciskając,  
Kazały dumną być w targu i trudną!

Ty masz złoto, hrabio, a ja mam droższe nad wszelkie klejnoty pamiątki po przodkach: całą szlachetność i całą piękność ich myśli! Srogą ironiją, poczerniętą z głębi duszy zranioną boleśnie, nakazuje milczenie zarozumiałości i nieokielzanej pysze:

Więc, żeś ty wzięty, — powiada —  
Żeś w okolicy sławny, żeś się ludzka

Miłość za tobą goni, żeś pomięty,  
Jak dziwna jaka perła kałakucka,  
Tém droższa, że ma kształt nieodgadnięty  
I do perły jest niepodobna wcale,  
Ale jest jako *monstrum diuine, dragie*:  
To już myślałeś, że ja się zapalę  
Do tego dziwu jak dziecko ubogie,  
Pierwszy raz brylant słoneczny widzące  
Na twój koszuli!...

Przeprowadziwszy hrabiego przez różgi sarkazmu, powiada mu, że wtedy dopiero przychyli się do zamążpójścia, gdy się wszyscy mieszkańcy wioski zwrócą do niej jakby do bożego anioła; gdy już męką żadna nie będzie mogła wyratować ludu; gdy Bóg jedynie z jój nieszczęścia ofiary zażąda... Tak, wtedy ciało moje posiędziesz; ale wara od duszy! „Duchowi memu dała w pysk i poszła!” — wyznaje sam Fantazy.

Dyjana wyratowaną została od tego okropnego losu; razem z ukochanym swym drogę życia przebiegać będzie. Ale tę stronę pozostawił Słowacki w cieniu — malować chwil pogodnych nie lubi... W Dyjanie mamy pierwowzór do mnożstwa innych postaci, które powieść nasza z mniejszym lub większym powodzeniem kreśliła. Dziewica szlachetna, kochająca, postawiona pomiędzy dwiema fatalnościami, nie waha się szczęścia własnego poświęcić dla szczęścia rodziców i siostry. Jezeli jój duma rani cierpkimi słowy cynicznego fantasty; to oko, pełne dobroci i słodyczy, zwraca się ku ukochanemu. Wypowiedziawszy, co jój leżało na sercu, co jój nakazywała mówić prawda, milknie—i cierpi w milczeniu. Ranę zadaną okrywa szatą obojętności, by jój nie profanowały oczy ucywilizowanego gminu...

## XVI.

## Idalijska.

Ach! jak łatwo złączyć miłość z szaleństwem!...

Sentymentalizm XVIII wieku, który w istocie swojej był po większej części obłudą jedynie, w nowej ukazał się formie za czasów poezji romantycznej. Wyobraźnia pełna nocnych cieni, krzyżów cmentarnych, widziadeł, czarów, duchów i księżycowych promyków, działała na serce w sposób, że tak powiem, przydatkowy, to jest nie zmieniała gruntu uczucia, ale lubiła je stroić w mniej lub więcej fantastyczne akcesoryja. Bez błyszczących lub ponurych dekoracyj nie rozumiano żadnego zachwytu, nie słyszano choćby najgłośniejszego bicia serca... Taki już był charakter chwili. A chociaż sam Słowacki uległ wpływowi tych wyobrażeń i najczęściej je przedstawiał; to gdy poznał miłość prawdziwą, czysto-ludzką, zaczął je wysmiewać... Wszakże i w szykanach owych czuć jeszcze jakby dalekie echo pewnej sympaty; co się nader łatwo wyjaśnia poprzednią zależnością od sentymentalno-fantastycznego sposobu uczucia i myślenia. Najlepszym tego przykładem jest najdoskonalsza zarazem postać z „niedokwasów sere rdzawych” zrodzona—Idalijska.

Przedstawia ją nam poeta dwojako: raz słowami dawniejszego kochanka Fantazego, drugi raz własnymi wyrazami i czynami Idalii. Jest oczywiście pewna różnica pomiędzy jednym a drugim przedstawieniem; trudno bowiem wymagać, ażeby sama Idalijska nazwała się „czystą duszą, rodzajem pani Stael t. j. machiną parową, piszącą listy i t. p...” Takię abnegacyi ze

strony miłości własnej niepodobna się spodziewać. A znowu słowa Fantazego są zbyt sarkastyczne; zbyt nacechowane rozdrażnieniem, ażebyśmy ich o złośliwą przesadę posądzić nie mieli. niesprawiedliwość jest ich podstawą, pewna lekkomyślność, lubująca się w dźwięku słów szyderycznych—ich rdzenia. Odczytując słowa Fantazego, musimy dużo z nich odrzucić na rzecz tych dwu właściwości, z którymi się co krok spotykamy. Poeta sam nie chciał zapewne Idalii na zupełną śmieszność narażać, gdyż w usta kładzie jej wyrazy pełne siły, choć niekiedy paradoksalne; w poglądach zaprowadził pewne podobieństwo z bohaterką dramatu: *Dyjaną*; w rzeczywistości czynów prawie żadnej komicznej strony doszukać się nie można.

Musimy ją określić słowy Fantazego: Oczy — „dwie czarne plamy atramentu na prześcieradle białym.” Kto prześcieradło to sztyłem zbroczy, popelni— „wielką poezyją;” gdyż Idalii potrzeba koniecznie rany; usta jej stworzone do picia trucizny. „Jęj talija jest do połowy z mgły; druga połowa bez kości, sprężyn, samą siłą skrętu idąca naprzód.” Najpiękniejby wyglądała, mając rozdarte serce lub sumienie... Kochała się w kwiatach i gwiazdach; modliła się „do miesięcznego blasku;” chodziła nocą po cmentarzach, pustkowiach... Czekala miłości, jak okręt na piasku czeka wód przyływu; lecz „żądane burze nigdy ją z ziemi zabrać nie przychodzą.” Zatopiona w uczuciu, w niem złożyła swą wiarę, swą przyszłość. Lubi otoczenie pełne wspomnień lub fantastycznego uroku — w ciemności nocy wszystko olbrzymieje... „O jak mi dobrze było — powiada — *na poświęcił granitów rzymskich*— z pochyloną głową nad nim (Fantazym), oddychać ró-

żami Cezarów i widzieć, jak się w tym człowieku *rodzi nowy ideał wieków, pełen czarów*, który mu całą przyszłość rozpodzi, jeśli nie skala się tém ludzi błotem i nie zapragnie spić się moszczem wina." Nie cierpi rzeczywistości z jój prozą, obłudą, złotem, „gospodarką,” która na wszystko wyznacza czas i miejsce; gniewa ją porządek, prawo, małość ludzi... Wszystko blade—powiada—każdy jest panem, paniczem i chłystkiem, każdy od kuchty swego bierze radę; a gdy coczyni „to siebie się pyta, czy kamerdyner się tam gdzie na boku nie śmieje!...” Wzgarda, ogromna „wzgarda — błyskawica” w jój sercu dla wszystkich, co pełzają po ziemi jak robaki, nie śmiejące podnieść głowy ku gwiazdom. Niczem jest dla niej świat ze wszystkimi jego przesadami; przekracza konwenanse, gardzi opinią parañjalnych gęsi i gąsiorów — tych gadzin, co „rozsądkiem *przeciw egzaltacji świszczą!*” Ona przywykła już do obmowy; nie jój zranieć a nawet dotknąć nie może. Każdy wypadek choćby najstraszliwszy gotowa przywitać uśmiechem albo śmiertelną bladością... Czuje się wyższą nad te serca przedajne, dla których miłość i wiara są pustym brzmieniem, romanssem; a kiedy same w romans wpadną — to ten „kawał błota” jak żyd na koniu wychudłym się kiwał! Więc miałyby zważać na ten kawał błota, ażeby się samąj nióm obryzgać! O! raczej samotność, głucha pustynia, rozmowa z księżycem, pocałunki ze strumykiem, uśmiechy z kwiatami; żelazne okowy; tortury!... Jedynem dla niej prawem jest serce. Tego od wszystkich się domaga. Chee tylko wiedzieć, że jest ktoś, co myśli o niej, co jój modlitwą, westchnieniem pomaga skrycie; że nie jest duchem osamotnioną. „Ludzie myślą — powiada szy-

derezo — że prócz sińca nie ofiarować nie można kobiecie. Jeżeli nie dasz ręki — daj modlitwę; myśl twoję zawieś tak jako rybitwę nade mną — sercem bijącą, krzykliwą!” Tém sercem powodowana, pragnęłaby cały majątek swój dać, ażeby tylko ochronić Dyjanę od pofalszowania swego uczucia: szlachetna! dzieli się, czém może; spótczucie w duszy swój chowa dla każdego cierpiącego; i nie tylko w słowach je objawia, lecz w czynach. Afront zrobiony swojej sąsiadce (porwanie przez kałmuka i krompromitacja) bierze na siebie sama, z własnej woli, bez prósb z jednej, bez wymówek z drugiej strony. Zdaje się, że na to świat ten ujrzała, ażeby cierpieć, winy innych na siebie przyjmować i nie mieć lepszej nagrody prócz śmiechu. Zakończyła już rachunki ze wszystkiem, nawet ze swoją miłością dla Fantazego. Śmierć przyjmuje jako rzecz zwyczajną; tylko, jak zwykle, chciałaby jakiegoś gromu, błyskawicy, jakiegoś elektryzującego słowa, coby jój dodało odwagi do przeniesienia swych uczuć za grób... „O znajdź, znajdź — mówi do Fantazego — jakie słowo większej mocy, aby mię w ciemnej śmierci *rozmiłować!*” Zawsze drga jedna i ta sama struna; nie jój umilknąć nie pozwoli; z pęknięciem jój ustanie życie... Gdy Fantazy, odjeżdżając mówi do Idalii:

Brat twój, hrabino, —dziś do Rzymu ruszę  
I sądzę, że twe serce, najtaskawsze  
Z serc, po królewsku obejdzie się ze mną,  
Mniej *bioreq*, niż dać mogę;—

ona odpowiada poprostu:

Cheeż szacunku!



Rozgorączkowana, rozidealizowana, nigdy nie mogła i nie umiała mówić ni działać jak ludzie zwyczajni; wystrzelając nad nich umysłem, nie potrafiła zachować należytej granicy w ocenie swoich współpraców; posiadając duży majątek, gardziła temi, którzy dla zdobycia go *pracować* musieli; zamknięta w sobie, nie znała dobrze stosunków świata i fałszywe o nich miała wyobrażenie, poczerpnięte z pojedynczych wypadków, wyolbrzymionych ognistą fantazyją... W każdym atoli razie była-to dusza najszlachetniejsza—fałszywie nastrojona. Napotkała człowieka, który, również jak ona szukając ideału, wystawiał ją na próby, i sercem chorem chcąc odnaleźć prawdę życia, chybiał i trafiał sztyłem wprost w piersi ukochanej. Cierpiała może wiele; lecz więcej daleko boleści przynosiła jęj wyobraźnia! Jeżeli już nie miała żadnej nadziei, sama sobie po części była winna, że ją utraciła....

Typ podobny ze strony już czysto-humorystycznej przedstawił Słowacki w *Dafnickiej Sybilli*. Zawsze w górnych przebywając sferach, nie cierpiała ona pospolitości. Karmiąc się „książkowemi strawami“ nie rozumiała życia. Raził ją każdy wyraz nieelegancki, niesentymalny. Tak np. książkę Lubor, który „tyle miał par butów co konceptów“, dowodził raz, że *kluski* z drugiej strony Renn zowią się *pedenony*—

Z czego ją wtrącił w taki gniew, że z miny  
Piorunem była, a ze zroku furją.  
Bo to już wzięła za wyraźne drwiny,  
Nie za dowcipu różę, lecz nasturją.

Kluski nazwała *larmami z faryny* <sup>1)</sup>  
A księcia... blaznem: bo sprowadził z gór ją  
*Wyższego tonu* i tonem Polaka  
Przymusił *zawsze bladą*—upiec raka.

Zwykle chodziła jak „wulkan wygasły, mając na głowie wielkie sople z lawy.“ Książd ją spowiadał „chudy;“ „maż opasy nie miał z nią bardzo dawno żadnej sprawy!...“ Jest-to sentymentalizm XVIII wieku z całą jego śmiesznością i obłudą. Wszystkie bowiem owe czulości i ekscentryczności były tylko zewnętrznym pokostem; pod spodem swobodnie się rozwija gruba, pospolita zmysłowość, płytkość duszy a oschłość serca. Klóćąc się z księciem Luborem o „larmy z faryny;“ szło jęj głównie o skokietowanie wziętego człowieka. Lubiała z nim samotne schadzki „na wzgórze w kaskadowym pyłe i w różach...“ Historyja jęj — zresztą bardzo krótka — kończy się ucieczką z księciem.

Jest-to jedyna może całkiem humorystycznie narysowana postać kobieca w Słowackim; wykonana sylwetkowo — odpowiednio do jęj natury, która nie daje możności do obszerniejszego traktowania, gdyż nie ma w niej żadnego głębszego rysu. Raz na nią spojrzawszy, można było zbadać najskrytsze tajniki tęj duszy wymokłej i chudęj....

<sup>1)</sup> *Lzy z maki.*

## XVII.

## Inne kobiety.

Pominieliśmy kilka sylwetek lub zaledwie naszkicowanych postaci, które dla dokładności i zupełności obrazu choć wylczyć nam wypada. Nie stracą one bynajmniej w braku bliższego określenia, jeżeli wskażemy typy główne, do których się mniej lub więcej zbliżają. Jest bowiem rzeczą godną uwagi, że Słowacki tak obfity w stwarzaniu charakterów niewieścich, niewielki kładł nacisk na ich różnorodność; a powtórę, że, kochając się w rysach oderwanych, które umiał świetnie przed czytelnikami rozwijać, prawie nigdy nie wykończył swoich postaci, z jednej je tylko strony ukazując. Wprawdzie sąd ten o wiele złagodzić może ta okoliczność, że utwory Słowackiego, mianowicie pośmiertne, doszły nas w stanie ułamkowym: brakuje może scen najważniejszych, które mogłyby dać pole do głębszych nad kreacjami jego refleksyj:—ale i w poematach za życia pisanych podobne niedokładności zauważyć nie trudno.

Z tych właśnie powodów niektóre postaci przedstawiamy tylko ogólnikowo. Tak np. o *Alinie*, siostrze Balladyny, cóżby się dało więcej powiedzieć nad to, że była białą, dobrą, niewinną; że kochała szczerze nie złoto ani zaszczyty, ale osobę samą, że wyrzekłaby się nawet własnego szczęścia, — oddałaby dzban malin, gdyby ją siostrzyczka ładnie poprosiła. Jest-to postać w zasadzie ta sama co Lilla, Amelija i t. p. Nie zmieniając w niczym słów, możnaby podobnie określić *Salomeję* (w dramacie *Horsztyński*) z tym tylko do

datkiem, że w niej podobieństwo do Amelii jest jeszcze większe: o ile bowiem domyślać się należy, stosunek jej do Szczęsnego był taki, jak Amelii do Zbigniewa. Kocha młodego człowieka; ale wie, co winna mężowi, chociaż niewidomemu; pobożna, unosi myśl ku niebu, błagając je o pomoc i wytrwałosc na ciernistej drodze życia; dziecinna i naiwna bawi się np. obrazkiem, przedstawiającym jakąś świętą, która białą liliją nderza lwa po nosie!... Poslušna, szczęśliwą jest, gdy mąż daje jej jakie polecenia....

W słowach znowu *Amelii* (w tymże dramacie) słyszymy dźwięk poświęcenia, szczeręj pobożności, ale zarazem i dźwięk trzeźwej myśli, co ją zbliża z Dyjaną albo z Anielą. Kocha brata nadewszystko. „Gdybym nie była twoją siostrą — powiada do niego — to musiałabym zostać twoją narzeczoną... albo mniszką...” Przypatrując się jej bliżej, możebyśmy zobaczyli pewien, głęboko skrywany odcień rozpaczy bezwiednej—smutno jej, a nie widzi jasno przyczyny tego smutku, tej boleści tajemnej, jaka dręczy biedne jej serce... Ironija brata nie zraża Amelii; z pogodnym czołem słucha jego namiętnych tyrad. Miłość jest cierpliwa....

„Słaba, sucherlawka” *Agnieszka* (w dramacie *Złota Czeszka*) jest najrealniej ze wszystkich u Słowackiego przedstawioną postacią kobiecą. Urodzona w małym miasteczku, wychowana przez rodziców bez żadnego prawie wykształcenia, nie posiada wcale idealno-romantycznych zapędów. Rysem charakterystycznym jest upór zarówno w drobnostkach jak i w rzeczach wielkiej wagi np. w sprawie zamążpójścia. Rodzice chcą ją wydać za „drewnianego człowieka w aksamiacie” — ona z całą energią dziewiczego wstrętu odrzu-

ca niemilego konkurenta, témbardziej, że już wybrała sobie ukochanego, z którym się potajemnie wieczorami widuje... Oto wszystko, co o niej wiemy. Zresztą jest mało mówna; pamiętamy tylko te słowa proste, ale ważne: „Weź sobie mama ten kornecik z różami—ja niczego nie chcę! ani prezentów, ani czego. Tylko zostawcie mnie w spokojności! Czy ja wasza niewolnica? czy ja wasz haman? Czy ja sobie nie mogę kupić pokoju? Zostawcie mię, zostawcie, zostawcie!... Powiedz mama... że ja siebie zabiję i pana Gąskę (konkurenta) otruję!...“ Dziewczę pomimo słabości ciała miało duszę energiczną...

Nie myślę wyczerpywać całego spisu nazwisk, jakie we fragmentach napotykam; niepodobna atoli pominąć mileżeniem jedną z najśliczniej chociaż przypuszczalnie tylko skreślonych postaci, jaką jest *Syberyna* (we fragmencie dramatu *Krakus*), dzikie dziecię przyrody, wychowane wśród śniegów i lodów. Jak człowiek pierwotny, wszędzie widzi żywe istoty. „Tys mi pokazał wczoraj tulipan—mówi do ojca—myślałam, że to jest duch ze złotemi oczyma, w głębi swego serca żywy; wczoraj dotknęłam się listka pokrzywę i ukąszona biłam ten kwiat ręką...“ Czysta, wstydliva, choć ogniem miłości już przepelniona, „jak kwiat nieotwarty a pełny woni w zatuionych liściach.“ Zalotność i miła do pewnego stopnia obłudą przebija się w tej niewinnej dziewczycy. Ojciec, przyjechawszy do kraju Lechów, miał dla niej wybrać męża i w tym celu kazał jej udawać niewidomą. Rozkaz wypełniła z całą swobodą i wprawą, która zdziwiła samego ojca:

„Ojce, gdzie czolo?  
Gdzie drzwi? Ja, ojeze, nie widzę“—i prosto

Patrzała w oczy mi gwiazdami dwoma  
Rozwidnionemi ogniem i uśmiechem....

Od tej napół sennój, napół rzeczywistój postaci łatwe mamy przejście do istot, zaludniających świat fantastyczny poety.

## XVIII.

### G o p l a n a.

Wspomnieliśmy już o smutném, grobowém fantazyjowaniu Słowackiego, mówiąc o *Kseni* i *Eloe*, które możnaby jeszcze dopełnić obrazem wiedźm i djablic; obecnie zwracamy się do krainy blasków tęczyowych i mar mglistych ale oświeconych słońca promieniami. Ograniczę się tu jedynie na przytoczeniu jednego najwydatniej narysowanego obrazu — państwa *Goplany*. Państwo to zaludnione tysiącem duchów złych i dobrych, które posłuszne są skinieniu królowej. Musimy cokolwiek rozkołysać fantazyją, pozwolic jej poigrać swobodnie, zapomnieć o surowych prawach rozumu — by się wtajemniczyć w ducha poety. Poznajmy jego wymarzony światek, mieszkańców i zajęcia. Będzie to rodzaj intermezza, pełnego snów i złudzeń, pomiędzy aktami poważnego dramatu. Oto jest program robót publicznych:

W puste żołędzie

Wkładając jaja motylce — to pomagać mrówkom,  
Budującym stolice i drogi umiatać  
Do mrownika wiodące — to majowym krówkom  
Rozwiązywać pancerce, aby mogły latać —  
Kobiety.

To zwiadać pszczelne ule i z otwartej księgi  
 Czytać prawa ulowe lub rotę przysięgi  
 Na wierność matki pszczelnej od zrodzonej pszczółki,  
 To na trzećni jeziora zwoływać jaskółki  
 I uczyć budownictwa pierworoczne matki.

i t. d. i t. d. Roboty tajemnicze, wnikające w najzawilsze prawa przyrody!... Mieszkańcy tego światka nie znają przestrzeni i czasu, wszędzie wcisnąć się mogą niewidzialni; nie dla nich jako niemożliwość się nie przedstawia. Królowa jego „lekka i gibka“ wytryska z wód Gopla.

Na niezabudek warkoczu  
 Wiesza się za białe rączki  
 A stopa po fal przeczoczu  
 Brylantowe iskry skrzusza.

Zakochała się. Kiedy pewnej zimy usnęła „na skrysztalonem łożu,“ światło jakiegoś ze snu ją oencilo. Rybacy rąbali w jeziorze „przełomkę“ i jeden człowiek wpadł w wodę. Ten człowiek wydał się jej pięknym tak, że chciała go zatrzymać na wieki w zimnych pałacach i „nie rozwiązać z wieńca ramion i przykuć łańcuchem pocałunków.“ Lecz zaczął konać — musiała go wynieść i oddać rybakom. Tęskniła i czekała wiosny. Jak każda kobieta, zaslepiąca była co do swego lubego. „Kwiaty—powiada—to nie przy jego licach; gwiazdy gasną przy jego jasnych oczach — Ach! kocham, kocham!“ Był to Grabiec-pijak. On nazywa ją „wywiedłym schabkiem“ „głupią,“ plecie niedorzeczności—a Goplana słowa jego „wonnemi“ mianuje. Zazdrosna o każdą inną kobietę, dysze namiętnością (jeżeli może być namiętność w istocie z „mgły i galarety“) na wspomnienie, że Grabiec widuje się wieczorami z Balladyną. Grozi mu śmiercią, gotowa zwalczyć wszelkie przeszkody. „Choćbyś miał księżyc za ślubny pierścionek, to ja go rozlamie!“—woła, oświadczając zarazem, że jest fal królową. Grabiec ucieka, krzycząc: „Jezus Maryja, szatana żona, chce być moją żoną!“—a Goplana w rozpacz. „Niech słońce gaśnie, niechaj gwiazdy toną w bezdrożne niebo! niechaj róże więdną! Co mi po słońcu, po kwiatach, po gwiazdach? Wolę je stracić, niż kochanka stracić!“ Całej swjej potęgi nadziemskiej używa na to, ażeby Grabca przy sobie zatrzymać. „A jeśli on mnie kochać nie będzie?“—pyta sama siebie w zwątpieniu—

Cała  
 W mgłę się rozplynę białą i spadnę łzami  
 Na jaki polny kwiat i z nim uwiędnę.

Nie mogąc ukochanego przejąć dla siebie miłością, zemstę mu przynajmniej gotuje. Zmienia go w wierzbę płaczącą. Lecz cóż jej po bezdusznem drzewie? Obiecuje mu wszystko, czego tylko zapagnie. On chce być królem dzwonkowym „w koronie, z jabłkiem w lewej, z berłem na prawicy.“ Goplana każe djablikom pożyczyć purpury u zorzy, pereł u róży, szafiru u chmury, złota ze świtu; a nie tęczową zawieszoną gdzieś w niebiosach pochwyć i okryć nią Grabca jak płaszczem. Wreszcie dała mu prawdziwą koronę Popielów. Ale w ciągu tej miłości zaszyły płątaniny w życiu politycznym narodu, których główną; najważniejszą przyczyną była Goplana. Tak poplątała ludzkie czyny, że bogu-mścicielowi należało tylko „wziąć grom i upuścić na ludzkie dzieła i winy.“ Musi więc uciekać w okropną krainę, gdzie słońce

„jak gasnący żar,“ gdzie księżyc jak twarz upiórów...  
Rozstaje się więc ze wszystkimi, którym rozkazywała;  
oni jej towarzyszyć nie mogą; a sama żegna nas słowy:

Gdy się zórawie podniosą,  
Uchwyćę się szarfy końca  
I w błękit polegę blada!  
Błada jak księżyc od słońca,  
Lekka jak liść, co opada.  
Leż nad mury gnieźnińskiem  
Leżą, zaśpiewam smutne pożeganie ziemi!

Czar się rozwił. Prysł obłok — jak w Faucście Goethego. Znikły mary — igraszka naszój wyobraźni. Chwila zabawy minęła. Obudziliśmy się ze snu dziecięcego, do którego ukolysał nas fantastyczny duch poety. Wracamy do rzeczywistości.

XIX.

Kobiety Mesyjaniczne.

Chwilę jeszcze zawieszeni będziemy nad ziemią, w krainie potęg cudownych, mar znikłych ze świata, wszechmocy i anielskości. Coś niewidzialnego wiąże nas przecież będzie z matką przyrodą, zmuszając po za fantastyczną dekoracją domyślać się zakulis zwyczajnego życia... Drobne szczegóły musimy pomijać, ażeby nie znudzić czytelników...

Na czarnoksięski rozkaz poety zjawia się przed oczyma naszemi „róża z jerychońskiego ogrodu między obce ludy przesadzona“ — róża, obdarzona silnie roz-

budzonym ruchem i wszystkimi blaskami Wschodu. Jest to *Judyta* — żydówka i chrześcijanka, namiętna kochanka i nieublagana fureja. Czoło „wykąpane w ptasim gołębicy mleku,“ oczy „z których bije razem żar i noc i dzień,“ perły ząbków w różane usta oprawne — to mała cząstka tych przymiotów, któremi władać nad ludźmi umyśliła. Ale ma w sercu swoim moc Jehowy, co —

„jak spojrzy — to się góry poklonia!  
A jak błysnie — to ślepota na ludy!  
A jak zagrzmie — to się groby odsłonia,  
A jak ściechnie — świat się cały odmieni,  
A skrzę rzuci — to świat będzie z płomieni  
I w słoneczne się ognie roztraśnie

Ona kieruje losami mieściny, w której się zawarła garstka bojowników; ona gromy rzuca i ognie rozpala; ona zemstą dysze za miłość podeptaną... Wprawdzie są tam czysto-ludzkie sprężyny, wyjaśniające jej kroki; ale tak głęboko ukryte, tak owinięte w mistycznych słów przedzę, że ledwie domyśleć się ich można. W duchu Judyty są „błyskawice, co świat cały mogą spalić,“

Bo oto ja telnęła na pole — powiada —  
I chorągwie zaezęły się walić  
I wasz duch leży na dole  
Podobny węzłowój chmurze;  
A ja tu stoje na górze  
I podnoszę zematy ramię  
I nogami go depeć i lamie!

Jest to coś nadziemskiego, coś niezwykłego w sercu dziewicy. Podziwiamy ją jako rzadki fenomen; ale nie czujemy najmniejszej sympatii! Napelniona mocą

boską, gardzi ona ziemskim pyłem — wierzy tylko w księdza Marka — mistyka proroka, który ją z chrześcijaństwem i chrześcijanami pogodził.

*Salomeja*, również „udarowana mocą przez ducha” — jest Aldoną, przemienioną w anielicę. Prosta szlachcianka, uwiedziona i opuszczona przez bogatego panicza, dostaje obłąkania i dni parę w śnie letargicznym przepędza, marząc o krainie jakiegś bezbrzeżnej, gdzie była jedna tylko „na śniegu plama — okropna, czerwona.” Obudziwszy się, widzi swego uwodziciela, który nieszczęściami i cudami przygnębiony, obiecuje jej szczęścia zarazem, biorąc ją za żonę. Ani w miłości ani w obłąkaniu Salomei nie dostrzegamy żadnych rysów nowych, któreby ją od Aldony wyróżniały — oprócz chyba tego snu tajemniczego i tych potęg niewidzialnych, jakimi Słowacki zaludnił świat rzeczywisty. Setki prześlicznych wyrażań i porównań, mnóstwo obrazów mglistych, przerynanych od czasu do czasu iskrzącymi snopami światła; wytwarzają szereg nigdy prawie niekończących się wrażeń, które nawalem swoim nie pozwalają bliżej się przyjrzeć rysom przedstawionej postaci. Jakos nam nie swojsko w tym świecie, zimno i czczo...

Nie można tego w zupełności powiedzieć o *Księżniczce*, dumnej i kapryśnej kobiecie, która wyszła tajemnie za prostego kozaka Sawę; ale nie wprzód została naprawdę jego żoną, aż przedstawił dowody swego szlacheckiego urodzenia... Wprawdzie i tu niepodobna pochwyć wszystkich uczuć falujących w sercu tej kobiety; niepodobna odgadnąć głębi jej natury, gdyż jest otoczona wpływami cudownego pochodzenia: błyskawicami, piorunami, duchami i tajemniczymi zme-

rami; w każdym atoli razie są w niej cechy czysto kobiece. Uparta, gdy ją ktoś błaga, wybucha suchym szyderstwem; gdy obojętnie na nią patrzy, rzuca mu się na szyję... Szlachecka duma, zabijająca ironija, lekceważenie całego swego otoczenia; groźne słowa lub mileżąca pogarda — oto uczucia i czyny, króremi niezbyt powabne życie swoje urozmaica. Rzecz godna uwagi, że, podczas gdy inne osoby dramatu, zgodnie z ówczesną manierą Słowackiego, u Kalderona zapożyczoną, palą sążniste tyrady, nieraz po kilkaset wierszy, księżniczka mówi zdaniem stosunkowo dosyć krótkimi; co właśnie przyczynia się w znacznej części do jaśniejszego jej określenia. W powodzi bowiem słów często muszą się napotykać sprzeczności, obrazy niewyraźne, przesłonięte chmurą jakiegoś otrętwiałego marzycielstwa; w mniejszej ich liczbie łatwiej bezporównania utrzymać równowagę. *Salomea* jest mgławicą; *księżniczka* — słońcem do połowy tylko zasuniętym mgłami.

Najwybitniejszą jednak postacią mesyjaniczną jest *Pycha* (w *Królu Duchu*). Poeta wówczas nabral siły, wyraziłości, skupienia i plastycznej werwy w wyrażań, wyrażeniach i obrazach szczegółowych. W żadnym dawniejszym poemacie nie ma takiej energii słowa, takiej wykończonyj plastyki w przedstawieniu pojedynczych osobistości i przedmiotów. Po większej części obrazy tu są okropne. W jednej np. *ośmiowierszowej* strofie spotykamy takie wyrażenia: „płomienne drogi,” „z mieczem i we krwi przychodzę” „węzami związany” „gad kuszący się w nodze” „z ognia jasnych u kolan kajdany” „pastwiąc się ogniem i lancuchem.” W innej znowu: „moce istności ska-

radnej" „i ognie i gady i tych gadów twarze" „siła zagładna zatęchła w ciała żelaznego czarze" „krew żółcią zepsuta i zgnila" „lzy, jady, śliny, smoly, ognie ciekły." Doprawdy poeta przedstawił to wszystko, co „piekłem jest w kształtach natury..." Wśród takiego otoczenia, które dreszczem czytelnika przejmuję, ukazuje się płomienna postać *Pychy*, biednej wdowy po zmarłym pastuchu. Chciała się ona pozbyć wspomnień, „wiesniaczego brudu" i stać się duchów „okropną królową." Dążyła do sławy, potęgi; mniejsza o to, jakimi środkami. Twarz miała „niby jakiej płomiennicy mieniającą się ciągle — to bledszą od miesiąca, to żółtą jak oliwa, to czarną „jak miedz." Tę głowę Meduzy, „prometeanki polskiej" jak ją poeta nazywa, przykrywał korab' złoty, udający syońską bożnicę, wznoszący się jak wieża — „znak słowiańskiej pychy."

Gdy aniołowie przyszli do Piasta w odwiedzinę, ona podsłuchiwała ich rozmowy ciekawa „jak wąż w trawach utajony," zarzuciwszy na ów korab' fartuch swój gruby, czerwony z krokosowego drelichu. Mąż ją zawołał. Pycha obeszła w milczeniu dom, potem niby wracała z wioski do swojej chaty, udając, że nie wie o świętych odwiedzinach. Aniołowie chcą błogosławić ich dzieci; ale sprzyjają tylko młodemu jasnowłosemu Ziemowitowi — zlewają nań ogień boży. Pycha kochała swego czarnego djabelka — Wodana; zawrzała gniewem tajemnym, ujrzawszy jego uposiedzenie. Powzięła zamiar zuchwały. Usiadła przy ognisku „jak upiór" — i wosk i cyne w ogniu topiła. Potem wzięła Wodana za rękę, drżąc cała, nakryła go fartuchem. Zgasiwszy świecę, poszła do łóżka Ziemo-

wita i przed dzieckiem własnym „włócząc po izbie kolana" z główki jego jasnej wzięła ducha bożego. Żebraczka straszliwa „ogniami wstępu na twarzy rumiana" chciała się wypełnić światłością nadziemską; — niczem nienasycona, im więcej bierze, tém chciwiej pożąda. Dokonała wreszcie kradzieży; uczuła się silną w duchu; wzięwszy więc Wodana za rączkę — uciekła. Niepokój nią miotał, lękała się kary bożej, w biegu nieraz obracała głowę w „powietrze mgliste," myśląc, że kto woła. Biegła, a —

Przed nią mgła, wieher, potępienie, strata,  
 Los niedzowny i czas niepowrotny;  
 Wrota od ludzkich chat pozamykane...  
 Noclegiem wieńce kurhanów ceglane.  
 Przed nią i za nią trzody mrą i dzieci  
 Przed nią i za nią śmierć — a ona leci....

Nabiera straszliwej odwagi. Duch boży wzmacnia jej potęgę. Wbiega na cmentarzyska opuszczone, kości „laskocze," a ile jeszcze ma ducha nagi szkielet, to przechodzi na własność Pychy. Więc teraz już nie sama; „światlika grobów" jak niewolnicy lecą za nią, same chcą wzięć, ogniem rozwalając mogiły. „Tam z pod kurhanu skrzydło złote błyska, tam duch kobiece skrzy *siarozaną rózę*; ona te kwiaty zrywa, wiąże w słowa i leci..." Urosła w dumę „jak orzeł dziki;" czuje w sobie *siłę bożą*, która światem zawładnie. Ale potrzebuje ziemskiego ramienia, nad któreby wzięła „ster ducha tajemniczy." Świat wprawdzie stoi przed nią zlekniiony; — ale sama jedna nie zrobić nie zdoła. Udaje się więc na świętą górę Zober; czarnoksiężskie potęgi, tam ukryte, uznały jej moc, gdy ją ujrzały „z ogniem lub ptakiem na głowie" wróżącą „wśród mgły

i zamieci." Zbrojna w te siły, przywołuje na pomoc cesarza Ottona, który zjawiwszy się, żąda dowodów jej władzy nadziemskiej: chce, ażeby na czas pewien całe państwo polskie skamieniało — potem odda się zupełnie pod jej kierownictwo. Pycha zgadza się; wchodzi do groty, próbując „głosów runianych." Pieśń ciężka, podziemna, wspaniała napelnia „kamienną trzewa góry" — słowa były potężne, „ołowiane." Nastąpił czar: wszystko w jednej chwili przemieniło się w kamień, zachowując stanowisko i pozę, przy jakich zakłęte zostało.

Nie mogę nie przytoczyćchoć kilku cudownych obrazów tego skamienienia, w których poeta dowiódł takiej siły plastyczności, jakiej dotąd nigdy nie rozwinął. Są tam nawet rysy piękności kobiecej, z chwil ukochania i niewinnej swawoli, które dla malarstwa i rzeźby najwdzięczniejsze mogą stanowić temata.

Druga wchodząca w kryształowe źródło  
 Oddech w nią ustał, a zostało życie  
 I wstyd... bo jedną ręką srebrne stroje,  
 Ostatnie piersiom dziewiczym zakrycie,  
 Trzymała silnie, ku piersiom je cisnąc  
 Drugą dłoń miała na wodzie...

Nie tylko ona, lecz nawet ciekawe  
 Te rybki, które wszelką białość neęi,  
 Skrzelki czerwone i łuski złotawe  
 Pokazywały na dnie wód; snem zdjęci  
 Motyle wodni, gdy na nóżki zjawę  
 Lecieli, teraz do nóżki przypięci  
 Wstążką błyszczącą na dnie wód świecili  
 Jak tęcza do nóg przypięta Dziedziłji.

A najpiękniejsza (co się nawet zdarzy  
 Królowemu) cała złęknioma i drżąca  
 Widać giernkowi pozwoliła twarzy  
 Na chwilę tylko — już uciekająca...  
 Giernek też usta, gdzie ogień się żarzy,  
 Przybliża... koral już w alabastr tręca  
 Już... wтім stwardnieli w piękność monument u,  
 Ustom jednego zabrakło momentu...

Rzekłbyś, że Dusza i Miłość <sup>1)</sup> zjawione  
 Drugi raz w głębi ezarownego dwora  
 Oboje w jedną pochyleni stronę:  
 On ku niej... ona do ucieczki skora.  
 Nie tak jednakże, aby usta one  
 Nie miały w mroku wonnego wieczora  
 Czuć co słodyczy; wszakże się nie nagnał;  
 Ona ucieka — usta jeszcze pragną...

Prosimy artystów o odczytanie pierwszych 18-tu strof pieśni trzeciej z rapsodu trzeciego w *Królu Duchu*. Pomyśl i szczegóły do ilustracji najzupełniej gotowe — idzie jedynie o wykonanie.

Ziemowit, obudzony przez anioła, idzie z lampą po kraju i wraca czucie uspionym. Czar, rzucony przez Pychę, znikł w jednej chwili; ona sama wstrzęsła się cała „w jakimś otrupieniu;" zbladła okropnie, napróżno wołając po imieniu duchów — one jej nie odpowiadały. Jeden anioł „globowy, rumiany" wstał i wojsko Ottona i moc Pychy w nicłość obrócił. Ziemowit słyszał jęk matki w górze wśród płomieni, stanął i wołał ku niej: „Matko, gdzie jesteś?" Żadne echo nie powtórzyło słów jego; widziała tylko ciągle jasność purpurową na szczycie tajemniczej góry Zober. Szedł

<sup>1)</sup> *Psyche i Amor*, znane podanie greckie.



w ten ogień a wtém głowa matki ukazała się „na przeciwradle ognistej purpury” jak blada „trupia plama,” bez rąk i piersi:

Usta otwarte miała, a z otworu  
 Ust — jakby ciemność i strach wylatywał;  
 Twarz zielonego jak trupi koloru  
 I oczy zmarłe, z których strach przesywał.  
 Straszna zjawila się nad sznmem boru,  
 Włosy strach podniosł, a wicher rozrywał;  
 Potém ją jasność z oczu syna zjęła,  
 Nie nie wyrzekła — straszna — i zniknęła....

Anioł „globowy, rumiany“ zwyciężył ducha ciemności, który jak tchórz nikczemny, *strachem* przejęty, bladł i jeszcze bladł i truchlał. Prometeanka polska własnego syna się przeleżała; grobowém milczeniem ukarana, zesza ze świata—okropna, zielona...

Zachwycamy się przepyszna formą. Jest-to jedna z najsilniej wkorzenionych w sercu ludzkim skłonności. Wielu poświęciłoby treść i ducha dla ramek, brylantami wysadzanych. My się pomiędzy nich nie wliczamy. Oddając należny pokłon językowi, wyrażeniom, obrazowaniu wogóle, pytamy z zadumą, jaka pozostanie karm duchowa dla nas po przeczytaniu ustępów poematu, gdzie obraz Psyche został przedstawiony.... Długo czekamy na odpowiedź i w końcu... nie dostajemy jej wcale. Mesyjaniczna wiara Towiańszczyzny nie przemawia ani do serca ani do umysłu naszego; odbiegliśmy daleko od pojęć przez nią wygłaszanych. W życiu rzeczywistém szukamy swoich ideałów; w krwisto-chmurnych sferach, bolesnie-senném marzeniem wytworzonych, przykro nam przebywać; wprawdzie widzimy tam

nie tylko ducha, ale i ciało; szkoda jednakże, że trudno nam uwierzyć, ażeby w tém ciełe taki właśnie duch przebywał.

## XX.

## Zmysłowość.

Idziemy dalej. Spotykamy rzecz wyjątkową u Słowackiego: kobietę przedstawioną ze strony czystozmysłowej. Zarysowana poprzednio Violetta i Grafini były tylko bladym cieniem w porównaniu ze świeżą karnacją, z ognistém tchnieniem, z gorączką krwi, z konwulsyjnymi drgnieniami, jakie poeta teraz odmalować zamierzył. Wprawdzie i tutaj są, jak zwykle, sylwetki tylko, ale kontury ich — jasno odznaczone: widać w nich pozę i giest. Jest to zjawisko dziwne i uderzające w Słowackim: idealista, fantastyk, lubiący przepędzać najpiękniejsze chwile w świecie urojonym, naraz staje się kompletnym realistą. To jednakże dodać potrzeba, że i tu nie potrafił się pozbyć nadzwyczajnego otoczenia i nie zgodził się na udrapowanie swoich bohaterek w szaty codziennych wypadków. Postaci jego są-to wyjątki w życiu pospolitém; ale wyjątki odmalowane realnie. Jednostronność i tu również towarzyszy Słowackiemu. Wystawia zmysłowość prawie na włos nieuduchowioną. „W głębi dziewicznych ciał” — powiada — „są jakies błyski, *szmery krwi, szelsty*,” które się budzą „Bóg wie jak.” Jedna z dziewic „lonem tak śnieży, że aż oczy mruży... świętą się zdaje, jednak myśli pali; pierś jej świecąca w o-

*bląkanie wprawia*, bo śniegi są na piersi, pod śniegiem—opoka.“ W tych i w kilkunastu innych wyrażeniach streszcza się wszystko, co pod tym względem powiedział poeta; ale już ztąd widzimy, jak gorąco umiał odczuwać powaby działające potężnie na zmysły i jak plastycznie potrafił je opisywać. Było to bezwątpienia natężenie chwilowe, spowodowane zwrotem do realizmu, a spotęgowane bliższem wczytaniem się w poezyje wschodnie, a mianowicie w „Pieśń nad Pieśniami.“ Że to ostatnie twierdzenie nie jest urojeniem, sądem z wiatru poczerpniętym, przekonają się czytelnicy z dalszego ciągu. W tém miejscu przytoczyć muszę zdanie o małżeństwie, z téj właśnie epoki, które o wiele lepiej scharakteryzuje jego ówczesne usposobienie, aniżeli długie wywody:

.....Małżeństwo jest jako czeresnie;  
Wprzódy je wróble oskubują złodzieje;  
A potem człowiek zjada nadgryzione.  
Niech żyje wolna miłość!....

Zdanie to porównane z zachwykami miłości idealnej, jakie „W Szwajcaryi“ czytamy, jest prawdziwem bluźnierstwem. Szekspir włożyłby je w usta Falstaffa, człowieka złożonego z mięsa i z sadła... Pośpieszamy zapewnić, że jest-to wyskok tylko jednorazowy — nie prowadzi on za sobą żadnych konsekwencji!....

Pojedyncze postaci, z których dwie są najwybitniejsze, wyjaśniają powyższy zarys ogólny.

Na koniu, na którym było także „papa liche ciało,“ z pistoletem i szablą, pojawia się przed nami *Hudyma*, jedna z bohaterek rzezi humańskiej. Młoda, śmia-

ła, rumiana „jak brusznicza,“ usta miała jak karmin, oczy czarne jak szatana, brwi także czarne „jak piórka zgubione przez kruki;“ w uszach dwie wielkie perły dymie:

Wiszą, zdeje się, że lzy ruszałezane  
Kapiące cicho po jagód karminie,  
Zmrożone, białe, świeże i świetlane....

Piersi krągłe „a takie chłodne jakby z marmuru.“ Śmiechy jej były tak głośnie i śpiewne, jak „w lasach kłody jękną nimfy drzewne, a potem echo gra kaskadą dużą tonów...“ Wyższa nad wszystkie „dziewice dorodne,“ wesola, chociaż gotowa na mord, bo krew umiała „rozlewać“ jak wodę.“ W czerwonych butach, przy ostrogach, na wzgórzu „wydawała się wielkim dragonem.“ Rozbójniczką przedtém była na wielkich drogach „nad limanem,“ nigdy nie postąpiła na pańskich progach i nigdy może z panem nie rozmawiała. Dzika, szalona natura, śmiejąc się i wykrzywiając lubieżnie, zabijała. W naszych oczach jednego w piersi kulą uderza a drugiemu sięga grzbietu szablą. Śmiała się „za siebie,“ pewnie w parobku jakim rozkochana — objaśnia poeta. Jak widmo czerwone zjawia się i znika, pozostawiając po sobie wrażenie rozszalałej Menady... W krwi zboczona, wściekła, rozkoszowała się dymem, z żywych ciał ludzkich wydobyłym. Straszny ale prawdziwy obraz kobiety zezwierzęconej uciskiem, roznamietnionej zmysłami, upojonej wolnością mordowania... Jak rozwiana wiatrem pochodnia pożogi, tak *Hudyma* ukazuje się wśród walki, z groźbą utoczenia krwi jasnym panom, z rozdeptanymi nozdrzami, chwytającymi chciwie zapach posoki świeży, gorący. Rozno-

sząc spustoszenie, nie zastanawia się nad jego skutkami; jęć miło, że burzyć, niszczyć, mordować jest w stanie. Wolność ją oszłomiła, upajając pychą dokonanych czynów i bezkarnością. Mściwą jest na podobieństwo wód, zalewających uprawne i kłosem zdobne pola; czy zniszczywszy je, sama nie umrze z głodu — nie pyta... Senna bezświadomość, ślepotą powodzenia, brutalność popędów, których nic nigdy nie ulagodziło — oto pierwiastki jęć duszy, które ją zamieniają poprostu w mechanizm, odbywający swą czynność nieubłagannie, fatalnie...

Więcej ogladzony chociaż nie mniej zmysłowy obraz wystawia nam poeta w *Krystynie* — Sulamicie i Dalili zarazem. Było-to za czasów Bolesława Śmiałego. Król sprawował sądy. Ukazuje się nagle cudna dziewczica. Bolesław myślał, że „jakiś płacz idzie bezbronny.“ Oczy czarne błyszczały jak zorze; z nich szły „niby błędne, rozpalające ducha promienie.“ Na ustach koral „z najświeższych szkarłatów;“ na licu bladeść, „która mówi: wędne, chcąc być na słońcu a ukryta w cieniu.“ Włos brunatno-złoty, na samém czole „własnym zwity pętem“ błyszczał „jak gwiazdą — jednym dyjamentem. W uszach pierścienie; szaty królewskie. W rękę nosła dwa „wianki kwiatowe,“ z których jeden był naturalny a drugi „sama składała ręką,“ bo „tchnienie dziewicze“ pomogło jęć w otwarciu „sere schowanych w purpurze“ i w złoceniu oblicza lilijom białym. Stanęła przed królem i tak przemówiła:

Mieszczanka jestem, z kupca urodzona;  
Miasto wie całe, zem prawie szalona,  
Boż jest odcażną na nieznanie czynny.

Zadaje Bolesławowi zagadkę Salomonową: który wieniec ona zrobiła, a który uwity został z kwiatów naturalnych. „Wstyd rozczerveniał ciemną twarz“ króla; musiał szukać ratunku w pszczołach, które rojem obsiadły wieniec, zrodzony przez kurhany. Krystyna, opadnięta, przestraszona, biegła na króla „w pszczołach, niby w gwiazdach.“ On wziął ją z powietrza na swoje łono „jak ogień“ i chwilę czuł, jak jęć przestrasz mrozi go — a „miłość płonie.“ Nagle odrzucił „tę mieszczkę“ od łona jak węża i z krwią, błyskawicą w oku krzyknął: by jęć znalaziono męża a dano poaga; ojcu odrzucił ją omdlałą i rzekł:

Nie kapez mi ciałem jasnym tej dziewczyzny,  
Bo aniołowie ci zapłacą piekłem!...

Krystyna poszła za mąż; ale nie porzuciła myśli o królu, który napróżno chciał żądę natrętą a piekącą odegnać sumieniem i drwinami... Wśród nocnej włóczęgi, szukającego zapomnienia i spokoju, dolatuje głos „dziwnie gorący i młody.“ Był-to głos *Krystyny*.

O przyjdź — śpiewała — bo gołębi stadem  
Wysyłam na wsze wiatry ognie moje.  
O przyjdź — z kwiatami czekam, z winogradem:  
Na łonie białem złożę i upoję!  
O przyjdź! — miesiąca i złodzieja śladem  
A otwórz ciele, jak anioł, podwoje.

Gwiazdy zlezyłam idące na niebie  
A ciebie nie ma, mój piękny i młody....  
O przyjdź! w płomieniach cała czekam ciebie!....  
Jestem pierzehliva, jako młode żrebię;  
Jestem jak jagnię najsmaczniejsze z trzody;  
Jak gołębia jestem nieobronna,

A jestem jak kwiat rajski cała wonna.  
 Nie znajdziesz, czego nie obiecywała;  
 Lecz obiecuje, czego dusza pragnie.  
 Przyjdź! a lichtarze złoście zapalę,  
 Zakadzę drogin wonnym cynamonem  
 A jeszcze jaśniej przez mych ust korale  
 I jeszcze śnieżniej zabłysnę ci łonem....  
 Cicho jak ogień szep taj—bo mię strzegą....<sup>1)</sup>

Kłamstwo było w pieśni, ogniem i burzą wewnętrzną przepełnionej, gdyż „nieszczersze jak owca i kwiat wabiła pasterza.“ Lecz pomimo to „dusza“ króla „wleciała w ogród zamknięty na małżeńskiejska-  
 le.“ Jakoż „babilońska królowa,“ okradłszy małżonka z klejnotów (przypominamy sobie Kupea Weneckiego), schroniła się w ręce Bolesława. Wyszła z okna „w miesięczną osrebrzyne“ i prawie stanęła na dachu, rumieniać dachówki „światłami“ swych oczu: „nogie stawiała na blaszanych smokach, jak duch na srebrnych widmach i obłokach....“

Z zakresu miłości czysto-zmysłowej jest-to może najgorętszy obraz, jaki w poezji naszej oryginalnej wykazały się dało. Niczego tu nie brakuje: ani powabów ciała, ani wonnej, upajającej atmosfery; ani głosu syreny; ani pociągającej ponęty zakazanego owocu... Ogród zamknięty „na małżeńskiejska-  
 le“ został otwarty; wkraśl się złodziej, który pozrywa wszystkie jabłuszka... Płomienie otaczają nas zewsząd; jesteśmy nad wulkaniczną przepaścią, wpadamy w nią. Nie już nie zdola okiełznać zmysłów potęgił....

<sup>1)</sup> Wyrażenia i nastrój pieśni żywo przypominają „Pieśń nad pieśniami“ (*Scir Haszirim*).

Poznajemy w tém Słowackiego. Kocha się w ostatecznościach. Z fantastycznego idealizmu przerzuca się odrazu, bez przejścia, w krańcową zmysłowość. Nie ma stopniowania. Bolesław przeklina wprawdzie swe zaslepienie; ale go nie żałuje, bo oprzeć mu się nie potrafi. Jak elektrycznym strumieniem—związani, skrupowani jesteśmy płomiennym kolorytem poetycznego malowidła: zostajemy pod zaklęciem czaru, jak owo skamieniałe państwo Popiela... Potrzeba nam głosu „globowego anioła,“ ażeby w nas równowagę uczuć przywrócił. Tym aniołem będzie budząca się w nas świadomość, że rozkiełznane podrażnienie zmysłów nie może być ideałem szczęścia na ziemi; że wymagania ducha są równie silne jak popędy ciała....

\* \* \*

Opisaliśmy lub wliczyliśmy 30 postaci kobiecych i wiemy, że spis nie jest jeszcze zupełny. Są w utworach Słowackiego urywki, które przy bliższej i szczegółowszej rozprawie mogłyby się stać jakąś małą ale świetną cząstką ogólnej całości. Słowacki był płodnym; kreacje jego atoli mają w sobie pewną monotonię. Ogólnie biorąc, jest on poetą *fantastycznej* strony w naturze kobiecej. Tę cechę wspólną z różnemi odcieniami smutku, melancholii, zbrodni, sentymentalizmu, chorobliwości, obłąkania—noszą na sobie: Kseni, Eloie, Aldona, Rogneda, Maryja, Laura, Anna, Beatrix, Balladyna, Alina, Lilla Weneda, obie Amelije, obie Salomeje, Judyta, Idalija, Dafnicka Sybilla, Księżniczka, Pycha, wreszcie Goplana. W szczegółach są-to natury różne; zarówno w stopniu natężenia

namiętności, jak i w stopniu szlachetności lub nizekności dopełnianych przez nie czynów;—w zasadzie, w sposobie przedstawienia, w tle ogólnem są jedne i te same. Najważniejszym czynnikiem w ich duszy, składającym do czynów, barwiącym uczucia, nasuwającym myśli, jest *fantazyja*; w niej się one kąpią jak świetlane rusalki lub w płomieniach goreją jak eumenidy. W niektórych wydostają się na wierzch jeszcze inne czynniki i te właśnie starałem się scharakteryzować przy rozbiorze pojedynczych postaci. Skutkiem takiej organizacyi wewnętrznej w uczuciach ich panuje rozstrój, smutek, boleść albo namiętna żądza czegoś—ładź, władzy, miłości, zadawania męczarni i t. p. Rozłamane na kawałki, nigdy harmonii w sobie znaleźć nie mogą i giną nieszczęśliwie lub się niszczą powolnym cierpieniem. Panując w krainie duchów, z rzeczywistością nie mogą sobie dać rady: ulegają jej nieubłaganym prawom, pomimo szalonego niekiedy oporu. Są to cudne, chociaż trujące czasami kwiaty, połamane nagłym natury gniewem... Wpatrując się w nie, *marzymy* nieustannie, mało kiedy *zastanawiamy się*. Porywają nas, zachwycają, przejmują zapalem, unoszą w sfery niedościgłe... Wróciwszy na ziemię, przypominamy je sobie jak sen ze wszystkimi odcieniami jego charakterystyki w różnych życia chwilach: zmęczeniem, urokiem, uśmiechem, łzą, przekleństwem... Poeta dokonał swego zamiaru: wzruszył nas, rozwał, nie mogąc przekonać...

Takich samych doznajemy wrażeń, odczytując ustępy przepelnione zmysłowością: Violetta, Grafini, Hudyma, Krystyna, jedne mniej drugie więcej rozplamią wyobraźnię, rozbudzają namiętne pragnie-

nia, przykuwają nas do siebie — na chwilę. Są-to piękne ciała. Bachanckim uśmiechem, filuterną chmurą na czole wabią ku sobie, lub też krwawem spojrzaniem, w którym jednakże domyślać się każą ognia rozkoszy, sztyletują śmiałków sposobem teatralnym, nie odbierając nadziei życia i użycia... Przedstawiają się one albo jak pozbawione zupełnie wpływu cywilizacyi, albo też zepsute jej rozkładowemi pierwiastkami. Zdrowego życia zmysłowego i duchowego trudno się w nich dopatrzeć.

To ostatnie znajdujemy w Anieli i w Dyjanie. W nich poeta ukazał walkę miłości, poświęcenia z własną godnością kobiecą. Natury stworzone do szczęścia, do spełnienia wielkich zadań społecznych, mające bogaty zasób wszystkich przymiotów, jakie ku temu selowi prowadzą; trzeźwo oceniające skalę sił swoich rzucone są w wir życia, w chaos uczuć. Potrzeba kochania przemawia do ich serc nagłym rozkazem; są jej posłuszne. Dla miłości poświęcają wiele: kochają całą pełnią uczucia, całą energiją duszy zdrowej i silnej; ale nie mogą przenieść spokojnie podeptania swych pragnień nejszlachetniejszych; i jeżeli nie czynem, to słowem energicznem, palącym, potrafią śmiało stanąć w ich obronie. Kochać umieją, poświęcić się mogą; ubliżyć sobie nie pozwolą. Wysoko podniosą głowę nawet wtedy, kiedy osamotnione zostaną; we własnej pierśi zaczerpną siłę do zwalczenia głupiej zarozumiałości nizekznego tchórzostwa. Dla nich życie nie będzie zapewne ogrodem pełnym pachnących róż i fijołków; kolcami nieraz sobie ręce i stopy rozkrwawią; ale—nie upadną. Ten jest wielki, kto bez obcej pomocy, jeżeli nie szczęście własne, to szlachetne dążenie

do urzeczywistnienia pewnych idei w życiu przeprowadzić zdola. Ten jest wielki, co gardząc podłością ludzką, jaką na drodze życia własnego napotyka, własnej sile zaufa.....

Odosobnione stoją takie postaci jak: Syberyna — dziecko lodów, i Agnieszka — dziecko małomiejskiego partykularza. Są to istoty wchodzące dopiero w życie; widzimy je tylko na chwilę; zaledwie im się jedynie przyjrzeć mogliśmy i najwydatniejsze cechy tych drobnych kwiateczków zauważyć. Uśmiechem je witamy i uśmiechem żegnamy... Życzliwość zaiste dobrego dla ludzi usposobienia towarzyszyć im może. — Wreszcie pięknie narysowana postać *Wdowy* zasługuje na wyróżnienie swoją naturalnością, swoją prostotą w poświęceniu, swoją potęgą miłości macierzyńskiej.

Jak widzimy, większość kraczyj poetycznych Słowackiego przedstawia się albo ułamkowo albo jednostronnie. Stwarzał cudne obrazy, zachwycał pysznymi barwami, zdumiewał językiem, co „Isni jak mój zajka, śpiewa jak słowiki,“ językiem, któremu równego nie ma w naszej literaturze, przed którym Mickiewicz musi uchylić czoła; przykuwał niekiedy naszą uwagę plastycznymi posągami swych postaci; — słowem posiadał wszystkie zalety, jakie wielkich poetów charakteryzują. Brakowało mu jednego: wykończenia i harmonii z samym z sobą. Stąd tyle dysonansów, tyle niewymotywowanych skarg, tyle szyderstwa, tyle przekleństw na jednostki, na kraj, na ludzkość całą. Jako wymowny wyraz zawodów, boleści, rozpaczy, szarpiących łono mas licznych — pozostanie Słowacki wielkim i lubionym. Zapominamy o szczegółowych powodach, jakie poetę do zrozpaczenia lub do mistycznej wiary

doprowadziły; patrzymy jedynie w serce własne, w serce ogółu; a znalazłszy tam mnóstwo istotnych przyczyn smutku, uwielbiamy tego, co słowem potężnym, grzmiałem jak huk piorunu lub łagodnym jak szmer liści potrafił objawy owego smutku wyśpiewać.

Obok jednakże takiego warunkowego uznania, nie możemy zapomnieć, że poeta nasz próbował również zarysować ideał dziewicy, jako przyszłej obywatelki. Myśl ta, jakkolwiek w wykonaniu nie przeszła granic szkicu, zasługuje na podniesienie, wzbudza szczerą sympatyją, pokazując w poecie chęć wpływu w kierunku nie już czysto-artystycznym, ale i społecznym. Budzenie samowiedzy w społeczeństwie, choćby się miało „do wnętrza trzew sięgnąć“ i krwi serdecznej utoczyć, będzie jednym z najważniejszych chociaż czasami i najboleśniejszych obowiązków, jakie utalentowana jednostka, wchodząc w życie, względem innych zaciąga. Nie powiadam, żeby Słowacki przeprowadzał podobne myśli zawsze i wszędzie; fantazyja za nadto go unosiła i wprowadzała na szlaki wymarzone, na których nie mógł się spotkać z poważnymi obowiązkami — ale zwracam tylko uwagę jego nieprzyjaciół, że myśli te nie były mu obce!... Oceniając poetę i jego twory, wszystkie zalety (jak i wady) uprzytomnić sobie wypada...

## Jak Krasiński pojmował miłość.

„Kto się poświęcił dla dobra ludzi, powinien o ich sądzie zapomnieć.“

„W walce z tępym piekłem świata, co się złości,  
Zawsze i wszędzie bądź siłą, co skłania,  
Nad śmierć silniejszą siłą ukochania,  
Bądź piekłem miłości!“

*Excelsior!* Wnosimy się na wyżyny. Duch poety jakby archanioł o skrzydłach ognistych wlatuje w krainę świetlaną przyszłości, pociągając nas za sobą siłą wielką, magnetyczną. Na niedościgłych prawie wysokościach zastawia nam ucztę wśród błyskawic, gromów, ulewnego deszczu i wschodu różanej jutrzenki. Powinniśmy zapomnieć na chwilę o naszych bólach i radościach jednostkowych, o naszych sprawach drobnych, codziennych — bo przed nami są kwestyje społeczeństwa lub świata całego. Dzieje narodów i wielkich grup socyjalnych z całą świętością powagi i z całą natarczywością rzeczy koniecznych wdzierają się w nasz umysł, ogarniają serce, ovladają duchem. Chcąc zrozumieć poetę, potrzeba się wyanielić — zrzucić szychowe świecidła dumy i zarozumiałości, pychy i samochwalstwa, komerażów i sporów dzie-

linnych, niechęci i nienawiści stronnicych;— a ubrać się w anielskie szaty miłości, przebaczenia, poświęcenia i ofiary, gdyż „z bólu zmartwychwstaje duch; z podłości tylko zmartwychwstania nie masz.“ W takim nastroju potrzeba się wczytywać w głoski tężowych myśli naszego poety, jeżeli go odczuć i zrozumieć pragniemy. Kiedy chłodny, z wyziębionem sercem wezmiesz do ręki karty ogniste; spalą cię swoim żarem, będziesz zmuszony upuścić je bezwładnie na ziemię. Nie dotykaj ich lepiej, może przyjdzie kiedyś i na ciebie chwila taka, w której znudzony jednostajnością i bladnością wrażeń, zbolały w duszy, zawiedziony w nadziejach, zechcesz zaczerpnąć sił nowych w rozważaniu promiennej przyszłości.... Wtedy możesz otworzyć księgę i czytać. Pójdiesz w tępą za naturalnym rozwojem myśli poety, wtajemniczając się w fazy jego twórczości. Bo i on cierpiał i on doznawał zawodu i on „jak Dante przeszedł przez piekło“—a jednak nie zropańczył, nie przeklął, nie znenawidził ludzi; lecz tępą silniej i goręcej ich ukochał, marząc o uszczęśliwieniu ich bytu, o wyprorokowaniu im przyszłości.

Z ogólnymi zadaniami społecznymi i politycznymi zaznajamiał się nasz poeta bardzo wczesnie, w latach swoich dzieciennych i młodzieńczych, w arystokratycznym domu rodziców. Salon ich był miejscem zetknięcia się wielu znakomitości społecznych zarówno w sferze praktycznego wykonywania ustaw społecznych, jak i w sferze teoretycznej propagandy. Pobyt w Warszawie właśnie w chwili agitowania się spraw, które dotykając pojedynczo społeczeństwo, pobudzały do głębokiego zastanawiania się nad ogólnym ustrojem socyjalnym, nad prawami, przynależnemi ludzkości. — przy-

niósł może Krasińskiemu (mającemu wówczas lat 12—16) choć dalekie dźwięki, niezrozumiałe w części, które później wróciły do umysłu jego jako wspomnień echo, zolbrzymione gwarem politycznych i społecznych ruchów, zdobywających sobie prawo bytu na Zachodzie, gwarem, któremu Krasiński zbliżyć mógł się przysłuchiwać. Upadek Napoleona i jego następstwo: reakcja w sferze pojęć moralnych, religijnych i politycznych (tak zwana „Réstauracja”) nastęrczały gotowy temat do burzliwych rozpraw, którym krajowe interesa, ściśle z powyższymi faktami związane, szczególniejszego dodawały zajęcia. Były-to chwile najszcześliwsze w życiu naszego bolejącego poety. Potem nastąpił smutek straszny. Ojciec był jego sprawcą. Zniewaga, której doznał (z pewnością niesłusznie) będąc w uniwersytecie, stał się okropnych cierpień moralnych początkiem. Nielubiony był jako arystokrata, nielubiony był jako syn hr. Wincentego. Musiał wyjechać za granicę. Zniewaga położyła piętno boleści na wszystkich twórcach Krasińskiego. Chociaż przebaczył, pamiętał o niej długo; uwiecznił ją w pismach. W *Niedokończonym Poemacie* czytamy: „Harde było ze mnie chłopię, choć niedorośle i wątłe na silach. — Przechodziłem wśród nich wszystkich (t. j. kolegów uniwersyteckich) z dumą na czole, świadom, że mnie nienawidzą; lecz czemu — nieświadom! Krzyczą: panicz, panicz! — jakby hańbą być miało, że wskazać mogę, gdzie za ojczyznę gardło dał niejeden z ojców moich i w jakim leży pochowan kościele. Boże! w piersiach dziecinnych pierwszy raz wtedy piekło się urodziło; — oni ciągną mię na dół za ręce, za nogi, za płaszcz moje...” Ale anioł jego — lepsza strona usposobienia — kazała

mu przebaczyć i „kochać” napastników „w czynach.” Cierpienia fizyczne stały się dla niego łożem Prokursta. Zmuszony ciągle się leczyć, przejeżdżał z jednych wód kąpielowych do drugich, mieszkał daleko — w krajach ciepłych, gdzie rosła „cyprysy i mirty,” nigdy nie zaznał spokoju. Potężny „serca męka,” ze „smętną jakąś nieszczęśliwą” żył „wielkim, cichym, dumnym smutkiem,” zaledwie się skarżąc. W duszy miał „próżnię grobową” — a jednak nigdy jej w pismach swoich nie wyjawiał. Przepędzał chwile jak pustelnik — z myślami swojemi. W roku np. 1837 pisał do hr. Ankiewiczowej: „Cóż mam więcej donieść pani? nikogo nie znam, nikogo nie widuję; na wieczory, na bale nie chodzę. Oczy mnie mocno bołą, często nie nie robię, wkrótce *przestanę myśleć*... cały długi wieczór przeleżeć muszę na kanapie.” Skarży się na brak myśli a frazesów pustych „gadać” nie chce. Robi przypuszczenia jak najsmutniejsze: to że mniczem zostanie, to znów że zmarnieje. „Toby był bardzo ozdobny koniec mojego znakomitego zawodu” — dodaje ironicznie. W r. 1842 pisał do Henryjety\*\* „Niech się pani nie dziwi tym potwornym głoskom. Tak się pisze, gdy się 19-go lutego, w sam dzień i chwilę urodzin (*nieśmięty* 30-ty raz powtórzonych) miało dwa rzuty apoplektyczne krwi do mózgu. Głowa leżała już w grobie — i to nadługo. Krwi puszczenie znów światło blade rzuciło w te ciemności — ale dotąd ręka tak pisać musi i każde *pisanie męka*”...

A przecie ten człowiek schorowany, zbolący, zmęczony życiem, które mu same pioluny do czary wciskało, które mu moralną potiechy nigdy prawie nie dało, — nie jęczał, nie narzekał, nie krwawił



ran własnych, obnażając je przed czytelnikami. On miał się wyśpiewać słowa *pociechy* (samniepocieszony), słowa zachęty, on odważył się pierwszym może zawołać:

Dość już długo, dość już długo  
Brzmiał na strunach wieszszów żal!  
Czas uderzyć w strunę drugą:  
W czynów stal.

Nie uznawał prawa bytu dla melancholicznego liryzmu, lubującego się w malowaniu serc pękniętych i zropaczonych; chociażby go okoliczności życia najzupełniej w naszych oczach usprawiedliwiały, gdybyśmy słowa skargi od niego posłyszeli. W duszy tej był nadziemski niemal hart wytrwania, było wszechwładne panowanie ducha nad kapryсами i bólami ciała.

Zasadniczą myślą jego utworów było: przez miłość w czynach się ujawniającą zgotować świat błogiego żywota na ziemi. Stąd też pojęcie miłości ma u niego znaczenie głębokie i wielkie: jest łańcuchem opasującym wszechświat, jest elektrycznym strumieniem wstrząsającym dusze jednostek i społeczeństw, jest tronem szczęścia dla tych, którzy w szlachetności żyją. Z tak pojętą miłością łączy się u Kraszińskiego najściślej pobożność, to jest zjednoczenie duchowe ze Stwórcą wszechrzeczy. Nie jest-to jednak ani suchy obserwantyzm bigotki, ani zapalczywość dogmatycznego fanatyka. Pobożność jego polegała na uznaniu i przejęciu się wszechmądrością i wszechmocą Boga. Formułki, ceremonije, zewnętrzność, były-to rzeczy dla niego zupełnie obojętne. Wszakże przejęty główną ideją swoją, opowiada w „Legendzie” upadek kościoła ś-go Piotra a zapanowanie na ziemi kościoła ś-go Ja-

na—apostola miłości. Nie przywiązywał się więc ślepo do kościelnej tradycyi, nie zabraniał swobody ruchu w zakresie pojęć religijnych.

Wyglaszając atoli płodność idei Boga w rozwoju społecznym, nie wykluczał on bynajmniej spóldziałania człowieka; nie zalecał bezwładnie i beczynnie wyczekiwać zmiłowania bożego, nie „przemieniał ziemskiej doli w żywot ducha na księżycu,” — jak to o nim niesłusznie napisał przyjaciel niegdyś serdeczny Juliusz Słowacki w chwili rozdrażnienia. Krasziński powiada wyraźnie: „Ani osobnikowi, ani narodom, ani ludzkości Łaska wiekuista *nie zdała się na nic*, jeśli się pod same niebiosa rąk nie podniosą ku niej; *bo potęgą stworzenia — wola stworzonych.*“ Nie jest-to więc zachęta do snu gnuśnego—ale pobudka do czynu, wychodzącego z głębin rozmiłowanej duszy. Roztkliwienie i rozmarzenie osłabia duszę, czyni ją lekką i niezdolną do energicznego wyjawiania się w działaniu. Krasziński też surowo karci tych, co sieją „lzy marne na nicestwa roli.” „Będziesz-że mi jeszcze błąkał się po manowcach za ognikami — powiada w *Niedokończonym poemacie*—będziesz mi kwiatki zbierał po gajach i tracił czas i trwoniał moc, kiedy... isé trzeba po skale, w górę, śród mgły... krwią się własną przytrzymując u głazów, by nie odpaść w dół!” Miłość u Kraszińskiego nie rzuca na duszę całunu melancholii, powabnego jako draperyja, ale nie mającego żadnej głębszej wartości. Miłość u niego jest czynna, powściągliwa, poświęcająca się, cicha, pokorna przed Bogiem, dumna wobec ludzi. Jeśli cierpi, cierpi świadomie, mając cel jakiś wielki na oku, nie dla zadowol-

nienia uczucia próżności i popisu przed światem, nie dla wystawy szat żalobnych.

Przy całym bowiem ukochaniu rodu ludzkiego, przy całej pełni namiętnej miłości, Krasieński nie ludził się, nie postępował jak dziecko naiwne, któreby wszystkich za aniołów poczytywało, któreby żadnej nie dostrzegło skazy na ulubionym przedmiocie. Owszem w jaskrawych nieraz barwach przedstawia podłość i nizeczemność ludzi. „Wiek mój — powiada — był wiekiem przejścia i złogo.” Świat cały jest „gieldą bez Boga.” W gmachu tej giełdy była „wystawa z marmuru czarnego, wshedami wiodąca aż tam, gdzie górowały treny świecące. Na nich siedzieli wybrani kupcy z wędrownych pokoleń Wschodu, w długich szatach, z siwemi brody, z purpurową przepaską na czole a pod ich nogami leżały ogromne wory, pełne brzęczącego kruszcu...” W tych worach dusze kupców ukryte i spętane — płaczą. A w miarę „jak się nieszczęsne coraz bardziej skarżyły, wzrastał gniew siedzących i gniotąc stopami, zagłuszali jęki tych własnych dusz swoich.”

W inném znów miejscu powiada:

Świat ten ementarzem z łez, ze krwi i błota!  
Świat ten jak wieczna każdemu Golgota....

A pomimo to wszystko świat ten był przez niego kochany! Miłość pojęta szeroko ogarniała wszystkich.

Dla podłych tylko i faryzeuszów  
Bądź groźną, gniewem — lub świętym milezieniem;  
Dla wszystkich innych, bądź *anielskim tchnieniem!*

Oto przykazanie miłości, jak je Krasieński sformułował. Nie było w niem ani marzeń fantastycznyh

ani sztucznych obsłon, ani czułościkowej galarety... tych właśnie wad, jakie on sam zarzuca i w części bardzo słusznie Julijuszowi Słowackiemu, kiedy w odpowiedzi na jego gryzące słowa mówi:

Ach! nie wziętoś ran przed ciosem  
W pierś twą *magnetycznie*,  
Aleś jednym wciąż piał głosem  
*Tylko fantastycznie!*

Miłość jego jaśniała światłem czystym, ciepłym i ożywczym. Choć cierpiał — przebaczał, choć widział podłość — nie przeklinał. W duszy jego chmur nie było — tylko blaski same. Ludzkość, społeczeństwo stały przed jego oczyma jako Magdalena pokutująca: grzeszna ale godna kochania. Przyciskał ją do serca, oblewał łzami spólcucia i błogosławił na — przyszłość czynu.

Wobec tak szerokich horyzontów, jakież mogła mieć znaczenie miłość jednostkowa, miłość ziemska? Prawie żadnego. Kobieta jest albo echem mężczyzny, samodzielnego życia nie posiadając wcale, albo też poświęca się na ofiarę Bogu lub społeczeństwu. Są naturalnie chwila w jej życiu, w których zadrga zwykłe ludzkie serce; przytłumia jednakże prędko jego bicie, ażeby nie stawało na przeszkodzie do wykonania jakichś czynów wielkich; albo też zagłusza je na wieki — wraz z życiem. Tęskne spojrzenie, echo pamiętki jednej razem z kochankiem przebytej „nocy letniej,” kilka westchnień, posatlunek — oto wszystko, co dla ziemi uczynić może lub powinna. Wszystko — wraz z potęgą ducha kochającego — przenosi w krainę pozaświatową, w otchłań niespełnionych nadziei, w bez-

brzeżny ocean niewidzialności. Tam, gdy ziemskie więzy opadną, dusze połączą się nierozzerwalnie... na wieki. Miłość-to święta, czysta, nieskalana, anielska. Kału ziemskiego napróżnobyś w niej szukał. Na tym padole płaczu o nic domagać się nie można; wszystko przekazać należy niebu. Tu do spełnienia są inne, ważniejsze sprawy, w których kobieta może być środkiem, pomocą lub przeszkodą — ale nie samoistną pracownicą. Rola jej całkiem bierna ogranicza się na wykonaniu tego, co mężczyzna postanowi. Jednego tylko dokonać zdolna: i siebie i ukochanego zaprowadzić pomiędzy cienie umarłych. Przeznaczeniem jej cierpieć i poświęcać się... w milczeniu.

Aczkolwiek takie jest ogólne wrażenie, jakie z rozczytywania się w utworach naszego poety odbieramy, są tam jednakże jeszcze wzmianki, których pominąć w żaden sposób się nie godzi. Krasiński prze-czuwał, że w przyszłości inne być musi powołanie kobiety; i że miłość jej inaczej uzewnętrznić się powinna. Jedna z kobiet powiada: „Otóż ja umrę, głośno wo-lając: Duszę-m miała, duszę mam, a na ziemi *ciało* mi tylko przyznali.” To znaczy, że poczucie samoistości już się w niej przebudziło; potrzeba je tylko wzmocnić, rozświetlić i na szerszą życia arenę wprowadzić. Kra-siński, zajmując się zagadnieniami przyszłości, nie mógł pominąć całej połowy rodu ludzkiego, z którą miłość jakby się zrosła od dzieciństwa. Malując obraz świa-ta udoskonalonego, woła że w nim

Nie ma także podrzędny!  
Bo niewieście w końcu serce  
Po lat długich poniewierec  
Błysło z pęczka tajemnicy.

Dawne *pań* biorą sami  
Swe, za dlonie, *niewolnice*.  
By jak duchy iść z duchami  
I wstępować na stolice!  
Przemieniony ten planeta  
*Jaż zapomniał, co kobieta*,  
*Wie, co bracia i siostrzyce!*

Posłannictwo takiej kobiety będzie wielkie; prze-rodzi ona społeczeństwo, reformując obyczaje, wlewa-jąc w życie nowe pierwiastki:

Zwolna kwiat ziemi z toni wieków wzrasta;  
Lecz przyjdą czasy, lecz kiedyś się zjawi  
Córka człowieka i Boga — niewiasta!  
*I męskie serca od śmierci wybawi.*

Lecz są-to wzmianki, cenne bezwątpienia ale urywkowe, niezwiązane jeszcze w system, nie prze-prowadzone w całkowitych kreacyjach, któreby uwy-datniły bliżej rysy owej „niewiasty.” Nie można w nich dopatrzeć się idei równouprawnienia w tem znaczeniu, jakie obecnie do tego wyrazu przywiązujemy; działalność niewiasty i jej samodzielne stanowisko wy-pływa tu z uczucia miłości, ogarniającej wszystko; a myśl wypowiedziana powtarza jedynie to, co przed 19-tu wiekami wyrzekł św. Paweł: „Nie masz Żyda ani Greka, nie masz niewolnika ani wolnego, nie masz *mężczyzny i niewiasty*, albowiem wszyscy *jednym je-stością* w Jezusie Chrystusie.” W każdym razie idea-to była płodna, kiedy do takich wniosków dopro-wadziła.

Miłość u Krasińskiego nie ma ciała — i w tém postaci jego kobiece podobne są do większej części utworów Słowackiego. Zewnętrzności poeta nie opi-

suje. Wzrok ognisty, sploty długich włosów, bladeść cierpiącego lica, kibide powiewna — oto wszystko, co wiemy o fizycznej stronie jego kobiet. Taki sposób traktowania poetycznych twórców nie wynikał oczywiście z niemożności lub nieświadomości, ale jedynie z ogólnego nastroju duchowego. W młodości bowiem umiał poeta opisywać miłość zmysłową, gorącą, wulkaniczną, wraz z powabami ciała i zawrotem głowy. Później usunął obrazy tego rodzaju na plan ostatni, wskazując nam zdala to krwią zbrzyzgane, rozpustne bachantki demagogiczne, to płocze zalotnicze, za świecącym kruszczem ofiarą swego ciała goniące. Malować ich szczegółowo nie chciał, bo zbrudziłyby mu jasny, promienny koloryt utworów.

Kraśiński był w wysokim stopniu idealistą. Duch panował u niego nad ciałem, treść nad formą. W obserwacyjną się nie bawił, rzeczywistością mało się zajmował. Uczucie swoje wyidealizował w nieszczęściu, w silnym przejęciu się kłeskami ogólnymi, wobec których nikły jego bóle indywidualne. Tém się właśnie wyróżnia od Słowackiego, w którym na pierwszym względzie zawsze stała własna jego osobistość; to nadaje cechę dodatności wszystkim Kraśińskiego poezjom. Nie kierował się wrażeniami chwili, rzadko poddawał się kaprysom rozdrażnionej namiętności. Stąd znów wynika brak różnorodności w jego kreacjach. Skamieniałość bólu, promieniami daleko wschodzącej jutrzienki oblaną, odnajdujemy wszędzie. Skamieniałość ta atoli przedstawia się raczej w masie aniżeli w kształtach, misternie a dokładnie rzeźbionych. Potęga myśli, dla której trudno było znaleźć „konchę glinianą” — nie dozwalała rzewnić się plastyczności ry-

tm i ruchów. Gieśtów mało, akcyi nie widać, wszystko zastępują słowa. Ale i te nie stawiają marmurowych pomników dla formy, są jedynie wiernym tłumaczeniem *śłów* duszy zboleiałej a wierzącej! Miłość, na wazechświat rozprowadzona, zatarła w sobie pojedyncze rysy, które tylko w jednostkach uwydatnić się dadzą. Głębia uczucia tego jest niezaprzeczona; szczerść — widoczna; anielskość — zgodna z ogólnym stanem duszy poety, który skarżył się na to żałośnie, że więcej jest na ziemi wątrob aniżeli serc... Wystawiając miłość jako panaceum na wszystkie choroby ludzkości, musiał zostawić na boku roznm, którego wprawdzie nie wyklina, ale téż i nie podnosi, chociaż niepodobna mu o nim nic nie wspomnieć. Natarczywie się on domagał uwzględnienia; poeta utzymuje, że ci, co miłości nie mają, są chorzy na podłość albo na *bezrozum*.

A czy wy wiecie, wy, na podłość chorzy

Lub na bezrozum, gdzie ten piorun boży?

On w pierśi ludzkiej drga — i zwie się miłość...

*I on rozcina tu losu zawłość!*

Poeta, który tak gorąco i tak bezwarunkowo wierzył w potęgę miłości, zasłużył sobie niezaprzeczenie, żebyśmy go całém sercem kochali i twory jego ducha oceniali nie podług niziuchnej skali ciasnego egoizmu lub lekceważącego posądzenia o niedorzeczny mistycyzm i fanatyzm religijny; ale podług skali tych wzniosłych uczuć, jakimi podnieść nas ku sobie usiłował.

\*

\*

Przez długi czas prywatna, że tak powiem, stro-  
na wewnętrznego rozwoju poety szczupłej tylko garst-

ce przyjaciół i krewnych była znana. Przed kilku laty dopiero wydana część korespondencji Krasińskiego odsłoniła niektóre ciekawe i charakterystyczne cechy jego umysłu i serca. Dawniej znane listy przedstawiały nam autora Irydyjona zawsze tylko zadumanego o najwyższych zagadnieniach ludzkich, zawsze przemawiającego tonem podniosłym a niekiedy i bombastycznym. Listy do Adama Sołtana, które Stanisław Tarnowski przeglądał i niektóre z nich podał wyjątki (w „Przeglądzie polskim” 1877, zes. styczn.), nie zacierając tego wrażenia, dają nam poznać poetę ze strony poufnej, jakim był w życiu codziennym, nie dostarczając nam ustawicznie wielkich zachwyków i nie rodząc nam co godzina olbrzymich pomysłów.

Tu się pokazuje, że poeta pomimo swego europejskiego wykształcenia, pomimo arystokratycznych nawyków, jest przecież w gruncie rzeczy prawdziwym Polakiem nie tylko w tym, co istotę usposobienia narodowego stanowi, ale nawet w niektórych zewnętrznych tego usposobienia objawach: jest rubasznym a nawet trywialnym w wyrażeniach, lubi dosadne określniki stosowane do ludzi i rzeczy (balwan, blazen, dureń it. p.). „Uroczysty, majestatyczny styl Irydyjona—mówi Tarnowski—kiedy schodzi z wysokości, nie przestaje na tym, że jest potocznym, ale nabiera czasem takiej energii wyrażen, że luzar zawahałby się nieraz, zanimby podobnych użył z piórem w rękę... A kiedy go oburzy człowiek podły albo kobieta nikczemna, to wtedy otwartość jego stylu posuwa się do wyrażen tak mało parlamentarnych, że ich żadną miarą nawet z zastrzeżeniem: *uczciwszy uszy* powtórzyć nie można.”

Powtórnie, okazuje się Krasiński w tych listach ama-

tem drobniaków życiowych, ma skłonność do pewnego plotkarstwa, do jowialnych dykteryjek: bawi go jakaś amieszność, jakieś głupstwo, jakaś niezgrabność towarzyska lub jakaś romansowa intryga. Tego rysu w jego usposobieniu niktby zapewne z pism jego nie wywnioskował; a przecież do wytworzenia sobie dokładnego pojęcia o człowieku, jeżeli już nie o poecie, jest on bardzo potrzebny.

Ale listy do Sołtana są jeszcze ważne z tego względu, że nam o indywidualnej miłości Krasińskiego mówią a mówią otwarcie, bez obłonek. I ten punkt naszych wiadomości rozświetlił się ogromnie; poznajemy tu duszę pamiętną, żadną wrażeń, nie dbającą o zwykłe konwenanse ani też o zwykłą moralność, ale bądź co bądź wielce szlachetną i idei uznanego *przez siebie* obowiązku oddaną.

Znamy dotychczas dwie z tych miłości i to z opowiadania samego poety. Pierwsza z nich sięga wczesnej młodości i ciągnie się przez lat kilka, dopóki nie wstąpiła drugiej, choć poeta bronił się, jak mógł, przeciw tej „niewierności“ czy niestałości. Kiedy się ta pierwsza miłość rozpoczęła, nie wiemy i dowiadujemy się o niej jako o fakcie już istniejącym w roku 1834, gdy poeta zaczął rok 23, gdy jest we Włoszech w towarzystwie dwu ukochanych przyjaciół: Danielewicza i Jaroszyńskiego. Oddalony od swej ukochanej niepokoi się, trwoży, szuka pociechy wszędzie nawet we wróżbiarstwie; potem gdy się zjechali (a zjeżdżali się nakrótko zazwyczaj gdzieś na wodach), rozplywa się w uniesieniach szczęścia: „Zastalem ją dwa razy tyle kochającą mnie co dawniej. W życiu mojem zapewne już takich dni szczęśliwych nie doznam więcej.

Może ci miło będzie wiedzieć, że ten, który cię kocha, dostał się do raju i z raju do ciebie pisze.“ Niebawem wszakże następują przykrości różnego rodzaju: list jakiś do Zygmunta od ukochanej pisany dostał się na poczcie do rąk awanturnika, co nosił to samo nazwisko a haniebnie tego przypadku nadużył; otworzył bowiem list, poznał treść, odczytywał go ludziom, chwalił się nim jakoby do siebie pisany; — ludzie zaczęli się nad kobietą kochaną znęcać i szarpać jój sławę. „Zostałem ją w najokropniejszym stanie — pisze do Soltana w r. 1835 — i raj mój niebieski przyl odrazu. Polki, pani G... i drugie były w Ischl. Nie ma potwarzy, szyderstwa, złości, któraby nie napoiły mojej biednej. Osobliwie ta G... zlepiła z żółci i mułu, wysoka, szkieletowa, rozpaczająca za znikłemi wdzięki, wściekła, że kto inny piękny i kochany, pod maską przyjaźni pełna nienawiści i podłości, kłamająca, rozdzierająca, w imieniu cnoty przemawiająca! Dni tam spędzone były mi piekłem. Dopiero wieczorem odpoczywałem, kiedy wszyscy posnęli: w tym salonie na wieki pamiętnym, wśród krzewów hortensyj, przy półświecie lamp, przy blasku jój łzawych oczu. Tam jój cała dusza tyle szlachetna i dobra na lzy roztopiała się przede mną, tam ją umęczoną za to, że kocha, pokochałem jeszcze więcej niż wprzód... Nigdy nie kochał, nie wiedział, co to kochanie; dziś dopiero, zstąpiwszy do piekieł z niebios, to poznałem. Dziś dopiero chodzę po splekłym bruku tego miasta (Tryjestu) i chciałbym się położyć i skonać na nim, tak mi dolega każda chwila bez niej. Jeżeli były jakie błędy, Bóg je nam przebaczy. Trudno tyle walczyć co ona a tyle kochać i szanować i czuć co ja.”

Ażeby ocenić położenie, trzeba wiedzieć, że tą ukochaną Zygmunta była kobieta zamężna, mająca dzieci, która (jak mówią) miała się odznaczać wysokimi przymiotami umysłu, wykształceniem, subtelnym smakiem artystycznym i głębią uczuciem. Walki, jakie stoczyła ze sobą musiała, zanim się całą duszą oddała poecie, niewątpliwie kosztowały ją wiele. Jój natura nerwowa, namiętna, chorobliwa trochę miała urok niezwykłości i pociągała do siebie Zygmunta, który silnych wrażeń potrzebował, niemi się do pewnego stopnia upajał i życie swoje w poemat zamieniał. Oto np. opis rozstania się z r. 1835: „Ona wyjeżdża za dni dziesięć. Ja zaraz potem. Ile wycierpiałem, nie masz wyobrażenia. Ile byłem szczęśliwy, także rzadko kto mieć może. Ale to tego rodzaju szczęście, co zabija więcej niż sił przysparza. Co mi najmilszego z tego wszystkiego zostało, to to wyobrażenie, że szlachetniejszej kobiety nie ma na ziemi, to to przekonanie, że takiego serca daremno-bym już szukał w życiu. Ach! co mi życie zatruwa, to że ona uparła się wracać do domu. Mąż wie wszystko. Ona mu sama napisała. Wie więc, co ją czeka. Ale za obowiązek uważa odwiedzić dzieci matowi i cierpieć. W tém rodzaj ekspijacyi widzi. Ale sił nie będzie miała i umrze... Już teraz po kilka razy na dzień mdleje, blada jak trup lub rozgorączkowana jak w malignie. Ale piękna zawsze i słodka, anielsko słodka! Ludzie to zowią błędem, księża grożą piekłem za to; ale cóż jeśli ten błąd już w samym sobie swoje piekło zawiera? Jeśli kwiat przez to samo, że się rozwijał na chwilę, schnąć i umierać musi? Biedny-to świat, w którym jedyne szczęście przezwali zbrodnią; biedne towarzystwo, które, by się utrzymać, kłamać musi...”

Za kilka dni skończy się młodość moja, wiosna życia mego. Zacznie się druga połowa bytu: *rozum*, jak mówią ludzie, *rozsądek!* co u niektórych znaczy *podłość*, u niektórych *głupstwo*, a u bardzo mało *enole!*"

Poznajmy teraz jego sarkazm i chęć dramatyzowania swego życia: „W tych dniach los mojej duszy się rozstrzygnie. Albo zbudzę w niej iskrę, albo zebrawszy wszystkie siły stworzę sobie jakąś postać do kochania idealnie i ubiorę ją w kształt, albo też przekonam się, że jestem głupi na wieki i każę sobie zrobić małeńki sarkofag z szylkretu z napisem dnia, w którym pożegnałem ją, a pod spodem będzie: *dzień śmierci rozumu mego*, Ale potem co zrobisz? Czy świnie paść będziesz, czy strydz owce, czy się wykiernujesz na dobosza, czy, jak mój stryj, garnków fabrykę założysz? Tyle dróg przede mną, a ja się waham? Nie, nie. Sprawię sobie portki à la général Alexandre i płaszcz duży i będę z niego bułki sypał wiedeńskim lazarettom. Albo... ożenię się, osiadę w Rzymie, kaczki z Galicji sprowadzę do Kolizeum i będę przepisywał elegije mojej żony nad niemi."

Przez rok 1836 i 1837 miłość trwa ciągle i odzywa się nieraz rzwennie, czasami namiętnie, zawsze smutno; raz jeden znać w słowach poety jakiś rodzaj żalu czy gniewu do oddalonej kochanki. Moc jednak miłości zmniejsza się widocznie; wprawdzie odrzuca dobrą partytę, do której nakłaniał go ojciec; odrzuca ją, choć panna była „piękną jak anioł, ślicznie ułożoną," choć wszystko w niej zapowiadało dobrą żonę: „i tok umysłu i przyroda i wychowanie." W motywach wszakże tego opornego stanowiska, wypisanych przyjacielowi, przebija się raczej skrupuł delikatnej duszy aniżeli nieprzeparty urok silnej miłości. „Bądź moim sędzią—mówi do Sotta-

na—wiesz, ile *kochałem* tamtą i wszystkie koleje z nią przebyte. Ona całą przeszłość moję zagarnęła, ale w niej *nie ma dla mnie żadnej przyszłości*. To wiedziałem zawsze; ona to czuła równie jak ja. Ale *dla niej* ja jestem wszystkim, choć oddalony, choć w niczem codziennem, praktycznym nie dotykający jej okręgów; wszystkim, bom ją przed ludźmi i przed własnym jej sumieniem pozbawił pokoju, bom wygnał ją moralnie z progów domowych, bo mi ona wszystko poświęciła i dziś jest nieszczęśliwą, bez dawniej posady (!) wśród znajomych; bez dawnego przywiązania do życia, któremu była przywykła, bez dawniej spokojności serca i rozumu... Teraz jedyną jej ulgą, pociechą jest myśl, że ja jej nie uwiodłem, ale że ją kochałem; myśl, że poświęciła się dla kogoś, któremu warto było tę ofiarę uczynić. *Gdybym z drugą się ożenił, pchnąłbym ją w serce na wieki*. Nie pojęłaby nigdy, że można pojąć inną kobietę, a zostać jej *przyjacielem, bratem* i kochać ją sercem, *wdzięcznością*. Gdybym się ożenił, wydałoby się jej, że straciła dobrą sławę i może duszy swęj zbawienie dla igraszki przewrotnego człowieka“.... Na wiadomość, że ma się z nią znów widzieć, przejmując go jakąś obawa; powiada, że ona go mężczy ciąglemi przeskokami od namiętych wybuchów do mroźnej obojętności, że miłość nic nie warta, że tylko przyjaźń nie podlega zmianom, że kobieta owa jest niższą od jego wyobrażenia o nią, niższą nawet od niego samego. Za widzeniem się w r. 1837 wybuchła na chwilę z pod popiołów iskra przywiązania a może tylko litości... „Widziałem ją przez trzy dni; co się z tego widzenia w sercu mojem zostało, reszty mego życia będzie towarzyszem; zgryzota, smutek, przywiązanie... Powiem ci, że-

byś jój nie poznał; smutek i choroba tak ją przetworzyły. Tém droższa dla mnie. Oczy jój z błękitnych w ciemne przygasłe się zmieniły; piękność lica pozostała, ale martwa, osłupiała, a w duszy nie prócz bólu ciągłego, mąk ciągłych i miłości dla mnie. Chcę przestać o tém mówić a nie mogę." Wrok potém jeszcze poeta usiłuje wmówić w siebie, że się miłość jego nie zmieniła. „Nie kochać jój nie jest w mojej mocy. Im słabsza, im smutniejsza, im coraz bardziej tracąca piękność dawną, tém mocniej lgnie moje serce do niej... Dzień cały minął mi z nią jak sen pelen tęsknoty... Czasem kiedy się zamyśli i spojrzy Bóg wie gdzie i marzy Bóg wie co, rzekłbyś, że letarg ciemnego obłąkania się zaczyna. Wtedy serce mi się kraje, wtedy całuje jój ręce prosząc, by przemówiła, a lzy czuję w duszy, choć ich nie mam w oku. A za dwa dni muszę ją zostawić samą, samą na świecie... O Adamie! nieszczesny ten, kto z naiwnością dziecka, z marzeniem o szlachetności targnął się na cudze prawa, żonę od męża oderwał, matkę od dzieci... Ja to-m uczynił myśląc szalony, że na tej drodze poezya i wiosna; teraz *głęboko-m poniżony sam przed sobą* a ona przed światem... Bądźcobądź ty nie rzucisz ni na nią ni na mnie kamieniem."

Nareszcie w tym 1838 roku stosunek ten miał się zerwać stanowczo. Krasiński na żądanie ojca przybył do Opinogóry; tu prośbą i groźbą, płaczem i rozkazem usiłowano go skłonić do zaprzestania wszelkich związków z ukochaną; poeta odmówił. „Po trzech tygodniach nic na mnie wymóźd nie mogąc — pisze Krasiński — ojciec udał się do niej i prosił ją o to samo. Pojmiesz znowu, że tak jak ja nie mogłem przystać, tak ona nie

mogła nie przystać. Wrócił mój ojciec przywożąc mi kilka słów od niej, drżącą ręką pisanych, w których mówi, że musiała zgodzić się na to, by ostatni raz te kilka słów napisać do mnie."

Odtąd Krasiński już tylko pośrednio przez ludzi dowiadywał się o swojej lubej. Wspomnienie o niej długo się jeszcze przechowało; uwiecznił je w *Niedokończonym poemacie* przedstawiając żonę Rahogę a nadto w jój imieniu napisał piękny wiersz (w końcu r. 1838), w którym między innymi czytamy:

Patr! ja, być mogłam taka czysta, święta,  
A teraz będę na wieki przekięta  
I dzieciom moim ojciec nie odpowie,  
Gdy się pytają: jak się matka zowie!  
Tak gorzko, zimno, tak ciemno mi w duszy,  
Że czasem myślę, że płacz mój poruszy  
Serce aniołów. Lecz nie; już godzina  
Smierci nadeiaga i wkrótce uderzy.  
Już ból konania w tych piersiach się wszczyna  
Już palec Boga na tém czole leży.

Daj mi twą rękę! Słuchaj: w tych dolinach  
Ty mnie pochowasz przy Rzymu ruinach,  
A grób mój będzie otoczony wzgórzami,  
Zakryty zewsząd bluszczeniem i głogami.  
I ty wyrzecz na białym kamieniu  
Prośbę do Boga, by w wyprysów cieniu  
Ten kamień za mnie modlił się w milczeniu.

Zaledwie stosunek ten się skończył, zaledwie mu Zygmunt poetycki wystawił grobowiec, w sercu jego rozkwitł kwiat nowej miłości.

W zimie roku 1838/1839 był Krasiński we Włoszech. Wśród rodzin polskich, bawiących tam wów-



czas wybitne miejsce zajmowała rodzina pewna z Podola, która prowadziła dom otwarty i wszelakie znakomitości w salonach swoich ugaszczala. Z trzech podobno bardzo pięknych i wykształconych córek największą na siebie zwracała uwagę najstarsza Delfina Dzieckiem jeszcze prawie wydana za hr. P. dziedzica jednego z najarystokratyczniejszych imion i największych w kraju majątków, musiała po kilku latach pożycia rozstać się z nim nazawsze. Zamieszkała wtedy przy rodzicach i oddała się uprawie uzdolnień artystycznych, ażeby próżnię życia zapelnąć i głód wrażeń zaspokoić. Wielka znajomość świata, wielki wdzięk w postępowaniu, a przytém usposobienie uczuciowe, smętne, marzycielskie, tak zgodne z ówczesnym nastrojem romantycznym, ściągaly ku pięknej rozwódce mnóstwo wielbicieli.

Krasiński zaraz po jej poznaniu w Neapolu wyraził się o nią w liście do Soltana tak ostro i tak szorstko, że przy ogłoszeniu wyjątków z tej korespondencji musiano opuścić ten ustęp. Wkrótce potem poeta przyznał się przyjacielowi, że czuje dla niej litość, że Delfina służy mu tylko, „jakoby zwierciadło, w którym widzę czasem przechodzące widmo tój, którą kochałem.” „Zrazu — powiada dalej — klóciłmy się okropnie, bo nie chciałem szyi zgnać przed jej zewnętrznym fashionem, tak się nawet klóciłmy, że ona mnie, ja jej dziwnie przykre powiedziałem rzeczy. Ale dopiero kiedy ton swój paryski odmienila i szczerze mówić zaczęła, i ja ton odmienilem. I teraz w wieczór ona smutno, żalobnie opowiada mi swoje życie moralne, a ja słucham i czasem ją cieszę.”

Następnie do litości przybyła wdzięczność.

„Leżałem w ciężkiej gorączce — pisze w lutym 1839 r. — cieszyłem się myślą, że na tamten świat się przerzucę, ale znać jeszcze-m tu do parady potrzebny. Nie mogę ci opisać, o ile przez ten czas choroby mojej pani D. była dobra, prawdziwie, szczerze dobra dla mnie... Gdybym miał siostrę, od siostry niczego więcej żądać-byłm nie mógł. Z całej duszy jej wdzięczny jestem tębardziej, iż wiem, że to prosta, dobra przyjaciąń.” Otóż mamy już i przyjaciąń, która z dniem każdym stawała się coraz gorętszą; 20 lutego już pisze do Soltana: „Nie chcę listowi powierzać rzeczy, na której zrozumienie i ocenienie trzeba albo dziesięć arkuszy napisać, albo być z tobą razem i tylko ścisnąć ci rękę — ale to pewna, że w dziwny jestem kryzys moralny: razem gorący i zimny, młody i stary, obojętny i nie. To jednak doskonale czuje, że co lat kilka, jak piasek w klepsydrze, tak życie o kilka stopni opada w piersi naszej. Co niegdyś byłoby nas przejęło szaleń, dziś tylko słodczą; kto wie, co lepsze? czy szaleń czy tkliwa słodycz rozlewająca się po duszy jak ciepłe wonne wiatru powianie...” A w wierszu z tegoż czasu p. n. *Pozegnanie* mówi wyraźnie:

Ledwie-m cię poznał, już cię żegnać muszę;  
A żegnać ciebie, jak gdybym przez wieki  
Żył z tobą razem i kochał twą duszę,  
A teraz jechał w jakiś kraj daleki  
I nie miał nigdy już zobaczyć ciebie,  
Chyba gdzieś kędyś po śmierci tam w niebie...

Toż samo, ale już prozą w liście do przyjaciela wyznaje w marcu: „Tobie przeszło przez myśl, że ja się w jakiej pannie zakochał. Nie, Adamie, nie... Zrezygnowała niech Bóg mię osądzi. Zapewne, że nie jestem na

najprostszej drodze, ale kto wymiarkuje drogi serca? kto rzuci kamień na drugiego? Przynajmniej niech mi go nie rzuca nigdy dłoń przyjaciela. *Ledwo pisać moję*. Pomieszały się wszystkie wyobrażenia i wiary moje, jestem jako ślepy i obłąkany... Proszę cię nie potępiaj, ale żałuj, bo ty wiesz, że ja ją *szerze kocham i narawsze*. Błędy moje, szaly moje niechaj twego serca nie odwracają ode mnie, bo ty na nich nigdy nie z duszy mojej i przywiązania stracić nie możesz. Ty sam wiesz, że są tak gwałtowne, tak porywające uczucia, że rozum przeciwko nim jest tylko przedrzeźniającym bufonem, ale nie zaradzczym lekarzem. Otóż jestem w takim położeniu; a jak się ono wyrobiło, ile walk zniosłem, jak powoli giąłem się pod tą fatalnością, jak darłem się z samym sobą i rozdarłem siebie; to niech mnie i Bogu wiadomem pozostanie."

Odtąd korespondencja Krasińskiego nie dostarcza nam szczegółów rozwoju tej miłości; wspomina on często o pani Delfinie, ale nie mówi już o uczuciu swym. Przypuszczają, że milczenie to objaśnić można chyba tém, iż samo uczucie było silniejszym i głębszym a niżeli to, jakiego dla pierwszej swjej kochanki doznawał; a jeżeli zważymy, że jeden z najpiękniejszych utworów swoich „Przedświt” opromienił wspomnieniem swjej miłości dla Delfiny, którą *Beatrice* nazwał, to z przypuszczeniem tém zgodzić się wypadnie. Przebieg atoli uczucia w rysach głównych poznać możemy z kilku wierszy, niedawno razem ogłoszonych p. n. *Moja Beatrice*. Jest tu wiele zwykłych w romantycznej miłości epizodów: wiele smutku i melancholii, wiele krótkotrwałych zachwyków i długiego omdlenia,

wiele przechadzek i przejażdżek księżycowych... Znaczący tylko główne fazy.

Poeta zwyczajem wszystkich wrażliwych i namiętnych natur tylko uczucie w danej chwili władające sercem jego nazywa prawdziwem i jedynem, zapominając o wszystkich, co je poprzedziły:

Nie znałem duszy, eoby mi pojęła,  
Anim jęj szukał, aż spotkałem ciebie,  
Równie samotną...  
Znów czuję Boga, który mnie porywa;  
Sen śmiereci znika, a w obszarach świata  
Hymn wiechowstąpieni zewsząd się odzywa.

Uczuś swych dla tój, co „jak anioł siadła przy,  
sterze jego łodzi,” nie chce profanować nazwiskiem:

Temu, co czuję, nie szukaj imienia,  
Naczo słowami kazić świętość myśli?..

Wie wszakże poeta, że to, co czuje, jest wielkiem, potężnym i trwałym:

Ta chwila nigdy już dla mnie nie minie,  
Ten dzień w mój duszy nigdy nie upłynie,  
Bo w świecie ducha nie ma pożegnania!

Przez rok 1839 i początek 1840 przebywał ciągle z Delfiną, uczucia jego potęgowały się ciągle. W lipcu 1840 odjeżdża do Monachium, i z tego samego miejsca w którym Mickiewicz nie mógł się rozstać ze wspomnieniem Maryli, ze Splügen w Alpach posyła lubej swoje „Pożegnanie Italii,” gdzie zestawia Włochy ze swoją kochanką:

O ziemi włoska! dziś mi żal jest ciebie  
Za to, żeś smętną przeszłości królową;

Nieszczęsną duchów nieśmiertelnych wdową.  
 Żyjącą dzisiaj o zebrać chlebiec;  
 Że z twoich wzgórzów, jak bogi żaloby,  
 Płaczą nad tobą mężów twoich groby!  
 Bo myślą tylko a nie sercem całem  
 Jam pejął odbłask zmarłych twych wielkości,  
 A wyższą piękność od twojej piękności  
 Jam sercem poznał i odtąd kochałem!  
 Nie kuta z glazu, ani malowana,  
 Choćby nadziemskim pędzlem Rafaela,  
 Leez dusza żywa, z pośród duchów wiela  
 W twarz *anielicę* od Boga ubrana  
 I cierpieć — kochać — na świat ten posłana...

W miesiąc potem, jeszcze ze Splügen, pisał do Delfiny wiersz: „Co mi się marzy,” wzywał, żeby podała mu rękę i jak siostra z bratem poszła precz od ludzi, w puszcze wielkie, gdzie chyba słowik siądzie wiosną, chyba konwalije zakwitną i błyskawica się przederze. Na ten wiersz odpowiedziała Delfina czterema dość niefortunnymi strofami, które tu jako zabytek pozostały po niej a malujący nam jój sentymentalne usposobienie, przytaczam:

Kiedy kwiaty przyszłą wiosną  
 Tam na wzgórzach znów porosną,  
 Tam po wzgórzach zmierzchnią dołą  
 Ja nie wrócę błądzić z tobą.  
 Kiedy księżyc nocą ciemną  
 Błyśnie srebrem na wód grobiec,  
 Będziesz wołać nadaremno,  
 Nie odpowiem ja już tobie!  
 Więc nie wołaj po imieniu  
 Tój, co z tobą nigdy razem  
 Już nie będzie, leez w milczeniu  
 Pójdź do grobu, siądz nad glazem.

Tam wspominaj gorzką dolę  
 Życia mego zatrątego  
 I *nabożnie* moje bole  
 Ziół w pamięci serca twego....

Poezie wszakże wiersz ten wydał się pięknym i wywołał odpowiedź zapewniającą kochankę, że ją kochał z serca choć gorzko, zawsze i wszędzie.

Jaśniejsza choć bardzo krótka chwila tej miłości zabłysła w Monachium, gdzie Zygmunt zjechał się z Delfiną. W tej chwili powstał cudny wiersz „Do duchów przy świetle księżycy,” w którym poeta wyznaje, że jest szczęśliwym:

Ja was wzywam, duchy czy anieli  
 Co na błękitu gwiazdach królujecie,  
 Coście na wieki z ezola smutek zdjęli:  
 Bom dziś szczęśliwszy na tym smutnym świecie,  
 Niż wy w niebiosach. Nie lękam się wzrołów  
 Waszych tęczynek i skrzydeł z płomienia;  
 Jak wy dziś płynę wśród światła potoków,  
 Jak wy wzniesie mogę nieśmiertelne pienia.  
 Tę, którą kocham, płaczącą widziałem:  
 Lzę rozrzwienienia powrót mój witala.  
 Odtąd sam cały nazawsze skonałem,  
 Bom złął się z duszą tój, która płakała.

W jesieni 1840 wrócili do Włoch; na północy robili spólnie wycieczki i odbywali przejażdżki po jeziorach... Potem Zygmunt jedzie sam do Neapolu i w wierszach tam pisanych wyraża swoje smutki i tęsknoty. To marzy o śmierci i chce do ukochanej duchem przylecieć, być dla niej gwiazdką, falą, listkiem lub błyskawicą wśród burzy; to znowu mówi, że chciałby na jój rękę skonać a następnie spoczywać nie pod

duśnłem sklepieniem murów klasztornych, ale na polu otwartém i zieloném, pod błękitem niebios....

Rok 1841 cały prawie przeszedł znowuż we Włoszech czasem samotnie, najczęściej w towarzystwie Delfiny. Dopiero w jesieni tego roku Zygmunt wyjeżdża do Monachijum wezwany przez chorego ciężko Danielewicza. Pośpieszyła za nim i Delfina i nierozłącznie pielęgnowała wraz z Zygmuntem biednego przyjaciela, który umarł w kilka miesięcy potem (roku 1842). Pod świeżem wrażeniem téj straty napisał poeta wiersz *Fryburg*, w którym pamięć ukochanego druha zjednoczył z myślą o Beatrycy. Po rzewnym holdzie oddanym zmarłemu następują tu entuzjastyczne wyrazy pod adresem Delfiny.

Aniele niewieści,  
Tyś przy mnie dotąd, nie odeszłaś jeszcze!  
Ja w twych spojrzeń rozkosz moję pieszezę....  
Tyś anioł piękna, tyś seraf pokoju,  
Dłoń twa ze śniegu nie krwawi się w boju!  
W dzień sądny zemsty, ty wśród twego ludu  
Nie staniesz przy mnie....  
Lecz nim ta chwila nadejdzie, — a może  
Nie przyjdzie nigdy — tyś mojem zbawieniem,  
Tęczą jedyną w zaćmionym przestworze,  
Miłości mojej tyś ostatniem pieniem!

Potém nastąpiły jeszcze chwile szczęścia acz krótkie, pobyt kilkomiesięczny w Nizy. „Na wieki dni te w Nicei mnie pozostaną błękitnym wspomnieniem — pisze poeta do Gaszyńskiego. — Jeździliśmy konno po tych górach. Śliczne było niebo i w duszy błogo, spokojnie, wzniosłe, bo ciągle mówiliśmy o świecie idei, o świecie ducha, o świecie przyszłości.”

Ten atoli świat przyszłości niebawem nie tak błękitnie miał się przedstawić. Krasiński pod naciskiem rodziny postanowił wejść w krainę straszną, „gdzie miłości nie ma,” miał się ożenić z panną, która pomimo swoich przyniotów poetycznemu ideałowi nie odpowiadała; Krasiński, jak sam wyznaje, miał pewien wstręt do panien. Więc chociaż „z nadziei i szczęścia wyzuty” chce „siostrze powierzonej sobie na wieki” stać się pociechą i osłodą, nadzieją przyszlą i przeszłym wspomnieniem, do dawnéj zaś kochanki zwraca się z prośbą, ażeby się zań modliła:

Módl ty się za mnie, gdy z rozpacy zginę  
Za winę ojców i za własną winę;  
Módl ty się za mnie, by maie w moim grobie  
Nie opiekielnął żal wieczny po tobie....  
Módl ty się za mnie; ja ciebie się trzymam,  
Bo na téj ziemi prócz ciebie nie nie mam.  
I nie prócz ciebie nie marzę za światem,  
Tylko to marzę, by z mą duszą biedną  
Twoja spłynęła w nieśmiertelność jedną;  
Więc módl się za mną, bo ja twoim bratem!

Działo się to w połowie r. 1843. Wkrótce potém nastąpił ślub Zygmunta Krasińskiego z panną Różą Branicką. Po ślubie stosunek z panią Delfiną nie zerwał się wprawdzie, ale uległ zmianie.... W końcu Krasiński „przesłał odpieczętowywać listy pani Delfiny, których po śmierci jego znaleziono całe stopy; w ostatniej chorobie nie chciał jéj widzieć i raz jeden tylko, na usilne prośby żony, pozwolił pani Delfinie zbliżyć się do łoża, z którego już nie miał się podnieść; później wszystkie prośby były daremne; pani Delfina mogła otrzymywać wiadomości o stanie zdrowia cho-

rego w taki tylko sposób, że przychodzącej codziennie do przedsionka domu, w którym mieszkał poeta, Zygmunta Kraszińska przynosiła biuletyn lekarski wraz ze słowami współczucia i pociechy.”

Delfina znacznie przeżyła poetę i umarła dopiero w r. 1879. Czy go kochała naprawdę, czy też z próżności tylko, że wielki poeta jest jej wielbicielem, trudno rozstrzygnąć; ci, co znali Delfinę, twierdzą, że w tym miłosnym stosunku tylko jej wyobraźnia grała rolę główną; serce zaś jej jak przed poznanie Zygmunta tak i po rozstaniu się z nim łatwo pocieszać się umiało, bo się łatwo do różnych ludzi przychylić potrafiło....<sup>1)</sup>

## I.

## M a r y n a.

„Ty i róża obie nie macie duszy,  
jedno wasze barwy i zapachy mózg  
zawracają ludziom; a kiedy zwiędniecie,  
nikt nie troszczy się o was na  
ziemi ni w niebie.“

Błąkamy się po błoniach przeszłości... Żyjemy w czasie awanturnych wypraw, rozbojów, rzezi, rabunków. Tam w dali widać jaskrawe czerwone plomie-

<sup>1)</sup> Dostępną i prawdopodobną jest rzeczą, iż stosunek Kraszińskiego do Delfiny posłużył Słowackiemu do osnucia swych „Niepoprawnych,” w których tak cudnie narysował postaci Fantazego i Idalii, ironicznie patrząc na nie. Zob. ładny szkic *Jana Guatavskiego* p. t. *Maja Beatrice* w „Niwie” 1879, tom II.

nie palących się wiosek, czuć dymy gryzące, które jak mgła unoszą się ku niebu, słychać jęki matek i przekleństwa ojców. Tam znów heł, na Czarném morzu szarzeją żagle, rozdarłe od burzy, w odłamkach padające a człowiek jakiś z jańczarką w prawej a lontem w lewej ręce, szybko pomyka się w łodzi, nucąc pieśń dziką, żartocznymi odbrzmiewającą instynktami. Gdzieś indziej cisza więzienna. Długa, ciasna, ciemna izba „po złoczyńcach i Tatarach” o jedném oknie wybitém w górze, okratowaném. Rzędem na ścianie widać kółka, do których rabusie przykuci doczekali się zgonu; wołają znać ślady ich paznogi, ich palców, które „w szaleństwie długielata pracując, wydrążyły dołeczki na jedną kropkę wilgoci, na schowanie dla jednego pajaka.” U dołu na kamieniach bieleje kilka czaszek, z których każda „siedzi sobie wśród grona kości, osypanych prochami.” Albo też znajdujemy się nagle wśród natury, która pozadroszczyła zapewne okropności czynom ludzkiego okrucieństwa. Pustynia przylgnęła zda się do nieba; wzgórze i skały nagie, „chude,” bez drzew „jakby szkielety olbrzymów, których ród wyginał a skamieniały kości.” Manowce i bezdroża sprawiają zamęt pierwotny w umyśle człowieka; czernieją się paszcze jaskiń, z których „snuje się para zjadliwa;” granitowe słupy w nieskończoność się ciągną jakby pomniki grobowe po walce jakiejś nadludzkiej; pomiędzy nimi wznoszą się kopce ze śniegu; lody „jako blachy przykuły się do grzbietów i do piersi skał; wawoży idą naprzód, obracając się wprawo i wlewo, to długim łukiem wracają wstecz i kręcą się bezustanku....”

Atmosfera obrzuca nas albo lawą żaru albo lodu bryłami.... I w duszy ludzkiej tak samo. W jed-

nych bucha namiętność jak ogień we wnętrzu miedzianego Molocha, nie pozwalając o niczem myśleć nazimno, rozważnie, ciało przejmując nerwowym dreszczem, który się potęguje i wzmacnia, skoro zadowolenia nie znajduje. Po mózgu przesuwają się płomienne wężyki, które do krwi kasaają, w szal ukąszonego wprawiając. Myśli jego okraża wieniec pokus, drażniąc się z nieszczęśliwym. „Nie mógłbym—powiada Agaj-Han—zbliżyć się i ręką ślizgać po twój sennój piersi, rozpiąć ci chaczem zawoje szat twoich a, nasyciwszy wzrok, z zawrotem głowy rzucić się na ciebie. Budząc się, poczułabys pierścienie potężnego węża, okręcone wokoło kibici. Wgryzłbym się gwałtem w twe usta: oddechem przepalilibym ci gardło, pocałunkami podziurawił lica, włosów twych gęstwinę zarzuciłbym na siebie. Ha! co chwila cisnę cię moenięj. Zwycięzam. Tyś moja! Tyś moja!... Każda żyła twa bije w zgodzie z każdą żyłą moją, palce, co twarz mi kaleczyły, teraz już w obłąkaniu igrają z moimi włosy...” Piekło w duszy człowieka—ze wszystkimi tradycyjnymi mękami!

Inni znów chłodni, lodowaci, głusi na namiętne wybuchy. Nie ich męczarnie zwysłów i serca nie obchodzą; dążą dalej, depeząc po rozgorączkowanych ciałach i rozszalałych umysłach ze spokojem kamiennego posągu, któremuby wróżka władzy ruchu udzieliła. Litości nie znają, spółczucia mieć nie mogą. Czola ich otaczają dyjademy róż kolezastych albo też... cierni; nikomu zbliżyć się niewolno, dopóki tego dyjademu nie złożą i nie okażą się w zwykłej ludzkiej postaci. A zdarza się to bardzo, bardzo rzadko!...

Wśród takiego otoczenia zjawia się przed nami *Maryna* Mniszchówna: sławna w dziejach naszych awanturnica, która po trupach kilku mężów wstępowa-

ła na stopnie tronu. W sercu jej odzywa się głośno jedno tylko pragnienie, jedna żądza, którą bądź co bądź zadowolnić musiała. Ambycja, sięgająca do wyżyn królewskich, rozwielniając się wszechwładnie, zabija w niej prawie wszystkie inne uczucia. Kiedy po śmierci drugiego już męża (żyda podobno), przyjechała na pole bitwy, żeby urwać pierścien królewski choćby z palcem zabitego, wydała krzyk; jednakże był-to krzyk — dodaje poeta — „królowej na ruinach swojego pałacu, wojownika na polu przegranej — *ale nie żony nad ciałem męża...*” Jęj o pierścien chodziło, nie o człowieka, którego była i nazywała się drugą połową. Stąd też gdy później widzimy ją słuchającą z zadumą na czole i miłosnym spojrzeniem w oku opowiadania Zaruckiego o jego czynach bohaterskich, rozczulenie jej i zachwyt przypisujemy raczej dźwiękom oddalonych muzyki, zapachowi wschodnich aromatów, wprawiających w rozkoszne omdlenie, słowem upojeniu zmysłów aniżeli istotnej duchowej miłości, której odczuwać już nie mogła. Bo i jakże było nie uchylić czola na dzielne ramię wojownika, kiedy „sultańskie sofy i wezgłowa, kobierce seraju, najrzadsze kwiaty, kamienie, konchy, perły naokoło” błyszczały; kiedy palily się światła w wazonach z przejrzystego alabastru i „barwę rozkoszy” po ścianach rozwodziły!... Jakże oku nie było błyszczeć radością zadowolnionej dumy, kiedy makaty tkane w kwiaty ze złota i srebra kształtnie się faldowały u okien i u drzwi; kiedy „z piór ptasich u sufitu rozwieszona była tęcza;” kiedy u stóp Maryny wałaly się porozrzucane po jedwabiu i atlasach „korale, wachlarze, naramienniki i muszle”... Jakże nie było roztulić ust do pocałunku, kiedy w cieniu róż

i jaśminów, zapelniających oddechem swym sałę, stały napoje azyjskie, owoce, śniegiem zaprawione cukry, archipelagu wina" a po kątach paliły się w misach „pustyni balsamy!...” Upojenie tą gorącą wschodnią atmosferą musiało się objawić w namiętnym uścisku, w szale zmysłów; spokojną i chłodną i dumną jak zwykle Maryna pozostać nie mogła. Wybuchowi jej pragnień towarzyszy oddalony dźwięk muzyki, której tony — „jak ostatnie fale u brzegu zwolna pluskając” — umierały w jej i Zaruckiego uszach. W tych tonach drżała siła ukryta, co powoli — „jak krople wieczornej rosy, których się nie czuje” — wsiąkała w mózg i w piersi... „Przy nich — dodaje poeta — dziecko płakać przestanie i uśnie, a wojownik szabłą npuści na ziemię; przy nich pamiętki przerabiają się w poezyję, chwila teraźniejsza staje się wszystkiem a o przyszłość się nie dba; bo gdzież już szukać miłszej nadziei nad to, czém teraz napawa się serce? aż wreszcie człowiekowi zaczniesz się marzyć o harfach aniołów i zechcesz się konać...” Któż się takim powabom oprzeć zdoła, kto? chociażby mu jak i Marynie z „czoła i pychy na niem wyczytać można było imię męża „o dużém ramieniu!...”

W każdym innym atoli razie Maryna jest dumną i zimną. Płomieni Agaj-Hana nie odczuwa; pamięta o swęj wielkości, pomiata nim jak niewolnikiem, jednym słowem, jednym skinieniem unie dumę jego na proch zetrzeć — „Dobrze waszmości grać na cymbalach i kotlach gwoli naszej zabawie; ale waszmość pamiętaj, kto jesteś a kto ja.” „I ja kiedyś byłem wielkim — wyznaje Zarucki — i mnie dnie pychy się zdarzały: ale nigdy nie w złych czy w dobrych lo-

sach *twój nie zrównał duszy.*” Będąc już w mocy Agaj-Hana, ani na włos nie zmniejsza swęj dumi. „Łosem wojny — mówi surowo — w ręce slugi swego dostała się pani; ale nie przeto znikł rozdział między carową a giermkim” — Sama jesteś wśród hufeów moich” — robi uwagę Agaj — „Wiem o tóh, że sama, i dlatego *na śmierć się gotuję*” — odpowiada dumnie Maryna. Przypomnieniem dobroci swęj nie wzrusza się wcale; myśli wciąż o jednóm — o władzy. Agaj-Han chcąc ją rozczulić, opowiada, jak raz podczas biesiady „na śnieg obrusu” spadł motyl przed jej puharem, ona do ust, go przytuliła, oddechem obwiała, głosem nęciła, by ożył. „Zważ sama — dodaje — owadowi miłosierna, nad człowiekiem nie cheesz mieć litości!” Maryna odpowiada mu chłodno: „Waszmości w pamięci motyl, a z pamięci wypadło, żeśmy otoczeni wrogami i że Igor Zarucki czeka na mnie za temi bramami...”

Ufna w piękność swęj i skry oczu, które chyba wraz z życiem zagasną, niezém się nie zraża, *na nie się nie skarży.* Raz tylko jeden widzimy ją rozczuloną — wśród nędzy — śmiercią dziecka. Pieczara za Jaikiem. Na łożu „z mchu” ciśnie Maryna dziecię do piersi. „Sklepienie jaskini zakręza się nad nią, tu i owdzie draśnięte blaskami płomienia, dogorywającego na szerokiém ognisku, zasypańem popiołami, zasianóm węglami.” Rysy na wyniszczone chorobą ciała i duszy, jednak uroda ocięga się, „nie chce opuścić twarzy którą tak długo krasila.” Dziecię umarło. Ukłękła Cichą modlitwą wzniosła się ku niebu. Potóm je troskliwie drogą suknią (ostatniemi już łachmanami) o krywa, lękając się, by „piasek nie zaleciał między fałdy, by żwir gdzie nie gniółt dziecięcą i własną ręką

wygląda dół grobu." A potem... odwróciła oczy, zakryła uszy i głośno modliła się do Boga... Takie uczucia napotykamy wszędzie. Jako kochanka i pani może być statuą pięknego ciała, ożywianego niekiedy ogniami zmysłów, jako matka — jest kobietą, która wraz z dzieckiem traci wszystko, co ją do ludzi podobną czyniło. Jest to zapewne jedna chwila tylko — ale ta chwila jest usprawiedliwieniem kobiety — budzi w nas dla niej współczucie. Spółczucie takie, słusznie czy niesłusznie starał się dla Maryny wyjednać Krasieński. Historycznie nie możemy kwestyi słuszności rozstrzygnąć; poetycznie — musimy i to na korzyść poety. Uczucie matki każe nam zapomnieć przy końcu przynajmniej powieści a raczej poematu — o jej chłodzie, o jej pysze, o podeptaniu wszystkich innych serca porywów, które się bezpośrednio do zadowolenienia jej ambicyi, okrutnej i bezpłodnej, nie przyczyniały. Przechodząc przez czyszcenie naszych sądów, może warunkowo na niesmiertelność zasłużyć.

## II.

## Żona (Maryja).

Dobrze mi, bo umieram przy tobie....

Skarb uczuć najserdeczniejszych, w ramki konwenansów oprawny, staje się ciężarem życia, grobem miłości, niepokojem duszy i niekonsekwencyją myśli. Oto kobieta, która kocha męża jak kraj, jak Boga; dla niego wszystko poświęca: przekonania, zasady, uczu-

cia, rozum wreszcie, a otrzymuje w zamian lekceważenie, szydercze słowa, okrutne odstępstwo. A przyczyna? Przyczyna leży głęboko, — w wychowaniu. Kobieta nie umiała się wznieść na wyżyny orlich lotów mężczyzny — została mdłą i obojętną żoną. Mąż latał po niebiosach stropie, w sferach gwiazdzistych, poił się kwiatów poezją — a ona mówiła o drobnostkach, o torcie czekoladowym, o przyjęciu gości, o ojcu Benjaminie, martwiła się głównie tem, że może zbrzydła... Po roku pożycia Henryk (mąż) wypowiada z goryczą słowa zbyt namiętne może i samolubne, ale w każdym razie nader niekorzystnie świadczące o umysłowej stronie swjej żony: „Od dnia ślubu mojego — powiada — spałem snem otrętwiałych, snem żarłoków, snem fabrykanta Niemca przy żonie Niemce; świat cały jakoś zasnął wokół mnie na podobieństwo moje....“ Zobojętniał też dla niej, odwracał się, kiedy wchodziła i zakrywał oczy, kiedy siedziała blisko; a na jej serdeczne wymówki, znajdował tylko chłodne słowa: „czuję, że powinienem cię kochać.“ Okropny wyraz (*powiniennem*) dla uszu rozkochanej. „Lepiej — odpowiada mu — wstań i powiedz: nie kocham; przynajmniej już będę wiedziała wszystko, wszystko.“ Pomimo to gotowa się poświęcić nawet na gniew jego, byleby jej i dziecka nie opuścił. Napróżno! Kto raz choćby myślą wyjrzał za domowe progi, już się nie wróci, chyba opuszczony i zawiedziony. Zjawia się *dziewica*, która żonie wydaje się trupem cuchnącym siarką i zaduchem grobowym — a mężowi — zjawiskiem świetlanem, obiecującym szczęście i błogosławieństwo wieczne „w świecie świeżym, bez końca, bez noey.“ Dziewica ta ciągnie ku sobie Henryka, zowiąc miłość jego żony liściami „co ginie



wśród tysiąca zeszlých" a ją samą — złudzeniem. Pokusa była silna, bo odpowiadała wewnętrznemu nastrowi Henryka; rzeka więc na pożegnanie słowa pogardy: „Kobieto z gliny i z błota, nie zazdrość, nie potwarzaj, nie bluźń; patrz—to myśl pierwsza (wskazuje na *dziwięc*) Boga o tobie; ale tyś poszła za radą węża i stałaś się, czém jesteś”—i odchodzi, prowadzony syrenim głosem przewodniczki po górach i przepaściach nad morzem... Kraino złudzeń i mar tęczowych! wzdychają do ciebie pocii; a kiedy nie odpowiesz ich życzeniom, kiedy, rozkoszami twojemi obezwładnieni, w rzeczywistości zakrwawią sobie ręce, — skaczą w przepaść, wołając: „Poezyjo, bądź mi przeklęta, jako ja sam będę na wieki!...“ Kraino złudzeń! nie ma w tobie zbawienia....

Po odejściu Henryka żona omdlewa i traci zmysły. Miłość ją zabiła. Żyła tylko obecnością męża, jego myślą, jego słowami. Odtąd już nie istnieje. Przemieniła się w dalekie, głuche echo pragnień Henryka. Prosiła Boga, gromnicę przystawiwszy do piersi, by na nią spuścił ducha poezyi. Marzy, że została poetką. W głowie, jak powiada, ktoś jej lampę zawiesił, a lampę kołysze się nieznośnie... Przy chrzcie błogosławi synowi pod tym jedynie warunkiem, że będzie poetą, bo *zdoła* przebłagać ojca, który dla syna *przebaczy matce*; w razie przeciwnym — przeklina. Mówi o przebaczeniu jakby o rzeczy zwyczajnej, jakby nie ona była ofiarą... Miłość prawdziwa! Czolo jej, „na którym zawsze myśl spokojna, witająca, uprzejma przezierala, teraz pochylone; myśl jej poleciała *gdzieś* w nieznanne obszary; marzy o mężu „i błąka się biedna i płacze;“ dusza opuściła jej ciało i wstąpiła do głowy.“ Chciała

się zrównać z mężem — oszalała. Teraz wszystko już pojmuje, rozumie. — wygra, wyśpiewa, wypowie. Morze, gwiazdy, burza, — oto zwykli towarzysze jej napowietrznych podróży po krainie myślenia. W jej duchu zrobił się przewrót okropny. Marzy o tém, co by było, gdyby Bóg oszalał: „Wszystkie światy lecą to na dół to w górę—człowiek każdy, robak każdy krzyczy: ja bogiem—i co chwila jeden po drugim konają; gasną komety i słońca. Chrystus nas już nie zbawi, krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił wotchłań...“ Cieszy się, że synowi skrzydła przypięła, że go „posłała między światy, by się napoił wszystkim, co piękne i straszne i wyniosłe.“ Do zupełnego szczęścia, do wszechwładztwa w poezyi, brakuje jeszcze jednego: nie zna bitwy. Pragnęłaby się jej przypatrzeć—urzęd i opisać. Na samą myśl tłoczą się do ust wyrazy: trup, całun, krew, fala, rosa, trumna.

Słowa jej jednakże smutne, bo w sercu jasności, światła niema. „Kto jest poeta, ten nie żyje długo“, — powiada głosem pełnym przeczeń grobowych, wśród których ciągle przebywa. Losowi swemu poddaje się spokojnie, z rezygnacją, bez wybuchów gwałtownych, bez narzekania:

„Nieskończoność mnie obleje;  
I jak ptak w nieskończoności  
Błękit skrzydłami rozwięje  
I lece się rozemleje  
W czarnej nicości.“

„Czarna“ jednakże nicość nie przejmując jej strachem; wstępuje w nią śmiało; ostatniem technieniem zwracając się do Henryka, który powrócił. „Dobrze

mi, bo umieram przy tobie” — oto ostatnie jej słowa, streszczające w sobie cały ducha jej obszar, wszystkie pragnienia życiowe, wszystkie myśli, wszystkie pobudki jej postępowania. Cieniem była za życia, cieniem błąka się w naszych wspomnieniach!... A jakkolwiek moglibyśmy surowo osądzić Henryka za jego samolubstwo, za gonienie mar niepochwyczonych, za brak uznania dla głębin serca żony, przecież trudno nie wyznać, że przy tak wysoko nastrojoném usposobieniu, jakie posiadał, przy dysharmonii umysłowych akordów obojga, inny stosunek mało przedstawiałby cech prawdopodobieństwa. Żona z całą serdecznością swoją, z całą szczerością i poddaniem się, nie posiadała jednej wielkiej zalety charakteru, któraby mogła sprowadzić pewną równowagę w pożyciu — nie posiadała energii. Jak księżyc żyła blaskiem pożyczanym. Światła własnego, światła duszy — nie miała. Zawód, wielki bezwątpienia ale nie stanowczy, pozbawia ją zmysłów, przekształca całą naturę wewnętrzną. Ta łatwość wycnicowania duszy świadczy przeciwko niej. Jest-to typ miłości bezrozumnej.

### III.

#### Elsinoe.

„Ja pójdę stopy wikłać z gadem  
co nieustannie płasa naokoło.”

Córa kapłanki germańskiej Grimhildy i Greka Hermesa Amfilocha, jasnowłosa Elsinoe, z pogodnym wzrokiem lazurowych oczu „jak wieczór, co zwolna nocą się objawia, a jeszcze purpury słońca nie zatra-

cił,” z wieńcem cyprysovym na głowie, w śnieżnej zasłonie ze wstęgami z purpury, któremi obwiązane ma piersi,” staje przed nami w blasku wallenrodycznego męczeństwa, jak „widmo nieszczęścia” i bezgranicznego cierpienia. Przepojona gorzkimi słowy, zwiastującami jej groźną przyszłość, lubi się uciekać do wspomnień nieświadomego dzieciństwa, kiedy, igrając na trawnikach Chiary, skronie brata swego wieńczyła różami i mirtem; chciałaby jaknajdłużej zwlekać ofiarę, w której będzie musiała wieniec swój „święty, nieskazony” cisnąć między popioły rodzinnego ogniska, by pójść tam, gdzie ją czeka zawczesna starość w nagrodę upodlenia, gdzie „konwulsyja wstrętu” zginać będzie jej ciało w ohydne przegięcia. Radaby nawet — w ostatnim razie — pożegnać wszystko; sztyletem „przyśpiścić sobie nicość” — niżeli zatruć serce fałszem, używać bezwstydnie wdzięków swego ciała, podobnego do Afrodyty wstającej z błękitnego oceanu „pośród lez piany morskiej, pośród woni zefirów” — jako środka do wysiania z serca nienawistnego człowieka całego jego życia... do wpuszczenia w jego arteryje jadu niemocy i bezwładności... Poświęcona bóstwu śmierci („bogom Manom”), z cichą skargą na ustach: „Biada, biada sierocie!” idzie na męczarnie stokroć okropniejsze niż konwulsyje konania. Zabroniła sobie myśleć o szczęściu, bo ojciec ją skazał i brat ją skazał. Do matki zwraca się z błaganiem: Matko! do Odyna w prośby za córą twoją... Spiesz się matko... *nie prosz o długie życie...*”

Ale raz już przestąpiwszy próg szatana, wiedząc, „że dzieci śmiertelnych piersi jej nigdy nie wyda,” podnosi dumnie głowę, słowa swe staluje nieugię-

tością, serce zamyka na poszepty mile a złudne, pomna, że „przyszłość poczynać się będzie w jej łonie.” Władcę Rzymu i świata całego zmusza do czolganiania się u stóp swoich, do całowania palców u nóg swoich białych, rozkazując spojrzaniem, upokarzając gościem, zabijając słowy. „Tak, śpij — mówi do Helijogabala — dopóki nie przyjdzie centurjon i nie zamorduje cesara. Nieszczęśliwy, powiedz mi, gdzie zbroja twoja? Nieszczęśliwy, temi *palcami* z *wosku* tej rękojęści miecza utrzymać nie potrafisz... Nędzny, gdyby ci przyszło wsiąść na kark balwanom i jeździć po nich jak na koniu bez wędzidła, ażebyś musiał leżeć na śniegu otoczony stadami kruków i całą noc patrzeć w lodowate oko księżycy — biedny ty z purpurą twoją i bogami twemi!” Zmiażdżwszy go szyderczemi słowami, odsłania mu rąbek nadziei w przyszłości—w bracie swoim Irydyjonie, synu Amfilocha Greka. Drażniąc go czarem swoich powabów, do zdziecinnienia przyprowadza. Helijogabal zaprzestaje uczt; wygania dworskie kobiety. Z nią tylko jedną być pragnie, ją obsypać bogactwami, otoczyć władzą. Elsinoe przyjmuje wszystko jako rzecz sobie należną; ale zanadto zbliżyć się nie dozwala. I z całą otwartością duszy niewinnej na wołanie jego: „Elsi, Elsi *maja*” może odpowiedzieć: „Ach, córa Grimhildy, nigdy *twoją* nie była!” Spychając go z jednego upodlenia w drugie, zabijając w nim siłę i energiją, odzywować chce trupa, wołając gniewnie, bezlitośnie: „Nie konaj przed zgonem; wstawaj, każ przywołać Entychijana i straż twoją. Bratu mojemu daj władzę a on ci da zwycięstwo.” Wie o tém doskonale, że słowa podobne nie przedrą się do głębi serca, które zalewa zgnilizna; doniosłości

postępowania swego jest najzupełniej świadoma. Po wyrazach powyższych dodaje: „Stało się. Szaleństwo mu dałam za ostatniego towarzysza u brzegu wód piekielnych, nad któremi stoi teraz.”

I sama atoli tém okropném życiem zmęczona, pragnie jaknajprędzszego zakończenia dramatu, „bo piersi nie zechce dłużej cierpieć i wzgardzi powietrzem.” Szczęście poświęciła wykonaniu zemsty; wydaje więc wyrok zagłady na tego, kto był jej narzędziem: „Niechaj zgasną oczy, pod któremi zwiędłam, niech ramiona, co opelzły szyję moją, opadną jak dwie starte żmije. Usta, co pierwsze ust moich się dotknęły, niech znikną w popiołach...” Mowa o Helijogabalu. Taki jest pierwszy poryw gniewu dziewicy. Lecz później pomyślała jeszcze, przypomniała sobie *innego*, i wyrok zmieniła.....

Ach! bo i ona musiała pokochać. Na dworze cesara ujrzała młodzieńca, o którym była przepowiednia, że zrówna kiedyś boskiemu Aurelijuszowi <sup>1)</sup>. Nazywał się Aleksander (Sewerus). Spotkała go Elsinoe w przysionku Dejaniry. Zatrzymał się i spojrzal: „pierwszy wzrok był niepewny, drżący; drugi już mocniejszy, wyrazistszy — wreszcie odwrócił się w milczeniu pogardy.” Jednakże nie pogardził zupełnie. Przeczuwał może, że w położeniu Elsinoi na dworze kryje się jakaś tajemnica. Wyczytał to z jej dumnego czoła. Oto jak o niej opowiadał: „Staęła pośrodku sali i żadnego znaku bojaźni, hołdu, poszanowania nam nie złożyła. Zrazu miała schyloną głowę; ale

<sup>1)</sup> Marek Aurelijusz, znany z cnót swoich cesarz rzymski z II w. po Chr.  
Kobiety. 18.

wnet podniosła kibić i czoło, wnet spojrzła ognistemi oczyma, gdyby pani, na wszystkich. Cezar zawołał ją bliżej—ani postąpić ani odpowiedzieć raczyła—wtedy skinął na nas i wyszliśmy wszyscy.” Nie obojętnym był na jęj wdzięki—nigdy jednakże z sobą nie mówili. Elsinoe w ciszy świątyni, przy posągu Dyjany marzyła blogo czas krótki o tój meskiej postawie, o orleńm spojrzeniu, które jak oddalona gdzieś błyskawica zajaśniała jaskrawo i znikła. Czuje w sercu jakieś nowe pierwiastki, jakieś drgnienia niezwykle: „O ja—bym mogła była kochać jak ona (t. j. Dyjana), kiedy wśród cichėj nocy, oparta na łuku złotym, spuszczała się przez fale błękitu, by marzyć nad sennym Endymijonem.” Miłość jęj była marzeniem. W marzeniu kochała Aleksandra. Wszystkie burze, nad jęj głową zrywające się, pragnęłyby zażegnać choćby ostatniem swoim westchnieniem. Kiedy Irydyjon oświadcza stanowczo, że i on również (t. j. Aleksander) przeznaczony zagubie, Elsinoe woła wysiłkiem głosu: „Precz, precz; ja nie żądałam zemsty—odwołaj, odwołaj!”—i omdlewa. Po chwili przychodzi jęj na pamięć ofiara, którą poprzysięgła; prosi brata o przebaczenie („Daruj, nie do takich załów powołały mię bogi!”);—ale pomimo to w głębi jęj duszy pozostało pragnienie niczém niezwalczone—ocalenia Aleksandra, pragnienie, które musiało zarazem wydobyc się na jaw. Kiedy godzina walki nadeszła; kiedy plomienie miały Rzym ze wszech stron ogarnąć; kiedy miecz zemsty wisiał nad głową winnych; ona błaga brata powtórnie: „Oszczędzaj Aleksandra na polu bitwy; nie zarzucaj śmiertelnych cieni na to greckie czoło...” Co więcj, dla wyproszenia go od śmierci przebacza wszystkim: „Pamiętaj — mów

do Irydyjona — krwi nieczyjjej Elsinoe nie żądała od ciebie. Żyjcie wszyscy—wszyscy—i on, *Syryjczyk, on przemierzył, niech żyje.*” Tak, nawet ów Helijogabal nikczemny, którego nienawidziła szaleem człowieka, pozbawionego wszystkich jasnych życia promieni; i ten zniedołężniaty rozpustnik, którego usta na spalenie przeznaczała niedawno, dla Aleksandra miał być zachowany, aby zgnil w brudach własnej duszy. Elsinoe podaje niby przyczynę ogólną tak litościwego usposobienia: „Pod koniec ofiary — powiada — rąk białych i śnieżnej szaty nie skazi dziewica;” — ale my wiemy, że miłość dla Aleksandra, myśl, że i on ocaleje wraz z pozostawieniem przy życiu Helijogabala, włożyła w jęj usta wyrazy pełne przebaczenia i wzniosłej ofiary. Ta jedna myśl łagodzi jęj męczarnie, ducha utrzymuje w spokoju, dodaje odwagi, czyni cierpliwą i łagodną. Cienie grobowe łączą się z blaskami miłości, wywołują nanowo w duszy wspomnienia szczęśliwego dzieciństwa. „Raz jeszcze—mówi do brata—słostre przycisnij do łona! — czujesz-li, jak to serce pracuje? nim wrócisz, ono pęknie. Ty bądź szczęśliwym i wielkim—a jeśli kiedy przepływać będziesz po Egejskich wodach, garstkę popiołów moich rzuc *na brzegi Chiary.*” Dniem i nocą jęj sny, jęj żądze, jęj wiosna palily się na zgliszczach! Dymy z nięj tylko w powietrzu—ale godzina już bliska i ciało się odwiąże „jak koturny taśmy,” wiązka piółunu tylko zostanie na ziemi i „duch stanie się cieniem.” Teraz już nie omdlewa, patrzy jasno na życie ubiegłe, dopełniła przysięgi. Kiedy Aleksander Sewerus, zwycięzca, wchodził do sypialni Helijogabala, wołając z sil ciałych: „Kto dotknie się Greczynki, temu nie żyć jutro”—ona

sama, odchylając z piersi purpurową zasłonę, pchnęła się sztyletem. Umierając i padając w objęcia Aleksandra, wyszeptala: „Irydyjonie! wroga twego nie będę kochała.” Dumną była w offerze tak jak w pogardzie. Miłość swoją stłumiła, widząc, że Aleksander żyje i jest zwycięzca; chciała się poświęcić cała, bez podziału, bez rozdarcia swych uczuć na dwie połowy. Gdyby słowo „kocham” w ostatniej chwili wyszeptala, za nic-by już uważala życia całego zasługi. Występuje ona całkiem biernie! Nie z przekonania, nie z własnego pomysłu, żyła wśród hańby i upodlenia; ale dla tego tylko, że tak przysięgła w chwilach nieświadomości, że tak kazał ojciec i brat. Spełniła to, co spełnić mogła. Zwalczyła wszystko w sobie, co jej na przeszkodzie stawało, co było krzykiem oburzenia, wstrętu, pogardy — albo też szepem nieszczęśliwej, podzielanej miłości. Nie cenimy więc w niej samodzielności postępowania; ale uwielbiamy drugi wielki przymiot, który rzadko napotykać się daje: świadomość czynów spełnianych z natchnienia wprawdzie obcego ale z własnym przyzwoleniem. Nie jest-to więc ofiara, której ojcem byłby przypadek, los, okoliczności nieublagane, niezarażona, słabość ducha lub t. p. — lecz ofiara pojęta, zrozumiana i wykonana przez dziewicę, mającą siłę wytrwania na raz *uszkazanej* drodze.

Serce nasze oddajemy jej całe — na chwilę, bo życie z samych poświęceń składać się nie może i nie powinno. Przypatrzmy się dobrze temu cndnemu ciału, które spoczywa na wzniesionem łożu, w białych szatach, osypane gałązkami cyprysu. Podnieśmy wraz z innemi kropielnicę cyprysową i rzućmy na zmarłą kilka kropel wody lustralnej. Za chwil kilka płomie-

nie stosu zwęglą to ciało, które było celem zazdrości a duch uniesie się, jak mówi chór, tam kiedy się wiją roje umarłych, jako dymy ciężkie. „Tam spokój cichy i smętny, tam pełna czara zdroju letejskiego <sup>1)</sup> czeka na ciebie i cienie dziewic, co jako ty zniknęły przed czasem, *kwiatów świętych ocalone liście.*” Siostra nieszczęśliwych, w dniach smutku będzie miłą i wielbioną marzeń towarzyszką....

## IV.

## Kornelija Metella.

„Uczyń ją zwierciadłem myśli twoich niech je odbija i ciska naokół bez pojęcia, bez uczucia, ale siłą, co w piersiach męża góruje porwana i zniszczona.“

Kornelija, ostatnia ze starożytnego rodu Metellów, nazywana błogosławioną i świętą, z okiem czarnem „jak węgiel,” błyszczącym „jak żary,” żyła w kontemplacyi rozkrzyżowanego ciała, w zachwycie nad temi bolesnemi rysami, które zgasły, jak sądziła, w zwycięstwie miłości. Piękność jej „wyludzona u boleści” nie da się ująć nawet wszechmocnym dźwiękiem Fidyjasa, nie da się skreślić słowami. Jakis blask mistyczny okalała jej skronie, jakis ogień nadziemski rozplamienia jej lice, wpatrzone w Chrystusa. Roz-

<sup>1)</sup> *Lete*, rzeka w kraju podziemnym według wyobrażenia starożytnych, której woda sprawiała ten skutek, że zmarli o wszystkich troskach życia *zapominali*.

kochana w Bogu, nigdy nie spuściła oczu ku śmiertelnym twarzom. Przepędzając większą część czasu w podziemiach rzymskich, zwanych katakumbami, w których ukrywali się chrześcijanie przez pierwsze trzy wieki, pośród grobów, w atmosferze pochodni i kadzideł, wycieńczona postami i umartwieniem, miała wyobraźnię pełną widm ognistych, pełną urzeczwiotnionych przepowiedni apokaliptycznych. Marzyła ciągle o rzeczach ziemskich. Miała widzenia święte. Doznawała poważania nie tylko od wiernych, ale od kapłanów i biskupów, którzy ją ukochaną córą kościoła nazywali.

Irydyjon, chcąc zwolenników dla siebie pomiędzy chrześcijanami pozyskać, potrzebował takiej kobiety, dla której mógłby się stać bogiem. Bo koniec końców Kornelija była kobietą, nie żyła jeszcze w krainie anielstwa. Mogła porzucić umarłego Chrystusa dla żyjącego i potężnego Irydyjona. Co więcej, mogła go uważać za Chrystusa, który powtórnie przyszedł na ziemię. Odbywać się to będzie stopniowo; ale nie ma nic niemożliwego. Ówczesne wyobrażenia religijne silnie takiemu sposobowi uczucia i myślenia dopomagały. Chrześcijanie, opierając się na niektórych wyrażeniach Jezusa i na prorocтваch, w Objawieniu 5-go Jana zawartych, spodziewali się rychłego przyjścia Syna Bożego „w chwale i majestacie,” przyjścia, które miało położyć kres bezbożnemu ich dręczeniu przez zniewieściałych cesarów. Nadzieję tę odkładali z roku na rok, z jednego dziesiątka lat na drugi — ale spodziewali się ciągle, nfn i w nieskończoną miłość Wszemocnego i prawdziwość słów jego wysłańca. Rzecz naturalna, że wyobrażenia podobne najwięcej znajdo-

waly wiary u kobiet, zawsze pochopnych do złudzeń, których urzeczywistnienie mało cech prawdopodobieństwa przedstawia. Kornelija w halucynacyjnym naprężeniu ducha miewała zapewne nieraz widzenia nawet najwyraźniejsze: i krzyża ognistego na niebie i aniołów trąbami powołujących trupy do życia nowego, wiekuistego... W ówczesnym stanie wiadomości jeograficznych koniec świata równoznaczny być musiał z końcem istnienia państwa rzymskiego, którego rozprzężenie każdemu już w oczy wpadało; a scena sądu ostatecznego rozegrać się przedewszystkiem musiała już po zburzeniu stolicy zgnilizny — Rzymu. Kto więc dążył do obalenia władzy cesarów; kto chciał po cegiełce rozbierać gmach zbudowany wiekami; łatwo mógł uchodzić za jakiegoś opatrnościowego zesłańca.

Irydyjon więc miał pole przygotowane. Potrzeba było pozyskać rozgłos jakimkolwiek sposobem. Wybrał kobietę. Kobieta ta była czczona i szanowana. Jeżeli ona uwierzyła, mógł liczyć na znaczne masy. Nietrudno było zachwycić rozgorączkowaną wyobraźnię. Irydyjon opowiadał Kornelii o poświęceniu, któremu cały dom jego na bezinteresowne oddał się posługi. Mówił jej o ojcu swoim, o matce, o siostrze. Kęgami światła opasał jej głowę; ognistymi żręciami wdarł się do mózgu. Kornelija ujrzała w oczach jego jaśniejący „ogień wiekuisty, ogień cherubów”; na dźwięk jego głosu „dreszcz jak łuska gadu” przesuwa się po niej. Stał przed nią „jako prorok i jako święty i jako archanioł.” Słucha go chciwie i pragnęłaby skonać. Napróżno chce go z początku nawrócić; łaską „uwiósnić” jego duszę, prosząc Boga o zmiłowanie; napróżno upadając na siłach, tarza się w ku-

rze i wola rozpaczliwie: „Ach! co ja mówię, gdzie jestem? wszak ślubowałam ci, Panie, całe serce moje. Jakże tu ponuro; pierwszy raz strach umarłych mnie napada...” Ona stała się już zupełnie własnością kochanka. Pociesza się jeszcze biedna marnemi słów dźwiękami („Ja wiem, że się urodziła, żeby ciębie zbawić”); ale dusza jej już cała przeszła do kogo innego. Kiedy Irydyjon powiada: „Ostatni raz może mówię do ciebie” — ona te tylko słowa zapamiętała i powtarza je jak echo: „tyostatni raz do mnie mówisz”<sup>1)</sup>. Modlitwa, moc duszy, oddanej Bogu, rozmiłowanie się w Chrystusie nie już nie pomaga. Zdradzają to słowa jej modłów: „Serce biedne, *nie moje, nieznanie serce*, ty, co bijesz tak rozdzierająco, módl się do Chrystusa. Panie, Panie, odpowiedz służce twojej.” Inna teraz u niej logika, inny kodeks moralności. A żeby ukryć swoje widzenie się z Irydyjonem, a żeby usunąć wszelkie podejrzenie, używa poraz pierwszy w życiu podstęp. Przepyszna-to scena! *Biskup*, przystąpiwszy do Kornelii, w oczach której pali się gorączka, dawniej niewidziana, pyta jej: „Czy przynajmniej *modliłaś się* tutaj w uczestnictwie nas wszystkich? *Kornelija* odpowiada: *Modłę, się, ojcze. Bis. Czy sama tu byłaś? Kor.* Ojcze, sama *jestem. Bis.* Drżysz jak światło gasnące; co tobie się stało, Metello? *Kor.* Szukam Pana Boga mego i znaleźć go nie mogę. „I nie znajdzie go tak prędko. Zmysły długo uspięne rozszalały. Coś się rozprzegło w jej duszy, coś się usunęło w jej głowie, coś pękło w jej sercu. W ciemności, wśród zimnych gro-

<sup>1)</sup> Por. podobną scenę u Mickiewicza (*Aldona*): *jedziesz!*

bów, dusza jej drżała jak listek, posłyszawszy „lekkie stopy kusiciela, pięknego jak anioł.” Kornelija obejmuje sarkofag ramionami i prosi popoiłów świętych, aby jej strzegły tej nocy. Ale czuje, że coś „nieśmiertelnego” ją opasało: było-to dotknięcie ręki Irydyjona, który zrywa welon z jej czoła i chwyta ją w objęcia, wołając: „Usta, zostawcie na tém bladém czole obietnicę lepszego losu!” Kornelija, krzyknawszy: „Ach, wraz z tobą na wieki potępioną jestem” — omdlewa. Przyszedszy do przytomności, uznaje w Irydyjonie tego, który miał przyjsć i pokonać dumnych.

Odtąd się stała prorokinią, z włosami rozwianemi, które wśród głów i pochodni „podskakują jak fala...” „Widzę nareszcie, widzę ciębie — woła. Ty raczyłeś dotknąć się oblubienicy twojej — płońiesz cały blaskami żelaza. Panie, gdzie rany twoje, niech je obejmę łzami... Wieniec mój będzie z gwiazd nieśmiertelnych przy boku twoim!” Na rozkaz Irydyjona powołuje wszystkich do broni, opowiadając straszne widzenia, w które bezwątpienia w tej chwili najzupełniej wierzyła. „W gromy zbrojnego widziałam; szedł zdobywając, by zdobywać dalej i nieśmiertelną stałam się w obliczu jego. Nie mu się nie oprze. Strzała jego ciągnęły ziemię odmierzy w przelocie. Strachem otoczył się jak zwojami królewskiego płaszcza i śmierć blade posuwa się za nim...” W Irydyjonie widzi Boga, Syna Bożego, wybawiciela chrześcijan od długoletnich męczarni. Chwałę jego opowiada uważa za swój największy i w największe zasługi obfitujący obowiązek. Szal ten wprawdzie trwa krótko; ale powrót do zdrowych zmysłów przypłaca Kornelija utratą życia. Poeta nie umotywował dostatecznie tej nowej

fazy w duchowych kataklizmach kobiety. Modlitwa i woda święcona, które wypędziły niby z Metelli ducha ciemności, w poemacie jako dzieła sztuki mogą mieć jedynie symboliczne znaczenie jakiegoś potężnego wpływu ze strony osoby działającej w sprawie nawrócenia. Wpływu tego poeta nie uwydatnił; owszem poprzednio, kiedy biskup rozkazywał jej ukorzyć się „przed krwią pańską,” ona odpowiedziała dumnie, wskazując na Irydyjona: „Ukorzę się przed Panem.” Bądź co bądź sen przeszedł. Kornelija jakby coś przypominała sobie bardzo dawnego. Głos jego echem oddalonym się odzywa: „Czyj-to głos? — mówi w odpowiedzi na słowa Irydyjona—słyszałam go tyle razy. Ach, ona (tak siebie nazywa) była prosta i szczerą — ona kochała cię *przed laty...*” Myśli już teraz tylko o połączeniu się z Bogiem. „Sąd pański—powiada—dopelniał się nade mną, umieram, ale w Panu umieram.” Przebacza Irydyjonowi, błagając go, żeby „się modlił do Chrystusa.” Umiera ze słowami: „Czuję woń rosy i kwiatów”— był to przedsmak rajy a raczej chłód powiewający od grobów na rozgorączkowaną głowę kobiety: chwila ziemiejszego zastanowienia się po ustąpieniu szału zmysłów.

Kornelija obok historycznego znaczenia, jako obraz pewnych usposobień w pierwotnych czasach chrześcijaństwa, ma jeszcze wagę i dla nas—tylko już nie ze względu na Irydyjonów, ale na zwykłych śmiertelników. Niestety! fanatyzm religijny, gorączka zbawiania za pomocą mistycznych środków zdarza się jeszcze nieraz na ziemi naszej — wywołując bardzo często skandale. Są ludzie, którzy umieją nadużywać zapалу dla królestwa niebieskiego, zakładając małe fanatyczno-mi-

styczne państwka na ziemi. Niskie ukształcenie umysłowe, brak równowagi moralnej, bunt zmysłów — oto pierwiastki wyradzające fermentacją w duszach może skądinąd szlachetnych, dobrych, ale niewiedzących, gdzie szukać drogi prawdziwej. Dusze takie stają się częstokroć pastwą nie wielkich, wzniosłych—lecz nader poziomych jednostek.

V.

O n a.

„Ty, młoda dziewczyno, znikłaś jak myśl, co sobie kochy gładzącej ulepić nie mogła na ziemi....”

I znowu ofiara i znowu lzy straszne, piekące, które spadają na serca ludzi kamienne. Rozgrywa się przed oczyma naszymi dramat, przypominający, jako barfy echo dalekie, okropne tortury Dyjany w „Niepoprawnych” Słowackiego. I tu ojciec zmusza córkę swoją jedyną do wstrętnego zameścia—tylko z innego powodu. Położenie jej stokroć gorsze, bo zabijają w niej ducha. Nie rozkaz wprawdzie, nie przekleństwo ojca zmusza ją do poświęcenia swęj miłości, swego ukochanego, do zgodzenia się na oddanie ręki obcemu, nienawistnemu człowiekowi;—potężniejsze argumenta na wolę jej uderzyły i starły na miazgę. Na nią kończył się ród starożytny, sławny w dziejach. Książę, zięć przyszły, obiecywał przybrać imię narzeczonej, przyprowadził tysiąc rycerzy pod zamek i wołał do ojca: „oto będą twoi!” Ojciec zachwiany w zasadach, na-



miętnie pragnący przedłużenia swego rodu, ukląkł przed córką i dłoń jej na swoich siwych włosach położył. Krew rozrywała mu skronie; na czole jego widny był konający sen życia całego, mara wielkości i panowania... wzdychał i skarżył się na jedyne dziecko, że go strąca do grobu. Córka zdobyła się na straszliwą odwagę: wyrzekła słowa przyzwolenia.

Odtąd staje się już tylko cieniem przeszłości. Myśli o swym ukochanym, jego wygląda, jego się spodziewa. Nawet, kiedy szła przed ołtarz, by zaprzysiądz wiarę nienawistnemu, „szukała go myślą naokoło, bo oczy nie służyły;” nawet po ślubie wyczekiwała go jeszcze, wierząc, że „nie wszelka zniknęła otucha.” Wszystko, co się do ukochanego nie odnosiło, było dla niej nieznośnym, bo „niecierpiący każdy, kto twoich oczu nie ma, twoim głosem nie mówi i twoją myślą nie oddycha” — mówi do kochanka. Smutną była i blałą, „w jej źrenicach niejasno przebijał promień duszy,” jej kibić bezsilna, znękana. Czasami wzdychała „jak owi nieprzytomni sobie, co już nie myślą o doznanych bólach; czują je tylko — sami stali się bólem!” Cierpiąc atoli, nie chciałyby, ażeby ojciec to cierpienie widział. Po ślubie np. siedziała z oczyma spuszczonejmi „ku wiązce róż, leżącej na kolanie i odrywała ich listki, marząc o czém inném;” pozostały jej w ręku same ciernie. Ojciec nadszedł i powiedział: „Biedna matka twoja, jakżeby *dziś* szczęśliwą była!” Szyderstwo okropne, w egoizmie ojca wyjaśnienie znajdujące. Ona „drżąc” ścisnęła mimowolnie pozostałe w ręku ciernie; potem w pomieszaniu przypiąć je chciała napowrót do sukni. „Czepiły się ostre gałązki do rąbka i sterczały krwią jej palców zadrasniętych świeże.“ — „Czemu płaczesz..

jedynaczko moja?—zapytał ojciec —ach, tyś się skaleczyła, córko—„.O nie to mię boli, ojcze—“ale natychmiast się spostrzegła i dodała: „owszem to, nic innego, ojcze—“i zamilkła... Pozwala nawet ojcu przypuszczać, że jest szczęśliwą. Jednej tylko rzeczy broni z całą odwagą dziewiczą, z całym zapasem niezmarowanej energii—swego ukochanego. Kiedy ojciec odezwał się o nim ubliżając, kiedy i ją chciał przekląć, jeśliby o nim myślała;—ona podniosła się dumnie i odparła „zimno i stanowczo: Kochałam go ojcze!...” Nie można było odpowiedzieć wymowniej.

Czy była-to istota beźwiadowa, beźmyślna, która w milczeniu przyjmowała cierpienia dlatego, że ich następstw późniejszych nie przewidywała? Zgodzenie się na wolę ojca — posłubienie księcia — okrywało ją hańbą, przekleństwem.... Czyż tego nie rozumiała? Cóż znaczyło owo wyczekiwanie ukochanego w dzień ślubu, a nawet po ślubie? Byłżeby-to sen obłąkania lub naiwnego marzycielstwa, które przypuszcza, że wszystko, co się stało, łatwo odwołać jedném myśli skinieniem? Przypuszczenie podobne ubliżałoby gieniuszowi poety. Ona czekała na kochanka, by mu powiedzieć wszystko i—umrzeć. Uciekać z nim nie mogła, bo dopóki jest na ziemi, do póty jest żoną innego człowieka. „Poczucie moralne, silnie w niej rozwinięte, sfalszować się nie da uludnemi sofizmatami bezbrzeżnej miłości. Przysięgła — musi dotrzymać. Ale z drugieji strony niepodobna od niej wymagać, ażeby *żyła* z tym, którego nienawidzić musiała. Kiedy ukochany chciał ją opuścić, ona go powstrzymuje namiętnym wybuchem i dosadnemi słowy kreśli hańbę położenia swojego w przyszłości i pyta go, czy na to może, czy powinien ze-

zwolnić. W tym celu ucieka się nawet do maleńkiej obłudy, którą podobno najniewinniejsze dziewice mają w pogotowiu, jeżeli tylko zajdzie konieczna tego potrzeba. Powiada ona: „*czas, uczuć morderca, czas, róż świeżych na dawnych gruzach przemierzły ogrodruk*, może on i na moje oczy rzuci zasłonę, za którą zniknie twarz twoja.“ Była-to groźba zręcznie obrachowana na miłość kochanka a na zgubę swoje, bo za tym przypuszczeniem, idzie obraz przyszłości: „*Patrz—mówi dalej—na jego czole (męża) słowo: hańba, sadzone dyjamenty; w oczach piekło błyszczy a miasto ramion dwie syczące żmije—one pełzną przez powietrze, dotknęły mię, opasaly, głowy zanurzyły mi w piersiach, i z serca mego jak z czary krew moją czystą, krew moją świętą pij!*“ Czyż obraz ten nie wstrząsnął do głębi duszy kochanka, czyż nie zdecydował śmierci lubię, którą zapewne uwolnić trzeba było od syku żmii... Wszak ona sama go błaga o śmierć jak o zbawienie. Tyś mnie przyszedł wyzwolić—wola do niego—pełnij mnie w serce, wyrwij mnie potworowi; a sam żyj jak najdłużej dla dobra społeczeństwa; ja czekać na ciebie będę w czyszc „cierpliwa i tęskna;“ tylko czasami rzucę na grób mój „pióra z helmu lub pierścien z kolczugi.“ Żąda wspomnień, jak Aldona Mickiewicza, nie wiecąc. Miłość swoją za grób świata przeniosła; bo na ziemi kochać niewolno jej było. Już na śmierć gotowa. Jedno jeszcze tylko: obrączka ślubna. Zdiera ją z palca, składa na wezglowiu, zwraca się ku wodzowi: „*Teraz tyś pan i mąż mój na wieki*“<sup>1)</sup>. Zewnętrzne

<sup>1)</sup> Por. zdjęcie korony i obrączki przez Maryję Stuart (u Słowackiego).

formy jak zawsze nawet u najidealniejszej kobiety wielką odgrywają rolę: bez ich spełnienia nie miałyby spokoju.

I stanęli oboje na progach krużganku. Wszystkie obrazy i obietnice życia raz jeszcze w tej przedostatniej chwili przesunęły się przed ich oczyma: „*w pobliżu zaraz szmer i błysk fontan, wdzięczne kształty filarów, kwieciami umajone krzewy!*—dalej na wzgórzu bielejąca ścieżka ucieczki, las gęsty w dole; za lasem już otwarte pola;—a dalej jeszcze w odbłyśkach zorzy, wolnych wierzchołki gór! Z pośród ich szczytów wejść miała dla bohatera kiedyś gwiazda chwały — a teraz cały ten widnokrąg będzie mu tylko zapomnienia grobem! Ona ze schyloną głową cisnie się k'niemu wzywając *czy przedszego zgonu czy spojrzenia miłości.*“ Jedno i drugie zlało się widocznie w harmonijną całość. Oslabła, zarówno ezuwaniami jak troskami, nie poznawała już siebie samęj, bo wyciągając ręce ku zwierciadłu, krzyknęła: „*czy widzisz, jaki piękny anioł mój!*“—„*Ach, piękny!*“ powtórzył ukochany z głuchym jękiem i upadając przycisnął ją do piersi. Słychać było zbliżające się kroki,—to pan młody śpieszył do żony... Ukochany wzniosł śmiertelne żelazo... „*Męka śmierci lekką im była wśród zachwyty ducha...*“

Siedmiu starców, co napróżno oczekiwali powrotu jej ukochanego, nazwali ją „*szyderczem imieniem: kobieta.*“ Pomimo oburzenia poety na tę żelazną konskwencyjazyelową, musimy w części przywtóżyć słowom starców, choć serce nasze rwie się do tej białej, czystej postaci, której „*zawadzały skrzydła,*“ choć jej aureoli męczeństwa nie odmawiamy. Cóż bowiem stra-

sze jój poświęcenie działo? Czy ukochanego do nowego życia, pełnego chwały popchnęło? Czy wybawiło jój ojca od zgryzot, od śmierci przedwczesnej? Czy jój samej ubogostawienie szczęścia przyniosło? Z zalem odpowiedzieć musimy na te pytania — przecząco. Są powikłania losowe, w których dla szlachetnego człowieka wybór sposobu ich rozwiązania jest trudny. W walce życia wielu poledz musi, ażeby ustąpić miejsca dla szczęścia innych. W przedstawionym dopiero co dramacie mogły się rozwinąć dwa życia silne, błyszczące nadzieją przyszłości, gdyby na zawadzie nie stanęło życie trzecie — starca o spróchniałych arystokratycznych pojęciach. Córka, ulegając Izom ojca, zrobiła poświęcenie ze szczęścia własnego; ale, ażeby poświęcenie przyniosło dobroczynne owoce, potrzeba było, iżby żyła z nikczemnikiem, iżby się zhańbiła. Pozostawał wybór pomiędzy hańbą a śmiercią. Córka wybrała śmierć — i tym sposobem poświęcenie swoje w niewiecz obróciła — zabiła ojca. Gdyby wybrała hańbę, ojciecby żył; ale jój własna dusza byłaby zbezczeszczonea... W obu wypadkach poświęcenie przedstawiłoby się jako rzecz bezpłodna. Córka była kobietą; jedynym kierownikiem jój czynów było serce — zbłądziła....

\* \* \*

Smutném pokrewienstwem poświęcenia łączą się z sobą *Elsinoe* i *Ona* z tą jednakże różnicą, że czyn pierwszej mógłby przynieść pewną, może wielką nawet dla społeczeństwa korzyść, gdyby mu towarzyszyło powodzenie skądinąd; czyn zaś drugiej w żadnym wypadku użytecznym być nie mógł. Życie ich zniknęło jak „dym kadzidel” spalonych na cześć uczu-

ła w części jednostkowego, w części ogólniejszego. Istoty te mają namiętności i słabostki; spragnione są świeżego powiewu łąk i pól ziemskich; ale raz się już poświęciwszy, nie chcą cofać ofiary i z nieśmiałą skargą na ustach, ze „śniadą błałością” na marmurówem czole dążą w dal nieskończoną, w wieczność zapomnienia. Nie mogąc być dla nas przewodniczkami na drodze zwykłego, codziennego życia, podnoszą ducha naszego do sfer szlachetnego marzenia i stawiają zagadkę trudną do rozstrzygnięcia. Namysł, rozważa, jaką postaci ich w nas obudzają, są wystarczającym dowodem, że w duszy ich była głębia i treść wielka, wzniosła....

*Kornelija Melella* — to kobieta, zawieszona pomiędzy niebem i ziemią, wśród uczy zmysłów wzywająca Chrystusa, by ją wyrwał ze szponów kusiciela. Długie szamotanie się, podtrzymywane obustronną potęgą czynników na nią działających, wyczerpuje jój siły i rzuca pomrok śmierci na jój piękne, rzymskie rysy.

*Maryja* jest ostatecznym wyrazem niesamoistności kobiety. Żyje dla męża i przez męża. Jego sąd jest jój sądem; jego pragnienia — jój pragnieniami. Chcąc się przypodobać mężowi, usiłuje zostać poetką — zostaje obłąkaną.

*Maryna* wreszcie — to z jednej strony kamieniu posąg kroczący po trupach, ażeby obalić żyjących, z drugiej zaś piękne ciało z uczuciem macierzyńskiej miłości. Brak połączenia dwu tych czynników rodzi jakąś niepewność, jakies wahanie się w naszych dla niej uczuciach. Z początku obojętni, pod koniec poematu musimy ją otoczyć sympatją. Gdy sobie przy-

pominamy historyczną rzeczywistość, unikamy jej wspomnienia....

W postaciach tych brak równowagi duchowej, brak harmonii. Rozdrażnieni, roznamiętnieni, rozegzaltowani, uniesieni wysoko nad ziemię—nie wiemy, co począć ze sobą, gdzie złożyć głowę rozgorączkowaną. Miłe, urocze, czarodziejskie nawet dźwięki upajają nas, rozczulają i zamykają przed nami bramy zimniejszej rozważli. Sympatyczne słowa, wysokie, święte uczucia niemal o oszołomienie nas przyprawiają; „święty szal” nas porywa — jak mówili Grecy. Stąd tak nam trudno, tak przykro formułować zdanie krytyczne—a jednakże musimy.

Kobiety Krasńskiego—to wyjątki nieszczęśliwe, powołane do życia nieszczęśliwem położeniem, rozstrojeniem stosunków, zamętem wyobrażeń, rozgorączkowaniem uczuć, brakiem myśli przewodniej w postępkach życia codziennego. Żyjąc wysoko podniesionem życiem duchowem, są szlachetne po większej części i wielkie względnie, ale właśnie dlatego, że usiłowały zerwać z naturalnym uczuciem rozwojem, popełniały niekonsekwencyje a nieszczęścia na siebie i innych sięgaly.

## I d e a l y.

Hej, bracia orły, do lotu!

Gwar życia ogłusza nas. Różnorodność jego objawów, najczęściej poważna, czasami śmieszna, niekiedy okropna, szarpie nas na wszystkie strony, nie dając odpoczynku, niezawsze kołysząc pieśnią szczęścia stroskane serce nasze. Miło jest zamknąć okna, przez które wdziera się nieproszona rzeczywistość, zasłonić je grubemi firankami, zapalić bengalskie ognie na kominku, rozwiesić tęczę wyobraźni wzdłuż zacisznego pokoiku, rozmarzyć serce i głowę wysnionemi obrazami i puścić się w wędrówkę po tej krainie, gdzie się przechadzają aniołowie i duchy, gdzie miłosne zachwyty kończą się niedosłyszanym pacalunkiem a jęk rozpaczny rozlega się jedynie w echu niepochwytym. Miło śnić i dumać, bez bolesnego wołania o chleb powszedni, bez ciężkich rozpraw o pracy organicznej, bez stawiania zapory swoim ulubionym zachceniom. Pomysłimy wtedy o ideale doskonałości i piękna — o kochanej kobiecie, o szczęśliwem pożyciu we dwoje, o wesołej przechadzce po kwiecistych alejach... złudzeń. O wszystkich zapominamy: o świecie, o ludziach, o prawach loiki, o urządzeniach społecznych i prze-

wrotach politycznych... zanurzamy się całkiem w kąpiel miłą, usypiającą, za którą się wcale nie płaci. Troski, zmartwienia, kłopoty, nieszczęścia przeszłe — znikły jak w sali sztuk magicznych; jaśniejemy radością, kochamy ludzkość, zapalamy się niekiedy do czynów wielkich, chcielibyśmy się poświęcić, dać ukrzyżować i to bez żadnej nagrody, bez pochwały nawet — zastrzegamy sobie tylko, żeby nas wspomniano... Ach! bo wspomnienie stanowi ogień ożywczy naszego zapалу!...

Chodziliśmy po takiej krainie wraz z naszymi poetami. Zasiana ona była już-to kwiatami naszej prostej przyrody, już też egzotycznymi roślinami krajów, w których gorące słońce do ruchliwszego i bujniejszego życia pobudza. W takim otoczeniu na rozkaz naszych przewodników zjawiały się przed nami wypieszczone ich ideały. Przypatrywaliśmy się ich twarzom, staraliśmy się zajrzeć w głąb ich duszy, śledząc w poruszeniach, gestach i mowie znaków wewnętrznego nastroju i usposobienia. Po większej części dostrzegaliśmy w nich smutek głęboki, rozpacz krwawą, poświęcenie bezsilne. Niekiedy wprawdzie przedstawiła się nam młodzianka twarzyczka uśmiechnięta radośnie, bezwiednie, jak kwiatek, do którego przyrównać ją było można; niekiedy energią słowa i czynu dała nam poznać duszę głęboką i silną, dobrze uposażoną na życie. To była chwila tylko — jakby dla podtrzymania w nas nadziei, słabnącej na widok postaci omoczonych smutkiem, chodzących w żałobie. Boleść, rozczarowanie, nieszczęścia, ofiary, od których wyprosić się niepodobna — oto są najgłośniejsze rysy duchowej istoty tych kobiet, które poeci przed oczy nasze przyprowadzili. Wśród pięknej, zawsze jedna-

kowej przyrody usposobienia ponure, mroczne, izamizalane zdziwiły nas. Pytaliśmy się naszych poetów, czy-to tak zawsze na ziemi, czy tak być musi, czy tak być powinno?... A jeden z nich podnosząc wzrok ku niebu, odpowiedział: „Nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi.” Drugi zaś w rozżaleniu uśmiechnął się szyderczo, choć mu łyzy paliły powiekę, i odrzekł:

Tak... to los mój na grobowcach siadać  
I szukać smutków blahych, wiotkich, kruchych;  
To los mój — senne królestwa posiadać,  
Niemie mieć harfy i słuchaczów głuchych  
Albo umarłych....

Jeden tylko w milczeniu wskazał na dziewczynę w sukience zielonej „jak ruta pozioma,” opartą na ramieniu hożego ulana, która, uśmiechając się, mówiła szczebiotliwie: „Pracy też nie lękam się, bom *młoda i zdrowa*...” Spojrzeliśmy: dziewczyna wyglądała na lat piętnaście; uśmiechnęliśmy się jak i ona... ale nie nabraliśmy jeszcze przekonania, że owe płacze i smutki i zawody różanemi swemi usty zażegna... Smutno nam było; ale smutek ten, dopókiśmy się znajdowali w raju poezji, podobny był do zamyslenia rozkochanej dziewczycy, aniącej o kochanku; przyszedł kochanek, powiedział słówko: dziewica w różę się zmieniła. Rolę kochanka względem nas odgrywali poeci. Jak czarnoksiężnicy kazali nam przypatrywać się swoim obrazom i nie oglądać się poza siebie. Obrazy były tak endowne: tyle sympatycznego ciepła rozlanego było w kolorycie, tyle wybornych rysów w postaciach, tyle czarodziejstwa w otoczeniu, żeśmy zapominali o rzeczywistości i oddawali się całkiem artystycznej rozkoszy.

Teraz się budzimy. Przypominamy sobie wszystko, cośmy widzieli, i spostrzegamy, żeśmy mieli przed sobą prawie same patologiczne objawy życia kobiecego. Ilekroć pojawiły się strony dodatnie, pełne szczęścia, ruchu, energii i samodzielności—przedstawiły się one albo ułamkowo, albo w pierwszym, beźwiadomym niemal okresie życiowej wędrówki. Jakaż tego przyczyna?

Łatwo możemy przypuścić, że kobiet samodzielnie występujących, ufających we własny rozum i czynów dzielność nie było jeszcze za czasów, kiedy poeci nasi nad społeczeństwem spostrzeżenia swe robili; przypuszczamy tak mianowicie dlatego, że kwestyja usamowolnienia kobiety wtedy była dopiero w samych początkach w Europie nawet—nie mówiąc już o naszym kraju. Zwolennikami więc i przedstawicielami tego kierunku poeci nasi być nie mogli. Krasński go przeczuwał, ale bliżej nie określił, Mickiewicz luźne tylko myśli, i to w okresie towiańszczyzny, w listach prywatnych, o samoistności kobiety pozostawił, Juliusz Słowacki zaś był przeciwnikiem ruchu kobiecego. Wnosimy to z szyderczych wzmianek o pani Stael i Tańskiej. Do pierwszej, jak wiemy, przyrównał Idalię; o drugiej w listach jego spotykamy takie wyrażenie list z *Paryża* 9 listop. 1832): „Jest tu panna Tańska. Zdaje się, jakoby się tu cała literatura przeniosła, to jest literatura młoda — *literatura kobieca, garbata trochę*—literatura kłótniwa trochę, paszkwlowa!...” A po jej śmierci te słowa napisał do matki (15 października 1845): „Umarła tu nam autorka nasza dla dzieci niegdyś pisząca. Odpoczynek jej, ale nie kopój, bojeszcze wiele czynić pozostaje, nawet ona

sama wiele z tego, co uczyniła, sama wywrócić musi... tamy przeciwko egzaltacyi kładzione... serca przez nią na kluczyk od spiżarni zamknięte, a które klucz nieszczęścia będzie musiał otworzyć nanowo. Bo nie na samych tylko prawidłach moralności stoi anioł żywota, ale i skrzydła ma, które go częściej na powietrzu utrzymują niż na nogach... Nie wiedząc, a sprostąntantyzowała kobiety. Nie miej mi za złe; bo prawdę mówić muszę nawet o umarłych, abym w prawdziwych umarłych rozkochał żywych.”

Nie więc dziwnego, że kobiety samoistnej, dodatnio a świadomie na społeczeństwo wpływającej nie znajdujemy w utworach naszych wieszczów. Ale niepodobna przypuścić, ażeby społecznie nie było znacznych kobiet obywaterek, pojmujących swoje obowiązki nietylko w rodzinie ale i w społeczeństwie.

Ażeby brakich w poezyi naszej wytłumaczyć, trzebażwazyćdwie ważne okoliczności. Pierwsza, że najwięksi nasi poeci bawili w kraju przez czas bardzo krótki t. j. dziecinny i młodzieńczy. Mając lat 20 lub dwadzieścia kilka wyjeżdżali za granicę, gdzie większą część życia swego spędzali. To, co zaobserwować mogli przez czas swego pobytu w kraju, odnosiło się przeważnie do strony uczuciowej, do dziejów serca — zwykle zawiedzionego. Na inne kwestyje nie zwracali wówczas uwagi. Najdłużej stosunkowo bawił w kraju Mickiewicz; to przyczyniło się, obok usposobienia naturalnego, do wyrobienia jaśniejszego na sprawy poglądu, do stwarzania charakterów wesołych, zadowolnionych, obiecujących coś na przyszłość. Jednakże on nie zdołał wystawić kobiety-obywatelki w całej pełni rozwoju.

Drugą okolicznością jest fakt nieszczęść, doświad-

czanych w życiu jednostkowym i ogólnóm. Żyli bez nadziei. Żadnej gwiazdy na niebie przyszłości. Dużo zawodów, dużo rozczarowań, dużo kłótni i swarów. Nieszczęśliwi są po większej części niesprawiedliwymi. Patrząc przez pryzmat rozpacz, nigdzie nie zobaczy się krainy wesołej, napełnionej zgodnym gwarem samodzielnych i spójnie występujących jednostek. Marzenia, wyszydzone ostro przez rzeczywistość, mściły się na nią, odbierając jej wszelkie zalety i zasługi. W takim stanie rzeczy jedni zapatrzą się w dawno minioną przeszłość i w jej wspomnieniu ukojenia szukać będą; drudzy ukażą nam poświęcenie milczące jako jedyny ideał, ku któremu zdążać mamy; inni przekną wszystko, na co patrzyli, wołając głosem rozpacz:

...Wiem, jak trudno ruch obudzić *w bryłach*  
I kazać w niebo iść ściegtemu drzewu  
I z tęczami się połączyć na niebie...  
Ja — co nie mogłem wskrzęsić — nawet siebie! —

Jakże wtedy myśleć o harmonii, o równowadze wszystkich duchowych czynników, które są potrzebne na stworzenie ideałów wogóle, a dodatniego ideału kobiety w szczególności... Potrzeba szczęścia, potrzeba spokoju, ażeby lubować się w rzeczywistości — a jeżeli już szczęścia nie ma, potrzeba mieć siłę wytrwania i możność szczegółowej obserwacji. A przecież wydatnienie moralnego rozstroju było rzeczą konieczną — stanowi to niejako pomnik rzeźbiarski nieszczęścia. Poeci nasi pomnik taki z swych dzieł nieśmiertelnych wystawili.

Lecz kwilenie dziecka i skargi nadgrobnie długo trwać nie mogą. Otrząsnęliśmy się już po części z nie-

ruchomości zwątpienia, z bezwładności rozpacz. Z wdzięcznością i czcią wspominając imiona wielkich poetów, idziemy dalej! Czas zmienia nasze ideały, to jest coś z dawniejszych cech ujmuje i coś do nich nowego dodaje. Wybuchają namiętni słowy wyrzutu i potępienia — jest to zapewne zdobywać sobie laury krasomówcze; bo człowiek wtedy jest najwymowniejszy, kiedy swe nieszczęścia przed innymi w żywych barwach wystawia. Postępowanie takie atoli prowadzi jedynie do coraz większej drażliwości, która rozumnym czynom bynajmniej nie sprzyja. Potrzeba nam teraz wszystkimi siłami starać się o wystawienie dodatnich ideałów. W ich rzędzie ideał kobiety zająć musi jedno z miejsc najpierwszych. Poezycja musi wejść w najściślejszy sojusz z dążnościami lepszych usposobień ogółu, musi być wyrazem jego pragnień i popularną wskazówką drogi, po której on ma postępować. Nienawistnego rozbratu pomiędzy poezją a rzeczywistością nie pojmujemy. Poezycja, jeżeli chce zachować nadal wpływ swój dawniejszy, musi śledzić bacznie wszystkie zmiany kierunków w umysłach, do których ma przemawiać, musi je zaznaczać, wyjaśniać lub prostować w sposób najodpowiedniejszy wymaganiom estetycznym. Jakże są te kierunki i jakie zaszły w nich zmiany — nie tu miejsce opowiadać. Szerokie pole zadań społecznych rozwija się z rokiem każdym, coraz szersze obejmując widnokreśli; publicystyka na tym polu ma pracę olbrzymią.

Ja chciałbym tu tylko zaznaczyć stanowisko kobiety w stosunku do poezji. Na początku tego studjum nakreśliłem je tak, jak je dotychczasowa poezycja wogóle uwzględniała. W dalszym ciągu rozwinałem

szereg obrazów, szereg postaci kobiecych, przedstawionych nam przez poetów dawniejszych i postawiłem pytanie: czy dla nas współczesnych nic już do zrobienia nie pozostaje? Przychodzę do wniosku (przypuszczam, że i czytelnik wraz ze mną), że poezycja nasza, zgodnie z naturą rzeczy, malowała nam kobiety złamane nie-szczęściem, łudzące się pozorami życia w sferze chrobliwego marzycielstwa—zostawiając na drugim planie istoty zdrowe, silne, mogące działać z powodzeniem na arenie rzeczywistości. Czas przyniósł nam zagadnienia poważne—wskazał siły ukryte, niespożytkowane, powołał do działania kobiety.

Dotychczas, śmiało to można twierdzić, istniało u kobiet tylko *poczucie* prawnych obowiązków względem społeczeństwa. Poczucie to, jak wogóle każde uczucie, łatwo może przechodzić w krańcowość, wyradzać się w wadę. Kobiety są skłonne do krańcowości. Jeżeli są pobożne, to bez trudu popadną w dewocyjną; jeżeli nie są pobożne, to wszystkie rzeczy święte i nieświęte biorą powierzchownie, ceniąc je z formy, z pozoru, z takiego lub ówkiego zwyczaju, który ma szczęście cieszyć się popularnością, który jest modny. Jeżeli są przejęte ważnością jakiegoś przedsięwzięcia, to nie rozumiejąc go należycie, mogą zarówno do dobrych jak do najfatalniejszych w skutku pobudzić czynów.

Poczucie może dać niewątpliwie pochoch do spełnienia rzeczy wielce chwalebnych, znakomych nawet, ale stałego charakteru, działającego podług pewnych niewzruszonych zasad nie wyrobi wcale. Wielkie czyny w życiu kobiet są zazwyczaj wynikiem chwilowych wzruszeń i potężnej namiętności, ale nie wypływają z raz powziętego planu.... Jest-to rzeczą bardzo natural-

ną z tego mianowicie powodu, że kobiety rzadko kiedy wyrabiają sobie stałe przekonania. Mają one pospolicie uprzedzenia tylko dobre lub złe, ale nie zdają z nich sobie rachunku. Wszelkie ich twierdzenia i zapewnienia opierają się zazwyczaj na sympaty lub antypaty, jaką czują względem pewnego człowieka lub przedmiotu; nie zaś na rozzumnej ocenie dowodów za i przeciw. Do wciw zastępują w nich rozważę; dobre serce starczy za postępowanie wedle zasad. Można znaleźć dosyć mężczyzn, którzy postanowili nigdy nie skłamać, choćby im to przynieść miało szkodę materyjalną lub narazić na śmieszność; a prawie napewno można powiedzieć, że żadna kobieta takiego postanowienia nie zrobiła, a tém mniej, że je wykonała.

Poczucie samo może wskazać piękny cel, ku któremu dążyć należy, ale nie bada środków, za pomocą których cel ten najłatwiej, najszybciej i najzgodniej z wielkimi zasadami moralności da się urzeczywistnić. Dlatego też poczucie może zaprowadzić i prowadzić nieraz na manowce; chociaż niekiedy istotnie bardzo szybko do celu zawiedzie: jest-to zatem przypadkowość, na którą nigdy z niezachwianą pewnością liczyć nie można; jest-to los na loteryi, mogący zarówno smutek jak radość do serc naszych sprowadzić. A czyż przypadkowości, ślepeму losowi należy się powierzać? Nikt zapewne nie odpowie na to pytanie twierdząco, w praktyce jednakże losowi takiemu powierzamy się nieraz wbrew własnemu zdaniu i przekonaniu. Losowi temu najczęściej ufają kobiety. One tak mało mają do czynienia z cyframi, że wszelkie rozważne obliczanie środków mających urzeczywistnić plan pewien, wydaje się im wyrachowaniem, brakiem dobrego i poświęcającego



się serca; człowiek, który wszystko na raz rezykuje bez względu na okoliczności uboczne, bez rozważenia i zastanowienia, z brawurą i ostentacją, częstokroć staje się ich ideałem...

Z drugiej strony bardzo długo panowało w społeczeństwie to przekonanie, że kobieta nie potrzebuje znać spraw społecznych tak dobrze jak mężczyzna, gdyż nie ma po temu ani dostatecznej siły umysłu, ażeby je zrozumiała dokładnie, ani dostatecznej siły charakteru, ażeby w nich udział brać mogła. Według tego przekonania, za kobietę myśleć i działać w tym zakresie powinien mężczyzna.

Byłoby to może arcy-szlachetnie ze strony mężczyzn przyjmować wszelkie ciężary i obowiązki życia na siebie, aleby upośledzało kobiety. Wszystko, co stanowi podstawę bytu ludzkiego wśród społeczeństwa, miało by być obce całej połowie ludności toż społeczeństwo składającej? Czyż kobiety nie powinny mieć głosu tam, gdzie idzie o ich losy, o ich przyszłość? Przecież w ręku kobiet spoczywa pierwsze, najważniejsze zdaniem wszystkich pedagogów, wychowanie dzieci. Matka, choćby najserdeczniejsza, najtkliwsza, najtroskliwsza, bez odpowiednich wiadomości i bez hartu woli nie zdoła wpłynąć dobrze na dziecko, nie może w umysł jego przelać tego, czego sama nie posiada. A tyleż innych wypadków, w których kobieta sama radzić musi nie tylko sobie ale i dzieciom osierociałym, czyż nie wskazuje dobitnie potrzeby zaznajomienia jej ze wszystkimi interesami, ze wszystkimi zadaniami społeczeństwa, wśród którego walczyć musi o utrzymanie siebie i swoich najdroższych? Wiemy, że w wielu podobnych wypadkach kobiety nasze godnie

odpowiedziały obowiązkom, które drbrowalnie na się przyjęły, ale komuż nie wiadomo także, iż wiele a wiele upadło na ducha pod naciskiem zbyt trudnych okoliczności... Fakta tego rodzaju są znane: każdy łatwo przywiedzie sobie na pamięć przykłady bliskich i dalekich znajomych, łamiących się z biedą, ubóstwem, a nawet nędzą lub spodleniem... Przykłady te niejednemu zapewne podszepnęły myśl, że gdyby kobiety wcześniej do prowadzenia interesów wprawiano; gdyby im praktycznie dano poznać ważność tychże i wskazano drogi i sposoby zaradzenia biedzie: nie byłyby one nieraz narażone na tysiące nieprzyjemności i kosztowne wyręczycielstwo przez mężczyzn.

Ale nie o praktyczną tylko biegłość w interesach jednostkowych nam idzie; jeszcze większy nacisk położyć musimy na znajomość spraw ogólnych. Wiadomo, że zazwyczaj kiedy mężczyźni zaczynają rozprawić o „rzeczach poważnych,“ kobiety milkną albo zawiązują pomiędzy sobą rozmowę całkiem odmiennych treści... Czyż to, co zajmuje ojców i synów, nie powinno w równym stopniu zajmować matki i córki? Czy one nie powinny interesować się objawami wszelkiego ruchu na polu naukowym i społecznym? Dziwnym byłoby zaiste, gdyby jedna połowa obywateli kraju przestała w zupełnie innych dziedzinach myśli aniżeli druga...

Blyszczęć dowcipem i powieściowem odczytaniem nie znaczy to jeszcze mieć gruntowne zasady: a zasady jedynie mogą przemienić poczucie w przekonanie, wrażliwość — w charakter, bystrość umysłu — w rozważę. Te przymioty są konieczne dla każdego człowieka, a więc i dla kobiety; te przymioty są podstawą ro-

zumnego działania wśród społeczeństwa, a takie działanie jest obowiązkiem każdego obywatela kraju a więc i kobiety.

O tém, że się jest obywatelem kraju, zapomina się bardzo często. Brzmi to jak paradoks, a jednak jest prawdą. Człowiek pamięta przede wszystkim o swoich własnych potrzebach, o swoich własnych interesach, o swojej własnej doli i niedoli. O tém zaś, co jest po nad nim, o ogóle, do którego jako cząstka należy, przypomina sobie rzadko, w chwilach naprężonego uczucia i naprężonych stosunków... Gdy chwile te miną, wraca spokojnie do swego egoizmu. Kobiety tutaj oczywiście wyjątku nie stanowią, témbardziej że ku innemu sposobowi myślenia i działania nie były wdrużone od dzieciństwa. Wszakże prawda, że w młodości bardzo mało o obowiązkach swoich obywatelskich słyszały? Gdyby rodziny nasze więcej o tych sprawach ogólnych pamiętały; gdyby dzieciom swoim o ich obowiązkach w przyszłości i mówiły; gdyby nauki swe przykładem własnym wspierały; mielibyśmy więcej obywateli i obywaterek z przekonaniem i charakterem.

Ujmuję wywód swój w najkrótsze zdania.

Kobieta musi być samodzielną, ażeby zostać towarzyszką istotną nie zaś cieniem ukochanego młodzieńca; kobieta musi być samodzielną, ażeby zdobyć sobie niezależne stanowisko ekonomiczne; kobieta musi być samodzielną, ażeby nie paść ofiarą egoizmu mężczyzny ni też stawać się dla niego ciężarem. Przy wyrobieniu takiego charakteru obok wielu innych czynników, niezmiernie ważną gra rolę nietylko poczucie, ale świadomość obywatelstwa. Kobieta powinna znać dobrze, interesować się i przejmować wszystkimi sprawami

dotyczącami ogółu, naprzód, jeżeli chce w nim stanowić rzeczywistą jednostkę ważącą coś na szali; powtóre, jeżeli chce być matką prawdziwą.

W streszczeniu, taki jest szkic ideału kobiety. Rozprawy społeczne rozświetlają ten ideał w sposób naukowy, ściśle rozumowany; poezycja powinna go przyoblec w szaty piękna.

Miejmy odwagę!...nie tę jednodniową,  
Co w rozpaczliwem przedsięwzięciu pryska,  
Lecz tę, co wiecznie z podniesioną głową  
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska.

Miejmy pogardę dla rzekomej sławy  
I dla bezprawia potęgi zwodniczej;  
Lecz się nie strójmy w płaszcz męczeństwa krwawy  
I nie brząkajmy w łańcuch niewolniczy...

Przestańmy własną pieścić się boleścią,  
Przestańmy ciągłym lamentem się poić...  
Lecz nie przestajmy czcić świętości swoje  
I przechowywać ideałów czystość.

Do nas należy dać im moc i zbroję,  
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość,—

śpiewa jeden z *młodych* poetów naszych. W słowach tych jest cząstka naszych pragnień. Ale to dopiero program. Wykonania jeszcze nie mamy; bo nie ustaliły się pojęcia i, co ważniejsza, przekonania nie przeszły jeszcze w dziedzinę czynu, nie wytworzyły odpowiednich charakterów... Tenże sam poeta może sto razy sprzeniewierzył się programowi, który własnymi wypowiedział usta.

Wieszczowie nasi! wielcy poprzednicy zostawili wam szerokie miejsce do działania; powinno to być dla was pociechą i wskazówką. Jeszcze kopalnia poe-

zyi nie wyeksploatowana: stoi dla was otworem. Nie zamykajcie się w ciasnym kółku czczego naśladownictwa boleści cudzych, których sami już może nie odczuwacie, bo staniecie się bezmyślnymi papugami.... Nie bujajcie po sferach nadobłocznych, bo na ziemi wielka czeka was praca. Niech postaci wasze nie świecą pożyczanym księżycowym blaskiem; nie zawieszajcie sobie nad skroniami kręgów fosforycznego śwatełka; lecz ciepłem słonecznym, zwykłym ale ożywczym, ogrzejcie swe piersi i stwórzcie ideał — społecznej kobiety. Gieniusze żyć będą w panteonie naszych wspomnień najdroższych; wy żyć będziecie w społecznej rzeczywistości....

K O N I E C.

## TREŚĆ.

	<i>Str.</i>
<i>Słówko wstępne.</i> . . . . .	7
Kobieta w rzeczywistości i w poezji . . . . .	9
Strona uczuciowa Mickiewicza. . . . .	21
1. Maryla . . . . .	31
2. Grażyna . . . . .	41
3. Aldona . . . . .	46
4. Mickiewicz w r. 1829—31. . . . .	54
5. Telimena. . . . .	80
6. Zosia . . . . .	89
Julijusz Słowacki i miłość . . . . .	101
1. Kseni-Eloe . . . . .	135
2. Anna . . . . .	138
3. Aldona . . . . .	141
4. Rogneda . . . . .	146
5. Maryja Stuart. . . . .	149
6. Laura. . . . .	155
7. Violetta . . . . .	157
8. Grafini . . . . .	159
9. Balladyna . . . . .	162
10. Wdowa . . . . .	168
11. Roza Weneda . . . . .	174
12. Lilla Weneda . . . . .	176
13. Amelija . . . . .	179

	<i>Str.</i>
14. Beatryks . . . . .	183
15. Aniela . . . . .	188
16. Dyjana . . . . .	197
17. Idalijsa . . . . .	200
18. Inne kobiety . . . . .	206
19. Goplana . . . . .	209
20. Kobiety mesyjaniczne . . . . .	212
21. Zmyslowosc . . . . .	221
<b>Jak Krasinski pojmoval milosc . . . . .</b>	<b>232</b>
1. Maryna . . . . .	260
2. Zona (Maryja). . . . .	266
3. Elsinoe . . . . .	270
4. Kornelija Metella. . . . .	277
5. Ona . . . . .	283
<b>Idealy . . . . .</b>	<b>291</b>



F III - 101

Czyt. Naukowa

Nr     iii    

Nr inw. C. N.   101



